

Anne Herries

*P*orwanie

Prolog

- Naprawdę uważasz, że Sara została porwana?! - zawołał Daniel Cavendish, z przerażeniem patrząc na przyjaciela. To, co właśnie usłyszał, było niewiarygodne.

Charles Hunter zatrzymał zbolące spojrzenie na twarzy Daniela.

- Przecież znaleźliśmy jej szal na skraju parku. Były też wyraźne ślady walki, odciski stóp i kół powozu.

- Ale kto mógłby...? - Daniel urwał i z niepokojem spozjrzał na Charlesa. Przyjaźnili się całe życie, a Sara Hunter była dla niego prawie jak siostra. Uroczą dziewczyna! Jeszcze kilka dni temu udzielała jej lekcji tańca, pomagając przygotować się do zaplanowanego na lato debiutu towarzyskiego. - Jestem pewien, że... - próbował jeszcze pocieszać Charlesa, ale widząc zatroskane oblicze przyjaciela, zamilkł.

- Już sam nie wiem, Danielu, po prostu nie wiem. - Charles westchnął. - Sara jest taka młoda... Nie ma nawet jeszcze narzeczonego. Ale nawet gdyby miała, to przecież nie zabroniłbym się im widywać. Wiedziała, że może na mnie liczyć w każdej sytuacji. Jestem pewien, że nigdy nie uciekłyby z domu. Stąd moje przypuszczenie, że została uprowadzona.

Daniel nie wiedział, co odpowiedzieć. Bywał w świecie i zetknął się już z podobnymi przypadkami. Młode, piękne dziewczęta znikają nagle z domów rodzinnych i zdarzało się, że były potem brutalnie wykorzystywane. Myśl, że małą Sarę mógł spotkać podobny los, była wprost nie do zniesienia. Daniel wyobraził sobie, co teraz musi przeżywać jego drogi przyjaciel, nie mówiąc już o rozpacz matki Sary.

- Nie możesz tracić nadziei - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Charlesa. - Znajdziemy Sarę. Masz na to moje słowo. Nie spoczniemy, dopóki twoja siostra się nie odnajdzie.

-A jeśli ona...?

Charles nie ukrywał przerażenia, ale próbował nie dopuszczać do siebie myśli o tym, że jego siostrze mogło stać się coś naprawdę złego.

- Najpierw musimy ją odszukać - stwierdził stanowczo Daniel. - Nie wolno ci tracić wiary, że twoja siostra bezpiecznie wróci do domu.

To nie mogła być prawda! To wszystko musiało się jej śnić. Co za koszmar! Jak przez mgłę widziała majaczące nad nią sylwetki ludzi. Leżała na ziemi, na płachcie krwistoczerwonego jedwabiu, ale gdzie się znajdowała? Czy to możliwe? Była w lesie, który tonął w głębokich ciemnościach i tylko srebrzyste światło księżyca zdradzało, że nie była tam sama.

Nagle ktoś się nad nią pochylił. Wydawał się nieprzeciętnie wysoki, ale czy to nie halucynacja po środkach, które jej podali? Na chwilę odzyskała ostrość widzenia. Stał nad nią mężczyzna. ...zupełnie nagi. Co się z nią działo? Czy to sen, czy jawa? To musi być koszmarny sen... na pewno jest we własnym łóżku, bezpieczna. A jednak rzeczywistość wydawała się temu przeczyć. Czuła, że dzieje się z nią coś niedobrego.

Podczas jednego z przebłysków świadomości dotarło do niej, że została porwana, że to, co się wokół niej działo, nie było tylko senną marą. Chciała otrząsnąć się, wyrwać ze stanu odurzenia.

Krzyknęła przeraźliwie i wstała, z trudem powstrzymując drżenie. Choć nie w pełni przytomna, przeczuwała śmiertelne niebezpieczeństwo. Instykt kazał jej ratować się ucieczką. Nie miała pojęcia, jak się tu znalazła ani kim byli otaczający ją ludzie. Wiedziała jedynie, że musi im uciec. Jeśli ją złapią, czeka ją śmierć.

Rozdział pierwszy

Daniel Cavendish rozglądał się po przestronnym salonie, jednak grupa roześmianych tancerek ani na chwilę nie przykuła jego uwagi. Czegoś wyraźnie brakowało w jego życiu. Być może nadal tęsknił za pełnym emocji czasem spędzonym w armii. Ciężko było mu zrezygnować ze służby, kiedy po śmierci ojca musiał przejąć pieczę nad rodzinnym majątkiem. W ciągu ostatnich trzech lat udało mu się tak trafnie zarządzać rodzinnymi finansami, że znacząco je pomnożył. Wciąż jednak nie mógł wyrwać się ze stanu przygnębienia. Myślał o Sarze Hunter i o tym, że śledztwo w sprawie jej zniknięcia utknęło w miejscu. Sumienie nie dawało mu spokoju; nie był pewny, czy istotnie zrobił wszystko, co w jego mocy. Miał nadzieję, że ostatnio zdobyte informacje rzucają nowe światło na tę tajemniczą sprawę.

¹ Chyba powinienem wyjechać na wieś - zwrócił się do stojącego obok dżentelmena. W przeciwieństwie do ciemnowłosego, wysokiego i dobrze zbudowanego hrabiego Cavendisha, jego towarzysz był szczupłym mężczyzną, z jasnymi opadającymi na czoło włosami, które co chwila przeczesywał dłonią. - Ostatnio Londyn mnie męczy, a poza tym muszę zbadać nowy trop w sprawie Sary.

- Jesteś pewien, że nic ci nie grozi? - zaniepokoił się John Elworthy. - Nawet jeśli nasze podejrzenia okażą się prawdziwe, to wydaje mi się, że niewiele możemy zrobić. Maria szczęśliwie nie doznała żadnego uszczerbku, a co do panny Hunter... - Z rezygnacją potrząsnął głową w momencie, kiedy dołączył do nich kolejny dżentelmen. - Dobry wieczór, Robercie, nie spodziewałem się spotkać cię tu dzisiaj.

- Nie miałem nic lepszego do roboty - oznajmił zduszony lord Young, który z pewnością zasługiwał na miano dandysa. Jego fular był tak wymyślny, że lord z trudem poruszał szyję. - Przedstawienie jest okropnie nudne, nie sądzicie?

- Cavendish podziela twoją opinię - rzekł Elworthy. - Rozmawialiśmy właśnie o tym, że należałoby dokładnie zbadać sprawę Marii, choć według mnie nie warto zadzierać z Forsythe'em. To zbyt ryzykowna gra.

Maria była młodą, śliczną i odważną dziewczyną, siostrą jego szwagierki, i niedawno udało jej się uniknąć porwania.

- Odrobina niebezpieczeństwa dodaje życiu pikanterii - skostatował lord Young, wyraźnie ożywiony. - Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, Cavendish, wiedz, że jestem do dyspozycji. Myślę, że Hilary złożyłby podobną deklarację, gdyby tu był. Co planujesz?

- Wyjdźmy stąd; nie chciałbym, żeby ktoś nas podsłuchiwał - odparł hrabia. - To prawda, nasz zamiysł wiąże się ze sporym ryzykiem, ale musimy spróbować. Maria to odważna dziewczyna, a informacje, których nam udzieliła, rzuciły nowe światło na sprawę. Wznowiłem śledztwo i chciałbym wam opowiedzieć, czego dowiedzieli się agenci, których wynająłem.

- Idziesz, Elworthy? - ponaglał lord Young. - Chyba nic cię tu nie trzyma?

- Chodźmy - zgodził się John. - Myślę, że masz rację, Ca-

vendish. Jeśli będziemy siedzieć z założonymi rękami, to nie wiadomo do czego jeszcze posunie się Forsythe.

Opuścili salony słynnego londyńskiego klubu Almacka i udali się do posiadłości Cavendisha. Nie wiedzieli, że są śledzeni.

- Moja droga - zaczęła lady Wentworth, z niepokojem patrząc na zatroskaną twarz Elizabeth. - Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci pracować. Możesz przecież wyjechać ze mną do Bath tej jesieni. Traktuję cię jak własną córkę. Dlaczego tak się upierasz i nie chcesz z nami zamieszkać tutaj, w Worth Towers?

- Niestety, nie mogę przyjąć pani propozycji. - Elizabeth Travers uśmiechnęła się przeproszająco. - Darzę panią ogromnym szacunkiem i sympatią, jestem dozgonnie wdzięczna za wszystko, co pani zrobiła dla mnie i Simona po śmierci ojca i potem, po śmierci naszej drogiej mamy... - Łzy stanęły jej w oczach na wspomnienie ukochanej matki, która odeszła tak niespodziewanie. - Jeżeli się pani zgodzi, będę panią często odwiedzać, ale nie mogę tu zamieszkać na stałe. Nie chcę być ciężarem. Wystarczy, że lord Wentworth był tak łaskawy i hojnie opłacił Simonowi cały semestr studiów w Oxfordzie. Do końca życia będę mu wdzięczna za to, że brat nie musiał zrezygnować z nauki. Poza tym lady Isadora pilnie potrzebuje damy do towarzystwa i jestem rada, że wybrała właśnie mnie.

- Ale przecież w ogóle jej nie znasz, Elizabeth - próbowała jeszcze protestować lady Wentworth, niska, pulchna dama, która darzyła córkę zmarłej przyjaciółki szczerą przyjaźnią. - I wiedz, że nigdy nie byłabyś dla mnie ciężarem.

- Ma pani wielkie serce - powiedziała Elizabeth - jednak dałam już słowo lady Isadorze i nie wypada mi się wycofać.

- Skoro obiecałaś, że przyjmiesz tę posadę, drogie dziecko...

- Lady Wentworth westchnęła głęboko - ale musisz mi obiecać, że wrócisz do nas, jeśli kiedykolwiek poczujesz się tam nieszczęśliwa.

- Oczywiście - zapewniła z przekonaniem Elizabeth. Ciepło uśmiechnęła się do damy, która przez ponad dwadzieścia lat była najlepszą przyjaciółką jej matki. - Nie śmiem nawet myśleć, co poczęłaby nasza biedna matka bez pani wsparcia po śmierci ojca. Zwłaszcza kiedy okazało się, że wskutek tego nieszczęsnego zakładu z panem Forsythe'em straciliśmy cały majątek. Nie wiem, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby nie pozwoliła nam pani zamieszkać w Worth Park. - Łzy stanęły jej w oczach na myśl o tym, jak trudne chwile przeżywały wraz z matką po śmierci ojca. Matka przypląciła to życiem. - Nigdy nie zdołam odwdziżyć się za pani dobroć...

- Nie bądź niemądra, dziecko. - Lady Wentworth wdrygnęła się na wspomnienie okoliczności, w jakich sir Edwin Travers stracił dom. Kto by pomyślał, że zakład okaże się tak tragiczny w skutkach? - Mój mąż długo nie mógł uwierzyć, że jego stary przyjaciel postąpił tak lekkomyślnie i roztrwonił cały majątek na wyścigach konnych. Okazało się, że są świadkowie i że najprawdopodobniej twój ojciec był tego dnia pod wpływem alkoholu.

- I to właśnie najbardziej mnie zastanawia. - Elizabeth zamysliła się. - Przecież ojciec stronił od alkoholu. Świętej pamięci mama nawet na łożu śmierci powtarzała, że ojciec został oszukany, że dobro rodziny było dla niego najważniejsze. Choć dowody świadczą o czymś innym, ja także jestem przekonana o niewinności taty. Ojciec nie był lekkomyślny.

- Tak też uważa mój mąż - przyznała lady Wentworth. - A mimo to nie udało mu się obalić zeznań świadków. Jednym z nich był pan Elworthy, człowiek prawy, uczciwy i z pewnością

cią godny zaufania. Lord Wentworth już dawno złożyłby apelację, gdyby nie to, że ufa panu Elworthy'emu. Twierdzi, że nigdy by nie skłamał.

- Wiem. - Elizabeth westchnęła. - To właśnie zeznanie pana Johna Elworthy'ego sprawiło, że nie walczyliśmy z Forsythe'em o resztę majątku. No cóż, chyba nie pozostaje nam nic innego, jak zaakceptować to, że feralnego dnia ojciec wypił odrobinę za dużo i przegrał całą fortunę na wyścigach.

- Brzmi to niewiarygodnie, ale chyba musimy się z tym pogodzić. - Lady Wentworth ze smutkiem spojrzała na Elizabeth. - Skoro już zdecydowałaś się przyjąć tę posadę, to mam nadzieję, że chociaż zgodzisz się jechać naszym powozem. Przynajmniej lady Isadora zobaczy, że masz przyjaciół, którzy troszczą się o ciebie.

- To bardzo miło z pani strony. Nie potrafię odrzucić tak wspaniałomyślnej propozycji.

Większość pieniędzy Elizabeth oddała bratu, więc oferta lady Wentworth była jej bardzo na rękę. To właśnie o Simona Elizabeth martwiła się najbardziej. Brat miał nadzieję odziedziczyć majątek ojca, ale w tej sytuacji będzie musiał sam zapracować na swoje utrzymanie. Na szczęście jej udało się dostać posadę w Yorkshire.

- Pocięszam się myśla, że lady Isadora była serdeczną przyjaciółką twojej matki. Co wiesz o tej rodzinie, Elizabeth? - zapytała lady Wentworth.

- Lady Isadora jest wdową po hrabim Cavendishu i córką markiza - odpowiedziała dziewczyna. - Spotkałam ją tylko raz, kiedy odwiedziła nas w drodze do markiza Brandona, wuja jej męża. Pamiętam ją jako uroczą kobietą o delikatnych rysach. Dała mi piękną lalkę, a Simonowi podarowała pięć gwinei.

- Jest więc niezwykle hojna. - Lady Wentworth z aprobatą

pokiwała głową. - Jakie będzie twoje wynagrodzenie? Wybacz ciekawość, ale świat jest pełen bezdusznych ludzi, gotowych wykorzystać tak dobrą i ufną istotę jak ty.

- Lady Isadora pozwoliła mi wybrać formę wynagrodzenia. - Elizabeth zarumieniła się. - Zamiast regularnej zapłaty zdecydowałam się na garderobę. Mama byłaby zdumiona na wieść, że szukam posady jako dama do towarzystwa, ale myślę, że gdyby już się z tym pogodziła, zasugerowałaby mi właśnie taką formę zapłaty.

- Gdybyś tylko zechciała... - Lady Wentworth westchnęła, lecz zerknąwszy na udręczoną twarz Elizabeth, zaniechała dalszych perswazji. - Już nic nie powiem, dziecino, tylko pamiętaj, że zawsze możesz tu wrócić.

- Jestem pani bardzo wdzięczna za te słowa. - Dziewczyna pocałowała lady Wentworth w policzek i skierowała się do drzwi. Miała jeszcze parę rzeczy do spakowania i chciała pożegnać się z przyjaciółmi. - Będę pisać tak często jak to możliwe.

Opuszczając dom, w którym spędziła ostatnie miesiące, ze wzruszeniem myślała o jego mieszkańcach, lecz mimo wszystko cieszyła się na myśl o posadzie u lady Isadory. Jeszcze za życia matki pogodziła się z tym, że będzie musiała zarabiać na własne utrzymanie.

Wiedziała, jak ciężko byłoby mamie zaakceptować fakt, że jej córka musi pracować. Podejrzewała jednak, że w ostatnich listach do lady Isadory matka mogła prosić o znalezienie posady dla Elizabeth. Być może właśnie dlatego, zaledwie kilka tygodni po śmierci lady Travers, lady Isadora zaproponowała Elizabeth pracę w charakterze damy do towarzystwa.

Z początku dziewczyna obawiała się, że propozycja jest czysto grzecznościowa, lecz kolejny list z Yorkshire nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Lady Isadora naprawdę potrze-

bowiała damy do towarzystwa. Podczas minionej zimy zapadła na ciężką chorobę i miała kłopoty z chodzeniem. Ktoś musiał się o nią troszczyć i ją zabawiać, zwłaszcza wtedy, gdy była przykuta do łóżka. List głęboko poruszył Elizabeth. Zdała sobie sprawę, że nie powinna odrzucać oferty miłej starszej pani. W życiu panny Travers zaszyły ostatnio wielkie zmiany. Straciła ukochanych rodziców, najbliższe, tak jej drogie, osoby. Pograżona w żałobie, nie wyobrażała sobie pracy w domu pełnym radosnej wrzawy. Właściwie była więc zadowolona, że lady Isadora mieszka sama i rzadko ją ktoś odwiedza.

Lady Wentworth była jak anioł, lecz jej wylewna dobroć i nadopiekuńczość zaczynały być nieco męczące. Poza tym istniał jeszcze problem bliskiego sąsiedztwa rodzinnego domu, z którym łączyło się tyle rozmaitych wspomnień. Och, gdyby nie ten nieszczęsny zakład, rodzice zapewne żyliby do dzisiaj, pomyślała.

Dlaczego ojciec postąpił tak lekkomyślnie? Elizabeth wciąż dręczyło to pytanie, ale nie mogła znaleźć na nie odpowiedzi. Mimo ostrzeżeń siostry Simon zarzekał się, że rozwiąże tę zagadkę. Dziewiętnastoletni brat był obdarzony temperamentem. Elizabeth bała się, że jeśli Simon zacznie na własną rękę prowadzić śledztwo, znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Nasz ojciec został oszukany - powiedział jej po pogrzebie matki, tuż przed wyjazdem do Oxfordu. - Jestem tego pewien, Beth. Pewnego dnia to udowodnię i odzyskam nasz majątek.

- Nie przeczę, sprawa jest podejrzana - odparła Elizabeth.
- Ale są przecież świadkowie, którzy...

- Tak, ale tylko jeden ze świadków nie był w zмовie z tym łajdakiem - sprzecyzował Simon. - Już dwukrotnie prosiłem Elworthy'ego o spotkanie, jednak za każdym razem mi od-

mawiał. Gdyby miał czyste sumienie, nic nie stałoby na przeszkodzie, żeby się ze mną spotkał, nie uważasz?

Była podobnego zdania. Nie winiła brata za jego ciekawość i chęć rozwikłania ponurej zagadki. Będąc na jego miejscu, z pewnością postąpiłaby tak samo. Bała się jednak, że Simon może popaść w poważne tarapaty. Nigdy by sobie nie darowała, gdyby brat targnął się na swoje życie, tak jak to zrobił ich ojciec nazajutrz po tym brzemiennym w skutki zakładzie.

Lord Wentworth przez długi czas przekonywał ją, że ojciec nie został zamordowany. Mimo to nadal dręczyły ją koszmarnie sny, w których papa przychodził do niej i domagał się ujawnienia prawdy o swej śmierci.

W końcu Elizabeth odegnała ponure myśli. Musiała teraz zatroszczyć się o swoją przyszłość. Rozpamiętywanie tego, co się stało, nie mogło wrócić życia rodzicom. Pozostawało jej mieć nadzieję, że Simon nie wplącze się w jakieś kłopoty. Ona sama powinna teraz skupić się na nowej pracy. Nie mogła zaświecić lady Isadory.

- Powinna się mama wstydzić - żartobliwie skarcił matkę hrabia Cavendish.

Cieszył się z przyjazdu na wieś. Czuł, że ta wizyta pozwoli mu na chwilę zapomnieć o trapiących go zmartwieniach. Intrygi matki rozbawiły go do tego stopnia, że przestał myśleć o śledztwie w sprawie uprowadzenia biednej Sary.

- Kto by przypuszczał, że zechce mama zwabić tutaj tę dziewczynę, udając niedołązną staruszkę. Oj, nieładnie... - Nie mógł się nadziwić, że mimo dojrzałego wieku jego matka wygląda tak korzystnie. - Rzeczywiście potrzebuje mama damy do towarzystwa? No tak, ostatnio byłem tu dwa miesiące temu... - Urwał zakłopotany.

Lady Isadora chrząknęła wymownie i wygodnie rozsiała się w wyściełanym aksamitem fotelu.

- Danielu, nie masz krzty litości dla starej matki. Ostatnio nabawiłam się okropnego przeziębienia i doktor zakazał mi wychodzić z domu przez dziesięć dni. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ciężko to zniosłam. Byłam przykuta do łóżka, doskwierała mi samotność. Tak, mój synu, musisz wiedzieć, że jestem straszliwie samotna. A poza tym... - w jej oczach niespodziewanie pojawił się figlarny błysk - Serena napomknęła w ostatnim liście, że jej córka jest osobą dumną i obdarzoną silnym charakterem. Od dawna podejrzewała, że Elizabeth szuka zatrudnienia, co rzecz jasna, nie do końca było po jej myśli. Biedna Serena... To wszystko przez tego drania Forsythe'a! Podstępnie okradł jej męża, a ten nie wytrzymał i targnął się na życie.

- Tak... - Hrabia zamyślił się. - Gdyby nie zeznania Johna Elworthy'ego, któremu bezgranicznie ufam, również podejrzewałbym, że ten zakład został sfingowany.

- Masz rację. Zmartwiłam się, kiedy Serena napisała, że twój przyjaciel był tym jedynym wiarygodnym świadkiem zakładu. Wiedziałam, że kto jak kto, ale Elworthy nigdy by nie skłamał i dlatego musiałam w końcu uwierzyć w wersję zdarzeń przedstawioną przez Forsythe'a.

- John jest człowiekiem niezwykle prawdopodobnym i chociaż był tylko postronnym obserwatorem, wydaje mi się, że można mu zaufać.

Hrabia wydawał się poważnie zaniepokojony. Ilekroć porwacał temat sir Montague'a Forsythe'a, tracił dobry humor, a w historii tragicznego w skutkach zakładu Edwina Traversa było coś, czego nie rozumiał.

- Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak uwierzyć, że nie-

szczesny zakład był wynikiem chwilowej niepoczytalności sir Traversa. Naprawdę chciałam pomóc tej rodzinie. Już wcześniej zaferowałam im dach nad głową, ale ubiegła mnie przyjaciółka Sereny. Postanowiłam więc wspierać finansowo Simona, a jego siostrę, Elizabeth, postaram się wydać za mąż.

- Słyszałem, że panna Travers nie grzeszy urodą. - Hrabia przypomniał sobie niepochlebne plotki o Elizabeth. - Podczas debiutu towarzyskiego nie zwróciła niczyjej uwagi. Ja w tym czasie służyłem w armii, ale pamiętam, że ktoś mi o tym opowiadał. Całkiem możliwe, że byłaś to ty, mamo.

- Niemożliwe. Nie widziałam jej w tamtym czasie - odparła lady Isadora z miną niewiniątka. - Pamiętam ją natomiast jako małą dziewczynkę. Była chuda, odrobinę za wysoka jak na swój wiek, miała ciemną karnację i włosy upięte w dwa niesfome kucyki. Teraz, oczywiście, musi wyglądać zupełnie inaczej. Żałuję, że częściej nie odwiedzałam tej miłej rodziny. Zawsze w ostatniej chwili zmieniałam plany. Twój ojciec nie przepadał za wyjazdami, potem byliśmy zajęci przygotowaniami do ślubu Melanie, a później przyszła choroba... - Lady Isadora westchnęła ze smutkiem. Nie pogodziła się jeszcze ze śmiercią męża. Bardzo go kochała, choć zawarli małżeństwo z rozsądku. - Po jego śmierci przez długi czas nie wychodziłam z domu. Mogłam, co prawda, pojechać na pogrzeb sir Edwina, ale Melanie spodziewała się pierwszego dziecka, a...

- A teraz spodziewa się drugiego - dokończył hrabia z uśmiechem. - Rossleigh zapewne jest w siódmym niebie. Ten człowiek musi mieć anielską cierpliwość, skoro wytrzymuje z moją siostrzyczką.

- No cóż, przyznaję, że Melanie bywa nieznośna, ale ciąży to trudny czas dla kobiety. Pamiętaj o tym, Danielu.

- Będę pamiętał - zapewnił hrabia, uśmiechając się do mat-

ki. - Jednak odbiegliśmy nieco od tematu. Mówiliśmy o tym, że mama podstępnie zwabiła do nas pannę Travers. Skąd pewność, że nie odejdzie, gdy zorientuje się, że mama nie jest zniedołężniałą staruszką?

- Kiedy Elizabeth zobaczy, jak bardzo jest mi potrzebna, nie będzie miała serca mnie opuścić. Naprawdę łaknę towarzystwa, zwłaszcza teraz, kiedy wyjechała panna Ridley - upierała się lady Isadora.

- Mam nadzieję, że mama zdaje sobie sprawę, że panna Ridley wyjechała opiekować się swoją schorowaną krewną i wkrótce może wrócić. Co wtedy?

- Oczywiście przyjmę ją ponownie. Jakże by inaczej? Ale wiesz, czasami tak bardzo brakuje mi kogoś młodego, pełnego energii i zapału... - Lady Isadora zamyśliła się. - Gdyby moja siostra Jane żyła, właśnie debiutowałaby w towarzystwie.

Hrabia wiedział, że matka nigdy nie pogodziła się ze śmiercią najmłodszej córki.

- A jeśli panna Travers wcale nie chce wychodzić za mąż? - zapytał łagodniejszym już tonem. - Zapewne nadal opłakuje stratę obojga rodziców.

- Nikt nie będzie jej ponaglał. Jestem osobą taktowną i nie musisz się obawiać, że nie będę potrafiła uszanować jej załoby. Ale kiedy już się zaprzyjaźnimy, zabiorę ją do Brighton. Oczywiście powiem wtedy, że pragnę podratować moje słabe zdrowie. Morskie powietrze bardzo mi służy... dobrze o tym wiesz, mój drogi. Nie liczę na to, że wydam ją za szlachcica, ale na pewno uda mi się znaleźć dla niej przyzwoitego męża z odpowiednim majątkiem.

- Mama i tak postąpi, jak zechce. - Hrabia obdarzył lady Isadorę ciepłym uśmiechem. Chociaż widywali się niezbyt często, znakomicie się rozumieli i bardzo kochali. - Czy

mama przewiduje dla mnie jakąś rolę w swych niecnym planach?

- Kiedy Elizabeth przyjedzie, zaproszę tylko kilku najbliższych przyjaciół. Nie chciałabym jej męczyć zbyt licznymi spotkaniami towarzyskimi. Zastanawiam się jednak, czy w przyszłym miesiącu nie mógłbyś przywieźć tu swoich znajomych.

- Kogo dokładnie masz na myśli? - zaniepokoił się hrabia.
- Jestem pewien, że żaden z moich znajomych nie będzie zainteresowany panną nie pierwszej już młodości o wątpliwej urodzie i bardzo skromnym posagu.

- Zamierzam zatroszczyć się o jej posag. Nie zapominaj, że twój ojciec zostawił mi dużą fortunę, a ja nie tknęłam jeszcze dwudziestu tysięcy funtów, które mój ojciec podarował mi w spadku. Dziesięć tysięcy mogłabym przekazać Elizabeth.

Daniel nie krył zaskoczenia.

- Jest mama niezwykle hojna. Śmiem przypuszczać, że natychmiast znajdzie się ktoś chętny, by poślubić pannę Travers. Choć nie jestem pewien, czy Winchester albo Ravenshead są odpowiednimi kandydatami.

- Ci łowcy posagów? - Lady Isadora z dezaprobatą pokręciła głową. - Tacy mężczyźni nie wchodzą w rachubę. Nie nadają się dla Elizabeth. Mam nadzieję, że zaprosisz kogoś bardziej odpowiedniego.

- A co mama zrobi, jeśli panna Travers nie zechce poślubić żadnego z moich znajomych?

- Wcale nie twierdzą, że musi. Nie stwarzaj problemów, Danielu. Pragnę jedynie, żeby miała kilku znajomych w tych stronach.

- Ależ z ciebie przebiegła intrygantka! - zażartował hrabia.

- Kiedy przyjeżdża panna Travers?

- Oczekuję jej z końcem tygodnia. Dlaczego pytasz?

- Chyba zostanę, żeby ją poznać. Skoro mam znaleźć jej pannie męża, to przynajmniej muszę wiedzieć, jak wygląda.

Lady Isadora starała się nie zdradzić, jak wielką przyjemność sprawiła jej ta deklaracja. Cieszyło ją, że ukochany syn zostanie w Cavendish kilka dni dłużej. Nie zamierzała zachęcać go do poślubienia panny Travers, uważała jednak, że trzydziestopięcioletni mężczyzna mógłby już zacząć myśleć o ożenku. Dlaczego nie mógłby wybrać dobrze wychowanej dziewczyny o miłym charakterze, takiej jak Elizabeth? W końcu uroda to nie wszystko. Sądząc po tym, jaką żoną była Serena, Elizabeth również miała zadatki na wspaniałą panią domu i towarzyszkę życia. Mogłaby mieszkać na wsi razem z dziećmi, a Daniel odwiedzałby ich od czasu do czasu, zostawiając w mieście swoje sprawy, do których nikt by się nie wtrącał.

- Czy nie dość wyraźnie dałam do zrozumienia, że będę potrzebować dwóch oddzielnych pokoi?

Elizabeth patrzyła wyczekująco na właściciela gospody, potężnego, zwalistego mężczyznę o rumianej twarzy. Zwracając się do niego, musiała wysoko zadzierać głowę. Gdyby chciała, mógłby ją przewrócić jednym palcem, tymczasem jednak potulnie wysłuchiwał jej skarg, coraz bardziej zawstydzony.

- Bardzo panią przepraszam, nie wiem, jak to się stało. Obawiam się jednak, że nic na to nie poradzimy, bo pewien dżentelmen wziął dodatkowy pokój.

- No cóż... Czy w takim razie mogę przynajmniej liczyć na dodatkowe łóżko dla mojej służącej? - zapytała Elizabeth, natychmiast odczytując odmowną odpowiedź w oczach oberżysty. - Chyba nie sądzi pan, że będziemy spały w jednym łóżku?!

Niestety, gospodarz nie zaproponował innego rozwiązania.

Mary była kobietą o obfitych kształtach, a na domiar złego okropnie chrapała, co już w podróży solidnie dało się Elizabeth we znaki. Spragniona ciszy i spokoju, nieustannie budziła służącą, prosząc, by ta choć na chwilę przestała wydawać przeraźliwe dźwięki.

Odwróciła się do Mary, która wdzięczyła się do młodego chłopaka, niosącego kufle piwa do sąsiedniej izby.

- Pozwól tu! - przywołała służącą. - Właściciel gospody wynajął nasz pokój komuś innemu, co oznacza, że dziś w nocy będziesz spała razem ze mną.

- Ale ja chrapię, panienko - zatroskała się Mary. - To nie w porządku, że musi panienka spać razem ze mną. Niech panienka powie gospodarzowi, żeby dał dwa pokoje, tak jak było uzgodnione.

- Już próbowałam - wyjaśniła Elizabeth. - Niestety, nic nie możemy w tej sprawie zrobić. Trzeba się z tym pogodzić.

- Ależ panienko, ja kopię. Przynajmniej tak mówiła moja siostra, kiedy byliśmy małże.

- Chodźmy, Mary. Pokój jest już wynajęty i jestem pewna, że jakoś się w nim zmieścimy.

- Proszę mi wybaczyć - wtrącił jeden z mężczyzn, którzy przed chwilą weszli do holu. - Przypadkiem słyszałem, co mówiła pani służąca. Myślę, że to właśnie ja wynająłem jeden z zarezerwowanych przez panią pokoi. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny. Bezwzględnie każe przenieść swoje rzeczy.

- Nie ma już wolnych pokoi, panie Elworthy - ostrzegł właściciel gospody. - Będzie pan musiał dzielić pokój ze swym towarzyszem albo przenocować w stajni.

- Zadowolę się stajnią - oświadczył John Elworthy i uśmiechnął się do Elizabeth. - Jeśli zechcą panie poczekać kilka minut, gospodarz wszystko przygotowuje.

- Dziękuję panu - powiedziała Elizabeth chłodnym tonem. Od momentu, gdy usłyszała nazwisko „Elworthy”, zastanawiała się, czy to on był świadkiem feralnego zakładu, w który został uwikłany jej ojciec. Nie chciała nadużywać uprzejmości tego człowieka. - Sądziłam, że będziemy miały salon do swojej dyspozycji, ale w tej sytuacji zadowolimy się pokojami. Kolację proszę przysłać na górę - dodała, zwracając się do właściciela gospody.

- Oczywiście, proszę pani. Żona zaraz wszystkim się zajmie.

- Bardzo chętnie odstąpiłbym paniom salon - próbował tłumaczyć się John Elworthy, wymownie spoglądając w stronę drzwi, za którymi przed chwilą zniknął jego towarzysz. - Niestety, sir Montague Forsythe kazał już tam podać kolację i obawiam się, że nie zechce się przenieść.

- Sir Montague jest pańskim kompanem? - zapytała z przerażeniem Elizabeth. - Jeżeli to ten człowiek, którego mam na myśli, zastanawiam się czy w ogóle powinnam spędzać noc w tej gospodzie...

Zamierzała odejść, lecz Elworthy złapał ją za rękę.

- Co pani wie na temat sir Forsythe'a?

Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona.

- To właśnie on i w pewnym stopniu pan jesteście odpowiedzialni za bankructwo i śmierć mojego ojca.

- Więc pani musi być... - Elworthy zaniemówił z wrażenia.

- Tak, proszę pana, jestem Elizabeth Travers. - W jej oczach zapłonął gniew. - Nie wiedziałam, że jest pan takim bliskim przyjacielem sir Forsythe'a, ale skoro podróżujecie razem...

- Obawiam się, że źle mnie pani oceniła - odparł Elworthy. - Jeżeli zechce mi pani poświęcić chwilę, postaram się pani wszystko wytłumaczyć.

Elizabeth nie potrafiła odmówić, gdyż nawet mimo wzburzenia Elworthy wydał jej się człowiekiem sympatycznym i godnym zaufania. Choć trudno byłoby nazwać go przystojnym, miał niezwykle ujmujący sposób bycia i prezentował nienaganne maniery. Poza tym nadarzała się okazja, by spełnić życzenie brata i porozmawiać z jedynym wiarygodnym świadkiem porażki ojca. Skinęła więc głową i skierowała się w stronę jadalni, zostawiając Mary w holu.

- Cóż ma pan do powiedzenia?

- Po pierwsze, panno Travers, nigdy wcześniej nie byłem tak wstrząśnięty jak wówczas, gdy usłyszałem, co przydarzyło się pani ojcu. Nie znałem go zbyt dobrze, ale wiem, że nie nadużywał alkoholu ani nie uprawiał hazardu. Nigdy też nie przypuszczałbym, że zdecyduje się na tak desperacki krok. Ale prawdą jest, że widziałem go w towarzystwie sir Montague'a i słyszałem, jak się z nim zakładał, ponieważ stałem nieopodal. Wydaje mi się, że sir Edwin był pijany, sądząc po jego mowie i zachowaniu.

- Czy stał pan obok ojca, kiedy zakładał się z sir Forsythe'em?

- Tak. I choć wydawało mi się to lekkomyślne z jego strony, postanowiłem się nie wtrącać. W końcu nie była to moja sprawa. Teraz żałuję, że nie interweniowałem, ale zakład to sprawa honoru. Jeśli taka umowa między dżentelmenami zostanie zawarta, nie wolno jej zrywać.

- Ale skoro ojciec był pijany...

- Zgadzam się, że prawdziwy dżentelmen nie zakładałby się z kimś, kto jest pod wpływem alkoholu. Jednak sir Montague nie jest dżentelmenem.

- Zdażyłam się już o tym przekonać. Dał nam jedynie dwa tygodnie na opuszczenie domu i odebrał możliwość godnego przeżycia żałoby.

- To podłe, co zrobił - Elworthy nie krył pogardy. - Powinien się wstydzić!

- A jednak sir Montague jest pańskim znajomym. Lord Wentworth mówił, że można panu ufać. Czyżby się mylił?

John Elworthy napotkał wrogie spojrzenie Elizabeth. Dziewczyna była zdecydowanie atrakcyjna - dość wysoka i zgrabna - choć nie można jej było nazwać klasyczną pięknoscą. Jej ciemne włosy wystawały spod kapelusza i opadały na czoło; oczy były lśniące i pełne wyrazu. Wpatrywała się w niego wyczekująco, żądając wyjaśnień. Nie mógł powiedzieć jej prawdy. Nie chciał, by wiedziała, że śledził Forsythe'a, po czym upozorował przypadkowe spotkanie.

- Przybyliśmy tu oddzielnie. Jesteśmy sąsiadami, a nasze posiadłości są od siebie oddalone o niecałe dwadzieścia mil. Jednak Forsythe nigdy nie był dla mnie kimś więcej niż znajomym, zapewniam. Wierzy mi pani?

- Wierzę, gdyż jest pan prawdziwym dżentelmenem - odpowiedziała Elizabeth. - Wyczuwałam jakiś podstęp ze strony sir Montague'a, ale... - Urwała, gdyż do jadalni wszedł jakiś mężczyzna w średnim wieku, wysoki, dobrze zbudowany, o ciemnej, zniszczonej cerze i długim nosie. Przekonana, że to właśnie ten człowiek stał za nieszczęściem, jakie spotkało jej rodzinę, Elizabeth posłała Elworthy'emu porozumiewawcze spojrzenie i natychmiast wyszła.

W holu natknęła się na gospodarza, który oznajmił, że pokoje są gotowe. Elizabeth podziękowała mu i czym prędzej udała się na górę, gdzie czekała już na nią Mary. Próbowana zwalczyć narastający w niej gniew. Nic nie mogło zmienić tego, że przyjmując przekłętą zakład, Forsythe skazał całą jej rodzinę na ogromne cierpienie. Bez wątpienia ponosił winę za śmierć jej ojca.

- Panienko, jesteśmy w sąsiednich pokojach, proszę mnie w razie czego zawołać - zatroszczyła się Mary.

Elizabeth wiedziała jednak, że służąca zapada w kamienny sen i z pewnością nie usłyszałyby żadnych nawoływań. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciała zabierać ze sobą Mary, ale lady Wentworth nalegała, twierdząc, że młoda dziewczyna nie powinna podróżować sama.

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby - powiedziała do służącej. - Zamierzam zamknąć drzwi od środka i radzę ci zrobić to samo. Jeśli teraz pomożesz rozpakować mi rzeczy, to później nie będę cię już przywoływać.

Po wyjściu Mary zdjęła kapelusz, pelerynę i położyła je na stołku obok łóżka. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. To żona gospodarza przyniosła kolację. Posiłek składał się z kilku gatunków wędlin, komiszonów, połowy bochenka chleba i osełki masła. Było również mocne piwo.

- Mówiła panienka, że chce lekką kolację - odezwała się kobieta, stawiając dzbanek z wodą na nocnym stoliku.

- Tak, dziękuję pani. - Elizabeth miała jeszcze ochotę na filiżankę herbaty, ale wątpiła, by można było tu dostać odpowiednio zaparzoną.

Kiedy gospodyni wyszła, zjadła małą kromkę świeżego chleba z masłem. Nie mając ochoty na pikle i mięso, wypijała tylko kilka łyków ciemnego piwa.

Wyjrzała przez okno. Było jeszcze jasno. Nie była senna i dręczyła ją wewnętrzny niepokój, jednak postanowiła nie wychodzić z sypialni. Młodej kobiecie nie wypadało samotnie błąkać się po gospodzie, zwłaszcza że jednym z gości był taki nikczemnik jak sir Montague. Zapewne nie wiedział, że Elizabeth tu się zatrzymała. Miała nadzieję, że w ogóle nie wiedział, kim ona jest... chyba że poinformował go o tym pan

Elworthy. Była pewna jednego - za nic w świecie nie chciała spotkać sir Forsythe'a.

Odkryła, że w nocnej szafce znajduje się spory zapas świec, co oznaczało, że może poczytać przed snem. Pragnęła, by jej długa podróż dobiegła już końca. Czuła się samotna i znudzona towarzystwem Mary. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby żyła mama.

Trzeba wziąć się w garść, nawet jeśli przyszłość nie maluje się w zbyt jasnych barwach, napomniała się Elizabeth. Z niepokojem myślała o nowej pracy. Będzie musiała spełniać każdą zachciankę lady Isadory, być na każde zawołanie.

Z czasami zastanawiała się, jak ułożyłoby się jej życie, gdyby przyjęła którąś z trzech ofert małżeństwa, jakie otrzymała w wieku dziewiętnastu lat. Choć podczas debiutu towarzyskiego nie wszystkich olśniła jej uroda, to kilku dżentelmenów wyraźnie zainteresowało się jej osobą. Niestety, żaden adorator nie przypadł jej do gustu, a mama powiedziała, że należy zaczekać na właściwego kandydata. Zatem czekała... i czeka po dziś dzień. Choroba ojca i tragiczny w skutkach zakład sprawiły, że nie wzięła udziału w kolejnym sezonie towarzyskim.

I tak nie mogłabym poślubić żadnego z ubiegających się o moją rękę, pomyślała Elizabeth, czesząc włosy. W ciepłym świetle świec rysy jej twarzy wydawały się łagodniejsze, a włosy nabierały rudawego koloru. Elizabeth nie była piękną, lecz nie brakowało jej wdzięku, a jej oczy miały niepospolity urok. Nie była jednak świadoma swych zalet i nie podkreślała urody, dbając jedynie o staranne uczesanie i schludny ubiór. Modne stroje na nic by się zdały, gdyż od ponad dwóch lat nie uczestniczyła w życiu towarzyskim i zdążyła się pożegnać z marzeniami o zamążpójściu i dzieciach. Mogła być tylko ciotką dla dzieci brata, jeśli ten zechce się ożenić.

Elizabeth sięgnęła po książkę, tomik wierszy z biblioteki jej ojca. Był to jeden z niewielu przedmiotów, jakie udało się jej zabrać z domu. Powiedziano im, że mogą wziąć ze sobą tylko rzeczy osobiste, a że tomik był akurat u niej w sypialni, nie przypadł wraz z innymi książkami. Lady Travers natomiast zabrała jedynie kilka sztuk srebra, które stanowiły jej prywatną własność. Elizabeth zostawiła je jednak w Worth Towers, na wypadek gdyby Simon potrzebował pieniędzy po powrocie z Oxfordu.

Nie mogła wyobrazić sobie brata w roli jakiegoś podrzędnie księgowego, ale wiedziała jak trudno będzie mu znaleźć lepszą posadę. Powinna z nim o tym pomówić i dowiedzieć się, co Simon chce robić w życiu.

- Och, tato - wyszeptwała, kładąc się do łóżka. - Tak bardzo bym chciała, żebyś nie zakładał się z sir Forsythe'em. Wszystko byłoby teraz inne, łatwiejsze...

Następnego ranka Elizabeth zjadła wyśmienite śniadanie, składające się ze świeżych maślanych bułeczek z miodem. Szybko zeszała na dół w nadziei, że spotka pana Elworthy'ego, okazało się jednak, że wyjechał kilka minut wcześniej. Przez moment żałowała, iż nie zdążyła więcej dowiedzieć się na temat zakładu pomiędzy Forsythe'em a jej ojcem, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że Elworthy powiedział jej już wszystko.

Na szczęście Mary nie zasnęła, więc mogły opuścić karczmę dość wcześnie i udać się w dalszą podróż. Nie zatrzymały się już na posiłek, gdyż Elizabeth, przezorna jak zawsze, poprosiła żonę gospodarza o spakowanie prowiantu. Dzięki jej zapobiegliwości powóz zjechał pod posiadłość Cavendish Hall wcześniej, niż przewidywano.

Poczuła ulgę, kiedy okazało się, że dom nie jest olbrzymią rezydencją, jak się spodziewała, ale piękną, zadbaną wiejską posiadłością. Solidny budynek z dużymi oknami i pięknym dachem pokrytym łupkiem przypominał jej dom rodzinny. Od razu zrobiło jej się lżej na sercu.

- Będzie tu panience dobrze - wyraziła swoje zdanie Mary, gdy lokaj pomógł im wysiąść z powozu. - Dom nie jest większy niż Worth House.

- To prawda - przytaknęła Elizabeth. - I jest równie piękny. Spójrz tylko na te pnące róże!

- Przecudne! Te okna nad nimi wychodzą na południe. Jeśli będzie panienka miała tu pokój, będzie ciepły nawet zimą. Wspomni panienka moje słowa!

- Obawiam się, że tylko właściciele mają pokoje z widokiem na dziedziniec - odparła Elizabeth.

Wydawało jej się, że w jednym z okien mignęła sylwetka damy ubranej w kremową suknię. Po chwili z domu wyszła jednak inna kobieta, w skromniejszym, szarym stroju.

- Panna Travers? - zapytała, uśmiechając się do gości. - Nazywam się Bates i jestem ochmistrzynią lady Isadory. Cieszę się, że podróż minęła bez przeszkód. Obawialiśmy się, że może panienka spóźnić się z powodu złego stanu dróg.

- To prawda, niektóre wiejskie drogi były w nie najlepszym stanie, ale na szczęście pogoda dopisała, poza tym udało nam się szybko przejechać głównym traktem - odpowiedziała Elizabeth.

Ochmistrzyni zaprosiła gości do środka. W holu czekała młoda służąca, która miała zająć się Mary. Elizabeth chciała odświeżyć się przed spotkaniem z pracodawczynią, lecz zamiast do swojego pokoju, została zaprowadzona do salonu na pierwszym piętrze.

- Jaśnie pani oczekuje na panienkę w salonie. W tym czasie służąca rozpakuje pani bagaże.

- Oczywiście. - Elizabeth musiała przyzwyczać się do tego, że jest tu tylko pracownikiem i nie może robić tego, na co ma ochotę. - Dziękuję, pani Bates. - Uśmiechnęła się do służącej, która otworzyła drzwi do salonu.

Przestąpiwszy próg wytwornego pokoju, Elizabeth spojrzała na damę odpoczywającą na sofie przy kominku, w którym mimo słonecznej pogody palił się ogień. Kobieta była ubrana w wytworny kremowy peniuar i wyglądała dużo młodziej, niż wyobrażała sobie Elizabeth, która na szczęście miała na sobie swoją najlepszą suknię, wprawdzie w nieefektywnym szarym kolorze, ale za to z pierwszorzędnej jakości materiału.

- Lady Isadora...? - odezwała się niepewnie.

- Moja droga Elizabeth! - Dama z entuzjazmem powitała gościa i dźwignęła się do pozycji siedzącej. - Tak się cieszę, że już jesteś! - Zakaszła słabo. - Ostatnio byłam w nie najlepszej formie, ale czuję się znacznie lepiej. Może to dzięki twojemu przyjazdowi odzyskałam dobry nastrój.

- Jestem ogromnie rada z zaproszenia do pani pięknego domu - powiedziała Elizabeth, dygając. - To bardzo miło z pani strony, że zaproponowała mi pani posadę damy do towarzystwa.

- Och nie, to mnie jest miło, że zgodziłaś się ją przyjąć, drogie dziecko - odparła lady Isadora i wyciągnęła ręce, by ją powitać. - Pani, która dotrzymywała mi towarzystwa przez długie lata, wyjechała do matki; moja córka spodziewa się dziecka, co oznacza, że nie może podróżować, a syn odwiedza mnie rzadko. Aż trudno mi uwierzyć, że aktualnie jest tutaj. Mam nadzieję, że będzie nam towarzyszył przy kolacji.

Elizabeth ujęła dłonie wytwornej damy i, klękając

przy jej postaniu, pocałowała ją w policzek. Lady Isadora odwzajemniła ten przyjacielski gest i wskazała dziewczynie krzesło.

- Zatem musi się pani ogromnie cieszyć z odwiedzin syna.

- Oczywiście - odparła lady Isadora. - Cavendish bardzo się teraz o mnie troszczy. Jednak brakowało mi towarzystwa młodej, energicznej damy. Gdyby żyła moja najmłodsza córka, miałyby dzisiaj osiemnaście lat. Właśnie planowałabym jej zamążpójście. Ostatnio dużo o tym myślę.

- Serdecznie pani współczuję - powiedziała Elizabeth.

- Bardzo mi jej brakuje... - wyznała lady Isadora. - Moja starsza córka jest zamężna i nieczęsto się widzimy - dodała, jakby zapominając o tym, że Melanie spędziła u niej cały lipiec.

- Zapewne ma pani wielu przyjaciół...

- Niby tak - odparła z przekąsem lady Isadora - ale z nikim nie widywałam się z powodu mojej choroby. Teraz, gdy czuję się odrobinę lepiej... - Zamilkła, usłyszawszy odgłos kroków w holu. A tak prosiła Daniela, żeby nie wchodził do salonu przed kolacją. Najwyraźniej zignorował jej prośbę albo o niej zapomniał.

- Wygląda na to, że będziemy miały towarzystwo.

- Mamo... - zaczął hrabia, wchodząc do pokoju.

Przez chwilę patrzył na matkę, po czym przeniósł wzrok na pannę Travers. W najmniejszym nawet stopniu nie spodziewał się tego, co zobaczył. Dziewczyna była... intrygująca. W żadnym razie nie określiłby jej mianem brzydkiej starej panny z głębokiej prowincji. To oznaczało zaś, że matka znowu coś knuje.

- Przepraszam, panno Travers. Nie spodziewaliśmy się pani tak wcześniej.

- Widzę, że przeszkadzam... - Elizabeth zmieszała się, czu-

jąc, że jej obecność nie odpowiada hrabiemu. Wstała z zamiarem odejścia.

- Och, moja droga, nie przejmuj się Danielem - uspokoiła ją lady Isadora. - Zadzwoń po herbatę, jeśli możesz... na stoleku za tobą jest taki mały dzwoneczek. A może masz ochotę najpierw się odświeżyć?

- Dziękuję, pójdę umyć ręce przed podwieczorkiem - odparła. - Wróć za piętnaście minut. Chyba że chciałby pan dłużej porozmawiać z matką... - Rzuciła hrabiemu nieco zakłopotane spojrzenie.

- Z pewnością wystarczy mi kwadrans - odpowiedział z dziwnym wyrazem twarzy. - Poza tym jestem pewien, że mama będzie z niecierpliwością oczekiwać pani powrotu. Macie sobie panie tyle do opowiedzenia...

Przyglądał się jej przenikliwie, jakby ją o coś podejrzewał. Elizabeth dygnęła, obdarzyła pracodawczynię promiennym uśmiechem i ruszyła do wyjścia, wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Na chwilę przystanęła za progiem, zastanawiając się, czy powinna zamknąć za sobą drzwi. Pech chciał, że dobiegły ją słowa hrabiego.

- Co mama znowu knuje? - zapytał Daniel. - Wcale nie jest taką szarą myszką, za jaką ją braliśmy. Powiedziałbym nawet, że jest dość interesująca. Myślę, że moja interwencja w tej sprawie będzie zbyteczna.

- Danielu, nie bądź złośliwy. Nie sądzisz, że jest uroczą?

Elizabeth popędziła na górę, nie chcąc słyszeć ani słowa więcej z ich rozmowy.



Rozdział drugi

Uczynny lokaj wskazał Elizabeth drogę do jej pokoju: pięknej, dużej sypialni z widokiem na dziedziniec. Mary wraz z młodą służącą właśnie kończyła rozpakowywać kufry. Promienie słońca zalewały pokój, wypełniając go ciepłym światłem. Dziewczęta śmiały się radośnie; najwyraźniej bardzo się polubiły. Jednak kiedy Elizabeth weszła do środka, młodsza z dziewcząt natychmiast wstała i ukłoniła się nisko. Miała na imię Amy i zgodnie z życzeniem lady Isadory była nową służącą Elizabeth.

- Zastąpię Mary po jej powrocie do domu - wyjaśniła Amy.
- Teraz Mary pomaga mi poznać pani zwyczaje i upodobania, panno Travers.
- To bardzo miło z twojej strony - podziękowała Elizabeth
- ale ja nie mam jakichś szczególnych potrzeb i najczęściej sama doбираю sobie garderobę.

Amy z uznaniem przyjrzała się strojowi Elizabeth. Choć skromny, był świetnie skrojony i podkreślał walory jej figury. Poprzedniczka panny Travers miała suknie w znacznie gorszym guście i gatunku. Nie należało się jednak temu dziwić - w kuchni plotkowano, że panna Travers jest raczej przyjaciółką rodziny niż pracownikiem.

- Będę prasować suknie i, jeśli panienka zechce, układać włosy przed spotkaniami towarzyskimi - zaproponowała Amy.

- Dobrze, zobaczymy. - Elizabeth nie spodziewała się, że zostanie jej przydzielona osobista pokojówka i że lady Isadora wydaje przyjęcia wymagające wymyślnych fryzur i strojów. Na szczęście przywiozła ze sobą wszystkie najlepsze suknie.

- Czy mogłybyście zostawić mnie na chwilę samą? Potrzebuję odrobiny samotności.

- Oczywiście panno Travers. Chodź, Mary, pokażę ci, gdzie jemy posiłki.

Elizabeth umyła ręce i przejrzała się w okazałym kryształowym lustrze w kształcie tarczy, stanowiącym komplet z innymi meblami w pokoju. Sypialnia musiała być niedawno umeblowana na nowo, gdyż całe wyposażenie charakteryzowało się niezwykłą lekkością i elegancją. Wyglądało na to, że przydzielono jej najlepszy pokój gościnnie, czego absolutnie się nie spodziewała.

Oblała się rumieńcem na wspomnienie prześmiewczego tonu hrabiego. Najwyraźniej brali ją za prostą, zakompleksioną, wiejską dziewczynę; stała się obiektem drwin i żartów. Ogarnęło ją rozgoryczenie. Była przecież córką dżentelmena! Zaczynała się obawiać, że przyjęto ją tutaj z litości, gdy tymczasem jej sytuacja była trudna, ale nie beznadziejna. Postara się uczciwie zapracować na swoje utrzymanie w tym domu, gdyż nie zamierzała przyjmować jałmużny.

Co jednak mógł mieć na myśli hrabia, mówiąc, że jego pomoc będzie zbędna? Jaka pomoc? W czym? Musiała się przysłyszeć. To przecież nie miało sensu.

Powinnam zaufać lady Isadorze i nie posądzać jej o jakieś konszachty z własnym synem, zdecydowała Elizabeth, schodząc na dół.

Stanawszy przed drzwiami salonu, poczuła jednak ogarniający ją niepokój. Co będzie, jeśli hrabia nadal tam przebywa? Kiedy jednak zapukała i została zaproszona do środka, okazało się, że lady Isadora jest sama.

- Ach, moja droga - zwróciła się do Elizabeth. - Szybko się uwinęłaś. Mnie zajęłoby to całą wieczność.

- Nie chciałam, żeby pani na mnie czekała.

- Och, nie bądźmy takie oficjalne. Czy mogłabyś mówić mi po imieniu, kiedy jesteśmy same?

- Proszę mi wybaczyć, ale tak krótko się znamy... Chciałabym okazywać pani należyty szacunek. Czy nie obrazi się pani, jeśli przejdziemy na ty za jakiś czas? Na początek będzie mi o wiele łatwiej zwracać się do tak zycznej i szanowanej damy per pani.

- Oczywiście, jak sobie zyczysz. Obiecuję, że kiedy już się tu zadomowisz, będziesz do mnie mówić Isadora albo po prostu Dora. Tak nazywają mnie wszyscy przyjaciele. Zapewne zdziwi cię wiadomość, że nie prowadzę tu ożywionego życia towarzyskiego. Co innego latem, kiedy jedziemy do Brighton albo Bath. Do Londynu wyjeżdżam rzadko... to miasto jest dla mnie zbyt męczące.

Elizabeth, która wcześniej wyobrażała sobie lady Isadorę jako zniechęconą staruszkę, zrozumiała, jak bardzo się myliła. Może i choroba, na którą cierpiała dama, była dokuczliwa, ale w najmniejszym stopniu nie przeszkadzała jej w snuciu towarzyskich planów na przyszłość.

- Moja mama też niechętnie wyjeżdżała do stolicy. Dlatego i ja nieczęsto tam bywałam. Ojciec natomiast odwiedzał Londyn jedynie w interesach...

W tym momencie głos jej się załamał. To właśnie podczas jednego z takich wyjazdów sir Edwin znalazł rodzinę.

- Bardzo mi przykro - wyszeptła lady Isadora, bez trudu

odgadując, co tak zasmuciło Elizabeth. - Spróbuj wziąć się w garść i zapomnieć o duchach przeszłości. Jesteś za młoda, żeby tak się zamartwiać. Przyjechałaś tutaj, by dotrzymać mi towarzystwa, a ja naprawdę go potrzebuję. Obie mamy powody do smutku, ale musimy patrzeć w przyszłość z optymizmem i nadzieją. Teraz, kiedy tu jesteś, znów zacznę korzystać z uroków życia... oczywiście jeśli zdrowie mi na to pozwoli. - Zakaszła słabo i dotknęła ust lawendową chusteczką. - Pojeżdż tu, dziecko, usiądź obok mnie. Już wcześniej chciałam cię prosić, żebyś powiedziała mi parę słów o sobie, ale Daniel nam przeszkodził.

Elizabeth oblała się rumieńcem.

- Czy hrabia Cavendish często tu bywa?

- Tylko od wielkiego dzwonu. - Lady Isadora z rezygnacją machnęła ręką. - Nie przejmuj się nim, moja droga. Mój syn ma swoje życie i nie będzie nam przeszkadzał. Będziemy żyły sobie spokojnie tutaj, od czasu do czasu zapraszając kilkoro moich starych przyjaciół.

To uspokoiło Elizabeth. Skąd mogła wiedzieć, że lady Isadora lubi czasami dać się ponieść wyobraźni...

- My z mamą także obracałyśmy się jedynie w gronie zaufanych przyjaciół. Ale od czasu jej śmierci jedynymi ludźmi, z którymi spędzałam czas, byli państwo Wentworth - przyznała Elizabeth.

- Jestem niezmiernie wdzięczna lady Wentworth, że pozwoliła ci do nas przyjechać. Pisała o tobie w samych superlatywach.

- Och, nie wiedziałam, że wymieniały panie korespondencję... - Elizabeth była zaskoczona i odrobinę zła, że ktoś, komu ufała, działał za jej plecami. - Lady Wentworth była wspólną sąsiadką i wierną przyjaciółką przez całe dwadzieścia

lat. Chciała, żebym na stałe zamieszkała u niej w domu, ale nie mogłam sprawić jej takiego kłopotu. Zdecydowałam się poszukać pracy i wtedy przyszedł list od pani. Mam nadzieję, że będzie pani ze mnie zadowolona.

- Jestem o tym głęboko przekonana. Potrzebuję kogoś, kto ocali mnie od nudy i samotności. - Lady Isadora uśmiechnęła się tak radośnie, że trudno byłoby ją teraz uznać za osobę wymagającą opieki i pomocy. - W zeszłym tygodniu były urodziny mojej świętej pamięci córki. Odżyły we mnie wspomnienia i smutek związany z jej odejściem.

- Doskonale panią rozumiem - powiedziała cicho Elizabeth, wiedząc aż nadto dobrze, jak bolesne mogą być wspomnienia o tych, którzy odeszli. - Dla mnie i dla mamy szczególnie trudnym okresem były święta Bożego Narodzenia. To ojciec zawsze zabawiał wtedy wszystkich gości i dbał o świąteczną atmosferę.

- Zatem rozumiesz, co teraz czuję. - Lady Isadora pokiwała głową. - Nie smućmy się, droga Elizabeth. Będziemy dobrze się bawić w towarzystwie moich przyjaciół. Jestem pewna, że bardzo cię polubią.

- Będę rada ich poznać i zaprzyjaźnić się z nimi. Mówi pani o przyjemnościach, a chciałabym wiedzieć, jakie będą moje obowiązki.

- Obowiązki... - powtórzyła lady Isadora, jakby nie do końca rozumiejąc, o co chodzi. Traktowała Elizabeth jak gościa, nie jak pracownika. Nie chciała jednak, by dumna młoda dama odniosła wrażenie, że ktoś się nad nią lituje.

- No cóż, lubię haftować, ale dziwnym trafem zawsze płaczą mi się nici. Ciągłe gubię swoje rzeczy i potem nie mogę ich znaleźć. Liczę na twoją pomoc. Poza tym uwielbiam, jak ktoś miłym głosem czyta mi którąś z książek z biblioteki Daniela,

a musisz wiedzieć, że mój syn ma wspaniały zbiór. Proszę, nie wahaj się z niego korzystać. Jednak przede wszystkim potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać na różne tematy. Myślisz, że mogłabyś pomóc mi w tych sprawach?

- Z wielką przyjemnością - odparła Elizabeth, zaskoczona podejrzanym skromnym zakresem obowiązków. No cóż, sama będzie musiała wyszukać dodatkową pracę. Zdażyła już zauważyć, że domowe bukiety nie były zbyt starannie ułożone i musiały stać w wazonach co najmniej od kilku dni. - Bardzo lubię układać kwiaty, mogłabym się tym zająć - zasugerowała nieśmiało.

- O właśnie, to kolejna rzecz, o którą chciałam cię prosić - skłamała bez mrugnięcia okiem lady Isadora. - Nasz pastor zawsze prosi mnie o dostarczenie kwiatów do kościoła. Myślę, że mogłabyś mu pomóc także i w innych sprawach. To przemiły, młody człowiek... zbyt młody, żeby był samotny. Jego żona zmarła przy porodzie. Dziecko, niestety, też nie przeżyło. Straszna tragedia, a byli takim kochającym się małżeństwem.

- To bardzo smutna wiadomość, serdecznie mu współczuję - wyduśliła z siebie Elizabeth.

- Bardzo lubiłam Annabel - wyznała lady Isadora. - Była wiecznie zajęta, zaangażowana w pomoc potrzebującym. Często mnie odwiedzała, a ja starałam się ją wspierać, ofiarowując jej rzeczy dla ubogich albo na kiermasz dobroczynny. Co roku we wrześniu organizujemy taką wentę. Wielebny Bell już od długiego czasu pomaga zbierać datki dla najuboższych w kraju i za granicą. To człowiek wielkiego serca, choć trochę zbyt poważny jak na swój wiek.

- Przeżył wielką tragedię - powiedziała Elizabeth.

- Biedny człowiek. - Lady Isadora westchnęła. Nie tak dawno temu była przekonana, że córka jej zmarłej przyjaciółki by-

łaby idealną żoną dla duchownego. Jednak gdy ją poznała, doszła do wniosku, że to nie najlepszy pomysł. Zamierzała teraz znaleźć dla Elizabeth kogoś znacznie ciekawszego. - No cóż, moja droga, myślę, że te wszystkie zajęcia wypełnią ci czas i nie będziesz się nudzić pod moim dachem.

- Wygląda na to, że mogę się na coś przydać. - Elizabeth odetchnęła z ulgą.

Szczerze mówiąc, powierzone jej zadania były podobne do tych, które wypełniała w domu: niezbyt ciężkie, lecz wymagające pomysłowości i zaangażowania. Wciąż jednak uważała, że powinna znaleźć sobie dodatkowe zajęcia. Zaczynała czuć, że może być szczęśliwa w tym domu... oczywiście pod warunkiem, że hrabia Cavendish nie będzie zbyt często przyjeżdżał. Wyczuła, że nie jest jej przychylny. Traktował ją z rezerwą i dużym dystansem, a jego szyderczy ton uraził jej dumę.

Rozmawiały przez dłuższy czas. W pewnej chwili Elizabeth zorientowała się, że jest już późno.

- O której zasiadamy do posiłku? - zapytała.

- Kiedy nie ma Daniela, proszę kucharza, żeby przygotował obiad wcześniej, ale gdy syn przyjeżdża, gromadzimy się w jadalni o szóstej. - Lady Isadora spojrzała na zegar, pożąłcane cacko ze srebrną tarczą i odlanymi w brązie figurkami aniołków. Jak się okazało, zegar był prezentem od syna i został kupiony w Paryżu. - Możemy zacząć przygotowywać się do obiadu. Jest już wpół do piątej, a monsieur Delfarge nie znosi czekania z posiłkiem. - Lady Isadora wydawała się w pełni usatysfakcjonowana towarzystwem Elizabeth. Rozmawiały godzinę, a miała wrażenie, że minęła zaledwie chwilka. - Czas tak szybko płynie w miłej atmosferze.

- To prawda - przyznała Elizabeth. - Mają tu państwo francuskiego kucharza?

- Tak. Daniel ma upodobanie do dobrej kuchni i bardzo o mnie dba pod tym względem. Szkoda tylko, że nie przejmuję się moją samotnością. Jak zapewne się domyśliłaś, ten dom należy do mojego syna. Nie spędza tu wiele czasu... przynajmniej znacznie mniej niż w Londynie i innych swoich posiadłościach, ale kiedy już mnie odwiedza, stara się, żeby niczego mi nie brakowało.

Elizabeth pokiwała z uznaniem głową. Najwyraźniej nie doceniła synowskiej troski hrabiego Cavendisha.

Wstała, by pomóc lady Isadorze opuścić pokój.

- Czy mogłabym jeszcze w czymś pani usłużyć?

- Och, nie ma takiej potrzeby. Moja garderobiana pomoże mi się ubrać... O! Może zagrałabyś dla nas dziś wieczorem? Twoja matka mówiła, że doskonale grasz na fortepianie. Daniel kupił niedawno piękny nowy instrument. Ja sama nie grywam już zbyt często, lecz ciebie z wielką chęcią posłucham.

- Rzeczywiście, gra na fortepianie sprawia mi dużą przyjemność - wyznała Elizabeth. - Nie jestem wirtuozem, ale staram się wkładać w to całą duszę.

- Jestem pewna, że usłyszymy piękny koncert - stwierdziła z ukontentowaniem lady Isadora. - Uwielbiam wieczorki muzyczne. Serena miała taki wspaniały głos... A ty, Elizabeth, śpiewasz czasami?

- Zdarza mi się, ale ostatnio jakoś nie miałam nastroju do śpiewu.

- Bądź tak miła i zagraj dla nas dzisiaj, a zaśpiewasz innym razem - zakończyła rozmowę lady Isadora.

Obie panie udały się do swoich pokoi, by przygotować się do obiadu.

Elizabeth miała nareszcie czas, by dokładniej rozejrzeć się po sypialni. Nie musiała śpieszyć się z przygotowaniami - do posiłku pozostała jeszcze godzina. Wytwornie urządzony pokój od razu bardzo przypadł jej do gustu. Pod oknem stało zgrabne biurko, przy którym mogła pisać listy, był też wygodny fotel i krzesło, stolik, komoda, a także okazałych rozmiarów szafa.

Przywiozła dwie eleganckie suknie wieczorowe: jedną z pięknego, srebrzystego jedwabiu, a drugą z ciemnogrzanatowego aksamitu. Tę aksamitną miała na sobie zaledwie parę razy. Dawno nie kupiła sobie wyjściowej sukni; starsze stroje zostawiła w domu, sądząc, że w zupełności wystarczą jej dwie szykowne kreacje. Otworzyła olbrzymią szafę, ze smutkiem myśląc, że nigdy nie zdoła jej zapełnić. Przeżyła niemal szok, ujrzawszy na wieszaku kilka nowych sukien. Ostrożnie wyjęła piękną wieczorową kreację z żółtego jedwabiu. Gdy przyglądała się jej z zachwytem, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Amy.

- Byłoby w niej panience do twarzy - stwierdziła służąca.
- Wydaje mi się, że jest nieco za długa, ale mogę ją naprędce skrócić, jeśli panienska chciałaby ją włożyć.

- Przecież to nie moja suknia. Widzę ją pierwszy raz w życiu - odpowiedziała Elizabeth.

- Jaśnie pani pozwoliła sobie kupić te stroje dla panienki jako prezent powitalny - wyjaśniła Amy. - Nie była pewna rozmiaru, więc specjalnie zamówiła nieco dłuższe suknie, żebyśmy mogły je dopasować po panienki przyjeździe.

- Rozumiem. - Elizabeth była przekonana, że w ramach umowy o płacę sama będzie mogła wybierać stroje. Nie była jeszcze gotowa do noszenia sukni w tak żywym kolorze, choć musiała przyznać, że kreacja z pierwszorzędnej jakości jedwa-

biu, uszyta zgodnie z wymogami najnowszej mody, prezentowała się niezmiernie elegancko. - Jestem bardzo wdzięczna lady Isadorze i tobie, Amy, ale nie mogę wystąpić w tej sukni ze względu na żałobę. Może za kilka tygodni... Dzisiaj włożę swoją szarą sukienkę.

- Też jest bardzo ładna, panienko - zapewniła Amy. Wcześniej zauważyła, że Elizabeth doskonale wygląda w tym stroju. - Czy życzy sobie panienka, żebym ją uczesała? Mogłabym upiąć włosy odrobinę inaczej, jeśli panienka nie miałaby nic przeciwko temu.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie jestem jeszcze gotowa na zmiany. Może później.

- Oczywiście panno Travers. - Amy nie proponowała już swej pomocy, choć w głębi duszy uważała, że młoda dama mogłaby bardziej podkreślić swe walory.

Elizabeth włożyła szarą suknię. Po namyśle okoliła szyję sznurem drobnych pereł, które dostała od matki na urodziny. Naszyjnik był prezentem ślubnym od ojca dla świeżo poślubionej małżonki. Delikatnie, ze wzruszeniem, dotknęła pereł. Miała nadzieję, że ożywią strój i dodadzą blasku jej twarzy.

Po wyjściu Amy obejrzała pozostałe stroje zakupione przez lady Isadorę: wdzięczną suknię dzienną w szerokie zielone pasy, ciemnoniebieską suknię spacerową i trzy kreacje wieczorowe. Elizabeth była pełna uznania dla gustu swej pracodawczyni. Musiała przyznać, że wybrałyby dla siebie bardzo podobne stroje na okres sezonu towarzyskiego, jednak w obecnej sytuacji takie kreacje wydawały się jej zbyt wytworne. Na cóż skromnej damie do towarzystwa wytworne toalety? Skoro jednak lady Isadora uznała suknie za odpowiednie, należało zrobić jej przyjemność i je nosić... oczywiście dopiero po zakończeniu żałoby.

Była dopiero za dwadzieścia szóstą, jednak Elizabeth postanowiła zejść na dół. Lady Isadora wspomniała o imponującej bibliotece hrabiego Cavendisha. Zamierzała się rozejrzeć wśród półek, znaleźć jakąś lekturę do poduszki i coś do czytania lady Isadorze. Zapytała jednego z lokajów o drogę do biblioteki. Okazało się, że mieści się ona na parterze, w tylnej części domu.

Przekroczywszy próg, Elizabeth oniemiała z zachwytu. Biblioteka mogła zaimponować swym ogromem. Mahoniowe regały sięgające po sam sufit były wypełnione książkami, a przez okazałych rozmiarów okna wpadało dużo światła, co znacznie ułatwiało czytanie. Dla wygody czytelników w pokoju ustawiono kilka wygodnych sof, foteli, krzesel i stolików.

Przechadzała się wzdłuż regałów, dziwiąc się, że książki nie są posegregowane. Poezja mieszała się tu z prozą, roczniki ksiąg rachunkowych z pozycjami historycznymi i oprawionymi w skórę dokumentami dotyczącymi posiadłości. Na półkach panował nieopisany bałagan.

- Pewnie pani uważa, że ktoś powinien uporządkować te książki.

Elizabeth aż podskoczyła na dźwięk głosu Daniela Cavendisha.

- Och, przepraszam, nie słyszałam, jak pan wszedł - zwróciła się do niego.

- Mój ojciec był wielkim miłośnikiem książek - wyjaśnił hrabia, nie zwracając uwagi na jej przeprosiny. - Swego czasu kupował ich bardzo dużo, jednak nie potrafił ich posegregować. Już dawno chciałem się tym zająć, skatalogować wszystkie pozycje, ale zawsze brakowało mi czasu.

- Macie tu państwo prawdziwe skarby. Widzę pierwodruki, z pewnością bardzo cenne - powiedziała, przebiegając wzro-

kiem zawartość półek. - Jak chciałby pan posegregować książki? Kategoriami czy według autora?

Hrabia popatrzył na nią z uwagą.

- Czyżby zamierzała pani podjąć się tego niewdzięcznego zadania, panno Travers?

- Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność, choć nie ukrywam, że potrzebne będą całe miesiące, jeśli nie lata, by zaprowadzić tu należyty porządek. Oczywiście nie zrobię niczego bez pana zgody.

- Wolałbym pani nie zamęczać, panno Travers. Gdybym się zgodził, moja matka natychmiast uznałaby mnie za bezdusznego potwora i ciemiężcę. Jeśli jednak naprawdę ma pani ochotę wprowadzić tu ład, a na dodatek znajdzie w tym pani przyjemność, proszę się nie krepować.

- Według mnie książki powinny zostać dobrane tematycznie i znaleźć się na osobnych regałach: roczniki i dokumenty na jednym, na kolejnych stanęłyby odpowiednio uszeregowane pozycje historyczne, poezja i literatura.

- Doskonały pomysł, panno Travers. Coś mi mówi, że nikt zająłby się moją biblioteką lepiej niż pani.

- Och... - Elizabeth oblała się delikatnym rumieńcem. Przeciągnę spojrzenie hrabiego sprawiło, że serce zatrzepotało jej w piersi. - Zatem mam pańską zgodę. Ogromnie się cieszę. Uwielbiam książki, lubię wśród nich przebywać, dotykać ich, wracać do ulubionych fragmentów... Skatalogowanie tak wspaniałej kolekcji będzie dla mnie zarówno wyzwaniem, jak i przyjemnością.

- Naprawdę uważa pani tę kolekcję za interesującą? Wiem, że jest tu parę unikatowych pozycji, ale o reszcie miałem nie najlepsze zdanie.

- Jak pan może...- niemal oburzyła się Elizabeth, jednak

dojrawszy spojrzenie hrabiego, rozumiała, że się z nią droczy. - Naprawdę nie wie pan, jakie są tu skarby?

- Żartuję. Sam zadbałem o to, żeby mieć w kolekcji parę białych kruków. I gdyby nie moje karygodne leniwość, te książki już dawno byłyby właściwie ułożone. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że jest to moja pierwsza wizyta w domu od powrotu. Poza tym musiałem dopilnować innych naszych posiadłości. Tuż przed śmiercią ojciec nie czuł się najlepiej, więc wszystkie sprawy spadły na moje barki.

- Domyślam się również, że nie chciał pan wprowadzać znaczących zmian zbyt wcześnie...

Hrabia spojrział na nią z uznaniem.

- Jest pani niezwykle spostrzegawcza, panno Travers. Pod koniec życia ojciec zaniedbał domostwo. Stopniowo wprowadzałem zmiany, aż w końcu zapanował tu porządek. Zrobiłem to głównie dla matki, wiedząc, że jest to jej ulubiona posiadłość. Rzadko bywa w naszych domach w Hampshire i Devon. A ja większą część roku spędzam w Londynie.

Elizabeth skinęła głową. W domu widać było zmiany wprowadzone przez hrabiego.

- Mam wrażenie, że lubi pan styl Adamów - powiedziała. - Jeśli tak, to muszę przyznać, że podzielam pańskie upodobanie.

- Pan Chippendale jest również znakomitym projektantem, a jednak jego meblom brakuje lekkości, która charakteryzuje projekty Adamów - odparł hrabia.

- Jestem tego samego zdania - przyznała Elizabeth. - Niedawno lady Wentworth przemeblowywała posiadłość Worth Hall. Rozważałyśmy, czyje meble wybrać do salonu, Sheratona czy Adama. Ostatecznie wybór padł na tego drugiego i byliśmy bardzo zadowolone.

- Ach... - Daniel uśmiechnął się. - Teraz już wiem, do kogo zwrócić się o pomoc, kiedy trzeba będzie nakłonić mamę do przemeblowania apartamentów.

- Och, nie! - zaproponowała Elizabeth. Czyżby stroił sobie z niej żarty? A może weszła mu w słowo, zapominając na chwilę, że jest tu tylko pracownikiem? - Nie mogłabym poczuć lady Isadory, która ma przecież doskonały gust.

- Tak, tak - mruknął z uśmiechem. Stary zegar w holu wybił szóstą, przypominając mu o posiłku. - Powinniśmy już iść, panno Travers. Nie dajmy na siebie czekać, a raczej - nie denerwujmy monsieur Delfarge'a. Uprzedzam, że to prawdziwy Francuz o gorącym temperamencie. Musiałem go przekupić, żeby zechciał tu przyjechać. Wolałby pracować w Londynie. Jesteśmy więc ostrożni i staramy się go nie drażnić, gdyż nie wyobrażamy sobie posiłków bez arcydzieł jego sztuki kulinarnej. Jego poprzedniczka nie dostała mu do pięt.

- Naprawdę? - zapytała Elizabeth. Nie wiedziała, kiedy hrabia żartuje. - My również mieliśmy kiedyś marnego kucharza. W końcu ojciec zaprotestował i zagroził wyjazdem do Londynu, jeśli kucharz pozostanie na stanowisku.

- Teraz już rozumie pani, dlaczego tak punktualnie zasiadamy do stołu. - Szelmowski uśmiech hrabiego przypawił Elizabeth o szybsze bicie serca. - Panno Travers, proszę mi powiedzieć, czy zamierza pani zostać tu na stałe?

- Chyba tak, proszę pana - odpowiedziała szczerze. - Jestem ogromnie wdzięczna pańskiej matce za posadę.

- Rozumiem - rzekł hrabia, a przez jego twarz przemknął tajemniczy uśmieszek. - Miała pani udaną podróż?

- W zasadzie tak, chociaż... - zawahała się Elizabeth - w gospodzie, gdzie zatrzymałyśmy się na noc, miał miejsce

pewien wypadek... Spotkałam tam pana Johna Elworthy'ego, który, jak słyszałam, jest pańskim przyjacielem. Towarzyszył mu sir Montague Forsythe. Pan Elworthy przez pomyłkę dostał jeden z naszych pokoi. Jednak okazał się dżentelmenem i, dowiedziawszy się o tym nieporozumieniu, odstąpił nam swoją sypialnię, a sam spędził noc w stajni.

- Tak, John to prawdziwy dżentelmen. Nienaganne manier i uczynność to tylko jedno z jego licznych zalet - powiedział z uśmiechem hrabia.

- Dobrze go pan zna?

- Nawet bardzo dobrze. Jego posiadłość znajduje się jakieś piętnaście mil stąd, jesteście bliskimi sąsiadami. A poza tym to mój przyjaciel jeszcze ze szkolnej ławy. Darzę go bezgranicznym zaufaniem.

- Och... - Elizabeth westchnęła. - Zatem wie pan, że pański przyjaciel był jedynym wiarygodnym świadkiem zakładu pomiędzy moim ojcem a Forsythe'em?

- Tak, wiem. Opowiadał mi dokładnie o tym, co widział i słyszał tamtego dnia. John często powtarza, że wolałby nie słyszeć deklaracji pani ojca. Wtedy łatwiej byłoby mu uwierzyć, że lord Travers został oszukany i podstępnie ograbiony z majątku.

- A ja wierzę w niewinność ojca. Papa nigdy nie postąpiłby tak nieroztropnie. Nie był hazardzistą i wręcz stronił od alkoholu.

Hrabia wydawał się zgadzać z jej opinią.

- Nie mam za grosz zaufania do sir Forsythe'a. Zresztą są po temu powody, o których nie chciałbym teraz mówić. Wierzę, że nadejdzie dzień, kiedy zostanie ukarany za swe kłamstwa i występki. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ale daję pani słowo, że zbadam również sprawę tego zakładu.

Dotarli do szczytu schodów. Elizabeth przystanęła, bez powodzenia próbując wyczytać coś z twarzy hrabiego Cavendisha.

- Myśli pan, że mój ojciec został zmuszony do zawarcia tego zakładu?

- Nie wiem, co tam się wydarzyło naprawdę - odpowiedział jej z powagą Cavendish. - Wiem natomiast, że sir Montague jest nieszczerzy i najprawdopodobniej niebezpieczny.

- Niebezpieczny? - przeraziła się Elizabeth.

- Tak sądzę, choć brak mi niezbitych dowodów. Proszę nikomu nie mówić o moich przypuszczeniach, panno Travers. To tylko domysły, a przecież potrzebne są nam dowody.

- Rozumiem - odparła Elizabeth. - Bardzo się cieszę, że odbyliśmy rozmowę na ten temat. Mój brat Simon bezskutecznie próbował spotkać się z panem Johnem Elworthym. Zamierzałam napisać do Simona, że moim zdaniem takie spotkanie nie wniesie niczego nowego do sprawy, ale teraz, po tej rozmowie, ostrzegę go, by trzymał się jak najdalej od sir Forsythe'a.

- Mam nadzieję, że brat posłucha pani rady. Bez niezbitych dowodów przeciw Forsythe'owi i tak niczego nie wskóra.

Weszli do salonu, w którym czekała na nich lady Isadora.

- Ach, tu jesteś, moja droga Elizabeth! - zawołała, uśmiechając się promiennie, co wzbudziło podejrzliwość jej syna.

- Byłam w twoim pokoju, ale nie zastałam cię tam...

- Przepraszam. Czy potrzebowała mnie pani?

- Ależ skąd! Chciałam tylko zapytać, czy pokój ci odpowiada, czy masz wszystko, czego ci potrzeba.

- Jakże mógłby mi nie odpowiadać? Jest piękny. Chciałabym serdecznie podziękować pani za wytworne suknie, choć będę mogła je nosić dopiero po zakończeniu żałoby.

- Prawda - mruknęła pod nosem lady Isadora. - To tylko

taki mały prezent na powitanie, wyraz wdzięczności za to, że zechciałaś przyjąć posadę - ciągnęła. - Oczywiście te suknie nie mają nic wspólnego z naszą wcześniejszą umową dotyczącą warunków zatrudnienia. Przed zaplanowanym na przyszły miesiąc wyjazdem do Brighton będziesz mogła odświeżyć swoją garderobę według uznania.

- Och, nie... To znaczy, uważam, że jest pani nazbyt hojna.

- Po prostu lubię ładne rzeczy i cieszę się, kiedy moi bliscy są szczęśliwi. - Spojrzała na syna - Widzę, że dotrzymywałaś towarzystwa panie Travers, Danielu.

- Przez przypadek spotkaliśmy się w bibliotece. Panna Travers jest miłośniczką książek. Zaproponowała, że uporządkuje nasze zbiory.

- Mam nadzieję, że nie była to twoja inicjatywa, synu? - chciała się upewnić się lady Isadora.

- Nie, nie - pośpieszyła z zapewnieniem Elizabeth. - Po prostu nie lubię beczynności, a zaprowadzenie porządku w państwa wspianiałej bibliotece będzie dla mnie miłą rozrywką. Chciałabym się pochwalić, że zdażyłam już znaleźć kilka pozycji, które doskonale nadadzą się do wspólnego czytania.

- Skoro praca w bibliotece sprawi ci przyjemność, nie widzę żadnych przeciwwskazań. A teraz chodźmy do jadalni, moi drodzy. Obiad na pewno na nas czeka.

Elizabeth nie pamiętała, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła. Po zjedzeniu smacznego posiłku udali się do salonu. Ku zdziwieniu wszystkich, hrabia wybrał towarzystwo dam zamiast szklaneczki whisky w zaciszu gabinetu.

Lady Isadora oświadczyła, że nie ma nastroju na grę w karty i poprosiła Elizabeth, by zasiadła do fortepianu. Dziewczyna z wielką przyjemnością i wprawą zagrała dwa klasyczne utwo-

ry, po czym zaskoczyła zgromadzonych, śpiewając popularną, skoczną piosenkę. W pewnej chwili hrabia podszedł do fortepianu i stanął przy Elizabeth, przyglądając się jej z uwagą.

- Może wspólnie zaśpiewamy następnny utwór? - zaproponował.

Wybrał piosenkę napisaną na dwa głosy, opowiadającą historię kochanków.

-Niestety, nie znam tej piosenki - przyznała Elizabeth, spojrzawszy na partyturę - ale jeśli wybaczycie mi państwo fałszywe tony, z przyjemnością z panem zaśpiewam.

- Nie będziemy krytykować panny Travers, jeśli będzie fałszować, prawda, mamó?

- Danielu, błagam, nie drocz się z Elizabeth. - Lady Isadora była niezmiernie z siebie zadowolona. Jak do tej pory, wieczór przebiegał całkowicie po jej myśli.

Tenor Daniela doskonale współbrzmiał z sopranem Elizabeth, która bez trudu poradziła sobie z zagranieniem z nut nieznannej melodii. Gdy duet skończył piosenkę, podano herbatę. Zaraz potem hrabia przeprosił damy i przeszedł do swego pokoju. Po niedługim czasie panie również udały się na spoczynek. Elizabeth zaczęła się przebierać do snu, gdy wtem przypomniała sobie, że nie wzięła z biblioteki lektury do poduszki.

Po chwili wahania doszła do wniosku, że nie powinna kręcić się w nocnej koszuli po domu pracodawcy. Postanowiła napisać list do Simona.

Następne pół godziny spędziła przy biurku, pochylona nad kartką papieru. Opisała nieoczekiwane spotkanie z panem Johnem Elworthym, podkreślając, że okazał się on dżentelmenem i z pewnością nie ukrywa niczego w sprawie ich ojca. Usiłowała przekonać Simona, że spotkanie z nim jest bezcelowe. Na koniec

ostrzegła brata przed konfrontacją z sir Forsythe'em, dowodząc, że jest on człowiekiem bez skrupułów.

Długo zastanawiała się nad doborem słów. Nie chciała, by brat odebrał jej ostrzeżenia w niewłaściwy sposób. Wiedziała, że Simon ma porywczy charakter i jest skłonny działać z czystej przekory. Gdyby Elizabeth przelała na papier cały swój strach i niepokój o brata oraz przedstawiła długą listę siostrzanych rad i nakazów, Simon z całą pewnością by się zbuntował. W końcu, zadowolona, odłożyła pióro, zalakowała kopertę i podeszła do okna. Jakiś jeździec opuszczał właśnie posiadłość pod osłoną nocy. Elizabeth pomyślała, że najprawdopodobniej to hrabia.

Dokąd zmierzał o tej porze? Było stanowczo za późno na przejazdkę i na odwiedziny, chyba że udawał się na schadzkę miłąsna... Zganiła się w duchu za zbytnią ciekawość. To nie jej sprawa, z kim spotyka się hrabia i dokąd wymyka się nocami.

Myśli jednak kłębiły się w jej głowie, nie pozwalając na sen. Praca dla lady Isadory zapowiadała się całkiem obiecująco. Elizabeth nie wiedział jednak, co sądzić o Danielu Cavendishu. Był wprawdzie dobry i opiekuńczy w stosunku do matki, lecz z pewnością miał trudny charakter. Zdążył dać jej dowody złośliwości. Zaczęła podejrzewać, że ma on również jakiś sekret.

- Czy on na pewno niczego nie podejrzewa? - zapytał Daniel przyjaciela podczas potajemnego spotkania w gospodzie „Pod Kogutem”. - Nie wydało mu się dziwne, że zgodziłeś się towarzyszyć mu przy kolacji i że się upiłeś?

- Miałem się na bacznosci - odparł z uśmiechem John Elworthy. - Po tym, jak zaproponował partyjkę pokera, udałem,

że zapadam w sen. Siedziałem przy kominku, głośno chrapiąc, dopóki Forsythe sobie nie poszedł.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Sir Montague nie jest zbyt skory do zwierzeń - oznajmił z rezygnacją Elworthy. - Powiedział jednak coś dziwnego zaraz po wyjściu panny Travers z jadalni. Wydawał się zaskoczony jej zachowaniem. A kiedy powiedziałem mu, kim ona jest, na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

- Mówiłeś, że panna Travers opuściła jadalnię nagle, zaraz po wejściu Forsythe'a?

- Tak. Rozmawialiśmy o jej ojcu. Ona nie wierzy w to, że sir Edwin mógł tak lekkomyślnie przetrwonąć oszczędności swego życia.

- Mnie również o tym mówiła - rzekł Daniel. - Podsumujmy nasze dokonania. Wiemy już, że Forsythe i jego kompani żerują na naiwności mężczyzn, którzy przyjeżdżają do wielkiego miasta z pełną kiesą. Na głupotę nie ma rady i jesteśmy tu bezsilni. Niestety, jest jeszcze ta druga sprawa...

- Naprawdę myślisz, że Forsythe jest zamieszany także i w ten proceder? - John z niedowierzaniem spojrzął na Daniela. - Porywanie młodych, dobrze urodzonych dziewcząt i sprzedawanie ich do domów rozpusty to bardzo poważne przestępstwo. Trudno mi sobie wyobrazić, że dżentelmen może być zdolny do takiego okrucieństwa.

- Nawet nie przeszłoby mi to przez myśl, gdybyśmy nie byli świadkami próby porwania siostry lady Elworthy - odpowiedział Daniel. - John, wołę nie wyobrażać sobie, co mogłoby się jej przydarzyć. A przecież Maria uparcie twierdzi, że sir Montague miał z tym zdarzeniem coś wspólnego.

- Wiem, że to właśnie jego podejrzewa. Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Maria mówiła, że kiedy odrzuciła oświad-

czyni Forsythe'a, zaczął jej grozić. Krzyczał, że gorzko pożałuje odmowy. Co więcej, mężczyźni, którzy ją później zaatakowali, mówili coś, co wydawało się sugerować zemstę.

- Możliwe, że była to próba porwania, zaplanowana tak, że by przstraszyć Marię i zmusić ją do małżeństwa - zastanawiał się John. - Jest przecież dziedziczką dużej fortuny, a Montague czyha na pieniądze.

Daniel zamyślił się.

- Słyszałeś o tym, że Sara, młodsza siostra Charlesa Huntera została porwana ponad rok temu?

John przytaknął.

- To potworne. I słuch o niej zaginął?

- Niestety. Pani Hunter załamała się i od sześciu miesięcy nie wychodzi ze swego pokoju. Natomiast Charles poprzysiął zemstę. Zamierza zabić tego, kto zorganizował porwanie.

John sposepniał. Siostra lady Elworthy, Maria, miała siedemnaście lat, a Sara Hunter zniknęła podczas poobiedniego spaceru w wieku zaledwie szesnastu lat. Jeśli została sprzedana do domu publicznego, czekał ją okrutny los. John nie był w stanie spokojnie o tym myśleć.

- Chyba oszalałbym z rozpaczy, gdyby Maria nie została uratowana tamtej nocy. Wyobrażam sobie, jak teraz musi czuć się Hunter.

- Jest bezradny, oszołomiony, rozżalony - wyrzucił z siebie jednym tchem Daniel, wodząc palcem po uchwycie kufla. Czuł, że wzbiera w nim gniew. - Za dużo pije i tylko dzięki mojej interwencji nie dał się ostatnio Forsythe'owi ogrąć w karty. Był o krok od katastrofy.

- Biedak - John westchnął. - Jednak nadal nie mogę uwierzyć, że dżentelmen byłby zdolny do takich czynów. Od czasu do czasu słyszy się, że zaginęła jakaś ładna służąca, i człowiek

się zastanawia, czy aby nie skończyła w domu publicznym, ale żeby porywać panny z dobrych domów?!

- Młode, niewinne dziewczęta padają ofiarą niegodziwców - stwierdził sucho Daniel. - Zawsze znajdują się tacy, którzy gotowi są na wszystko dla pieniędzy. Być może w grę wchodzi nawet wysyłanie dziewcząt za granicę.

- O nie! - John przeraził się nie na żarty. - Naprawdę myślisz, że...

- Po prostu niczego nie wykluczam. Jestem zdecydowany znaleźć dowody i dopnę celu. Sir Montague jest obserwowany dzień i noc. Gdziekolwiek idzie, podąża za nim jeden z moich szpiegów. Fałszywy ruch wystarczy, żebyśmy zdobyli niezbędne dowody.

- Sir Montague jest złym człowiekiem - ostrzegł przyjaciela John. - Bądź ostrożny, Danielu. Jeśli zrobił to, o co go podejrzewamy, i dowie się, że mieszasz się w jego sprawy, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Wiem, że jest niebezpieczny - powiedział Cavendish. - Niektórzy mają go po prostu za zręcznego naciągacza i nie żałują tych, którzy dają się oszukać, ale ja uważam, że to obrażający typ. Zastanawiam się, czy przypadkiem sir Edwin nie przytąpał na czymś Forsythe'a i nie zapłacił za to tak wysokiej ceny.

- Myślisz, że został zmuszony do tego zakładu? Ale dlaczego? - dopytywał się John.

- Nie mam pojęcia, jak doszło do zakładu. Podejrzewam, że sir Montague zwęszył w tym jakiś interes. A jeśli chciał się pozbyć sir Edwina, to nie było lepszego sposobu, niż doprowadzić go do ruiny finansowej, skompromitować i upozorować samobójstwo. Są to jednak tylko moje domniemania i możliwe, że prawdziwa jest inna wersja wydarzeń - podsu-

mował Daniel. - Mówiłeś, że dziwnie wyglądał, kiedy ujrzął pannę Travers. Co wtedy powiedziała?

- Że ten głupiec dostał to, na co zasłużył - odparł John. - I jeszcze, że jego córce się upiekło... Myślisz, że coś może jej grozić?

- Niewykluczone. Dzięki Bogu, panna Travers jest bezpieczna w domu mojej matki. Przysiągłem Charlesowi, że znajdę jego siostrę i dowiem się wszystkiego o podejrzanych interesach Forsythe'a. Potrzebuję dowodu.

Daniel szklanym wzrokiem wpatrywał się w kufel. Praktycznie nie tknął piwa. Kiedy myślał o losie Sary Hunter, od razu tracił apetyt. Sara była słodką, śliczną i ufną dziewczyną, właściwie jeszcze dzieckiem. Już kilka razy znajdował się o krok od wyzwania sir Forsythe'a na pojedynek, ale zawsze w porę zdołał zdławić chęć zemsty. Wiedział, że nikczemnik z pewnością ma wspólników i że nie wystarczy rozprawić się z jednym człowiekiem, by udaremnić handel żywym towarem. Trzeba uzbroić się w cierpliwość, uważnie obserwować Montague'a Forsythe'a i w odpowiednim czasie wkroczyć do akcji.

Elizabeth jak zwykle wstała wcześniej, umyła się i spięła włosy w kok. Tego dnia postanowiła włożyć prostą szarą spódnicę oraz śnieżnobiałą bluzkę ze stójką, którą ozdobiła złotą broszą. Mimo że strój był skromny, prezentowała się w nim niezmiernie elegancko.

Wiedziała, że domownicy jeszcze śpią, chciała jednak bezwzględnie zająć się swoimi obowiązkami. Do czasu zejścia na dół, co nigdy nie następowało przed południem, lady Isadora nie potrzebowała damy do towarzystwa. Elizabeth zyskiwała więc rankiem kilka godzin, które mogła wykorzystać według

własnego uznania. Myślała o zaniesieniu kwiatów do kościoła, ułożeniu bukietów w wazonach lub zajęciu się pracą w bibliotece.

Zdecydowała się na bibliotekę. Nie mogła przecież zrywać kwiatów bez uprzedniej rozmowy z ogrodnikiem. Doświadczenie mówiło jej, że nie warto rządzić się w cudzym ogrodzie i drażnić ogrodnika, na ogół przewrażliwionego na punkcie ukochanych roślin.

Schodząc na dół, Elizabeth spotkała jedną ze służących, która przeżyła niemałe zaskoczenie, gdy dama do towarzysstwa lady Isadory poprosiła ją o użyczenie miotełki do kurzu.

- Panienko, czy ja coś przegapiłam? - zapytała niemal ze łzami w oczach.

- Nic podobnego, wiem, że sprzątasz bardzo dokładnie - uspokoiła ją panna Travers. - Zamierzam uporządkować bibliotekę hrabiego i chciałam odkurzyć kilka książek.

- Czy jest panienka pewna? Nikomu nie wolno dotykać książek jego lordowskiej mości.

- Zapewniam cię, że mam jego pozwolenie - odparła Elizabeth, z trudem skrywając uśmiech, kiedy służąca drżąca dłonią podała jej jedną z miotełek.

Tak jak poprzednio, na progu biblioteki przeniknęła ją dreszcz podniecenia. Rozejrzawszy się dookoła, zaczęła zastanawiać się, jak zaplanować swoją pracę. Postanowiła zacząć od półki, znajdującej się w drugim końcu sali. Dochodząc do regału, zauważyła, że ktoś leży na znajdującej się nieopodal sofie. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe, gdy w śpiącym mężczyźnie rozpoznała hrabiego. Musiał sporo wypić w nocy. Na małym stoliku przy sofie stała pusta karafka po brandy, a na podłodze leżał kieliszek, który zapewne wypadł hrabiemu z ręki. Daniel Cavendish wyglądał teraz jak bezbronny chłopak. Pochyliła

się, by podnieść kieliszek. Gdy w pewnej chwili jej głowa znalazła się na wysokości twarzy hrabiego, niespodziewanie wyszeptał kobiecie imię i szeroko otworzył oczy.

- Ejże - powiedziała jakby z wyrzutem. - Cóż, do diaska, pani tu robi?

- Proszę mi wybaczyć - odparła zakłopotana Elizabeth. - Nie miałam pojęcia, że pan tu jest. Chciałam trochę popracować, odkurzyć książki.

Hrabia wstał i jęknął przeciągle. Miał wrażenie, że za chwilę głowa pęknie mu z bólu. Przypomniawszy sobie swój ponury nastrój z poprzedniego wieczoru. Wrócił do domu przygnębiony bezsilnością w sprawie Sary Hunter. Dla dodania sobie otuchy zaczął sączyć brandy, i oto są tego skutki.

- Już wychodzę - wymamrotała Elizabeth, mając wrażenie, że hrabia przygląda się jej z wyraźną niechęcią. - Bardzo przepraszam...

- Za co? To ja powinienem panią przeprosić - odparł Daniel. - Kiedy się obudziłem, nie wiedziałem, gdzie jestem. Proszę nie odchodzić. Myślałem, że leżę w swojej sypialni i zdiwiałem się, widząc panią.

- Ach tak... - Elizabeth odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się. - A ja po prostu schylałam się po kieliszek, leżący na podłodze. Moja wizyta w pańskiej sypialni o tej porze byłaby co najmniej nieestosowna.

Daniel musiał w duchu przyznać, że panna Travers jest bardzo ładna, kiedy się uśmiecha.

- Nie aż tak bardzo, panno Travers - droczył się. - Takie wizyty czasami miały miejsce, zwłaszcza kiedy stacjonowaliśmy w Hiszpanii. Nie byłaby pani pierwsza...

- O! Widzę, że był pan napastowany przez kobiety - ironizowała Elizabeth.

- Owszem, zdarzało się - odpowiedział, lekko urażony. - Zdziwiłaby się pani, gdybym jej powiedział, jak działałam na kobiety. Już niejedna zemdłała na mój widok.

- Wcale mnie to nie dziwi - kontynuowała grę Elizabeth.
- Skoro patrzy pan na nie tym swoim zimnym, cynicznym wzrokiem...

W jej oczach pojawiły się figlarne iskierki.

- Ma pani cięty język, panno Travers - stwierdził z uznaniem hrabia Cavendish. - Proszę mi wybaczyć, nie mam dziś nastroju do szermierki słownej. Gratuluję wygranej w naszym pojedynku. Teraz muszę jak najszybciej iść na górę i doprowadzić się do jako takiego stanu, zanim zobaczy mnie mama.

- Spojrzał na zegar. - Matko Święta! - krzyknął. - Co pani tu robi o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze?

- Zawsze jestem na nogach o tej godzinie - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Pomyślałam, że rozpocznę porządki w bibliotece. Nie jestem w tej chwili potrzebna lady Isadorze.

- O, z całą pewnością - odparł hrabia. - Jest dziesięć po siódmej. Sam wstaję wcześniej, oczywiście jeśli poprzedniego wieczoru nie przedobrze z alkoholem, ale nigdy nie wychodzę z domu przed ósmą.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- W takim razie bardzo przepraszam za tę pobudkę. Od dzieciństwa budzę się bardzo wcześnie. Jako dzieci jeździliśmy z bratem konno przed porannymi lekcjami i wtedy nauczyłam się wstawać o świcie.

- Jeździ pani konno? - zainteresował się Cavendish. - Sprawdź, czy w naszych stajniach jest odpowiedni koń dla pani.

- Och... Proszę nie robić sobie kłopotu - zaprotestowała Elizabeth, wyraźnie poruszona życzliwością hrabiego. - Nie jeździłam od śmierci ojca... Nasze konie przepadły wraz z ca-

łym majątkiem, a lord Wentworth nie miał w swych stajniach ani jednego wierzchowca, na którym chciałabym jeździć.

- Nie znał się na koniach? - zapytał hrabia. Gdy Elizabeth potrząsnęła głową, zaśmiał się głośno. - Widać muszę bardzo się starać, żeby panią zadowolić.

- Nie miałam na myśli... - Urwała zmieszana.

Z satysfakcją zauważył, że straciła wcześniejszą pewność siebie. Nareszcie znów miał wszystko pod kontrolą... jak zwykle.

-Wiem, wiem... - uspokoił ją. - Mam nadzieję, że jutro rano zechce mi pani towarzyszyć w przejażdżce. Odmowa będzie oznaczała, że żaden koń z mojej stajni nie wydał się pani odpowiedni.

- Coś mi się wydaje, że pan się ze mną droczy.

- Moja matka twierdzi, że mam aż za duże poczucie humoru. - Uśmiechnął się, lecz zaraz potem niepokojąco spoważniał. - Myślę jednak, że życie bywa okrutne i gdyby człowiek nie umiał beztrudnie się pośmiać, rzeczywistość byłaby czasami nie do zniesienia.

Po tych intrygujących słowach nisko się skłonił i wyszedł. Elizabeth nie domyśliła się, dlaczego tak nagle sposepniał i co dokładnie miał na myśli. Wszystko wskazywało na to, że hrabia Cavendish jest człowiekiem o wielu twarzach. Była ciekawa, kiedy pokaże prawdziwe oblicze.

Rozdział trzeci

Po dwóch godzinach nieprzerwanej pracy Elizabeth wróciła na górę, by się umyć i przebrać. Powinna była włożyć fartuch - większość książek w bibliotece nie była ruszana przez całe lata i obrosła grubą warstwą kurzu. Postanowiła następnym razem nie zapomnieć o stroju ochronnym.

Tego ranka porządkowała zawartość mniej wypełnionych półek. Jak się okazało, znajdowały się tam dokumenty i księgi rachunkowe, które ułożył lord Cavendish, by mieć je zawsze pod ręką. Starannie odkurzała opasłe tomy i ponownie ustawiała je na regale. Zdecydowała się umieścić najstarsze roczniki na najwyższych półkach, a nowsze na dole, gdzie łatwiej było po nie sięgać. Z satysfakcją myślała o efektach swej pracy, choć nie udało jej się jeszcze zacząć katalogowania.

Ledwie skończyła się przebierać, usłyszała pukanie do drzwi. Na progu stała schludnie ubrana starsza kobieta, najprawdopodobniej osobista pokojówka lady Isadory.

- Panno Travers, jaśnie pani pyta, czy panienka mogłaby przyjść do jej pokoju.
- Oczywiście. Czy chodzi o pokój na samym końcu korytarza? - upewniła się Elizabeth.

- Tak, panienko - uśmiechnęła się pokojówka. - Nazywam się Jean Phipps i służę jaśnie pani od czasu, kiedy jeszcze była panną.

- W takim razie musisz bardzo dobrze znać lady Isadorę. Wydaje mi się, że czasami będę cię prosić o radę - powiedziała Elizabeth.

- Bardzo proszę, panienko. Tak sobie myślę, że lady Isadora bardzo potrzebowała towarzystwa takiej młodej i radosnej osoby jak panienka. W tym roku obchodzilibyśmy osiemnaste urodziny panienki Jane i wydaje się, że lady Isadora na nowo przeżywa stratę córki. Pani Melanie ma własną rodzinę i nie przyjeżdża tu zbyt często. Lady Isadora czuje się bardzo samotna - podsumowała trafnie pani Phipps.

- Rozumiem, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by poczuła się lepiej.

- Och, dziś rano jaśnie pani była cała w skowronkach. Coś mi mówi, że to panienka ma na nią taki zbawienny wpływ.

Elizabeth uśmiechnęła się i skierowała do wyjścia. Gdy weszła do pokoju lady Isadory, Jean Phipps dyskretnie się wycofała. Lady Isadora siedziała przy eleganckim biurku, z piórem w ręku. Ujrzawszy Elizabeth, obdarzyła ją ciepłym uśmiechem i odłożyła pióro na marmurową podstawkę inkrustowaną złotem i kością słoniową.

- Mam nadzieję, że nie postałam po ciebie zbyt wcześnie, moja droga?

- Od świtu pracowałam w bibliotece - oznajmiła Elizabeth.
- Zaczęłam od ułożenia ksiąg rachunkowych. Powinno to ułatwić panu hrabiemu prowadzenie interesów.

- Pracowałaś? - Lady Isadora nie kryła zaskoczenia. - Mój syn to istny tyran - fuknęła gniewnie. - Nie zaprosiłam cię tu, żebyś harowała.

- Ależ nic takiego nie ma miejsca. Zawsze wstaję skoro świt i nie lubię być beczynna. A poza tym układanie książek to nie praca, tylko czysta przyjemność - zapewniła Elizabeth.

- Czyżby? - powątpiewała lady Isadora.

- Naprawdę traktuję to jak miłą rozrywkę. Mają tu państwo wspaniały zbiór i cieszę się, że mogę się z nim zapoznać.

Lady Isadora zmarszczyła brwi.

- Mój mąż często bywał na targach książek i odwiedzał antykwariaty. Czasami przyjeżdżał niezmiernie zadowolony z nowej zdobyczy, ale przyznam, że nie podzielałam jego pasji zbieracza. Za to Daniel najwyraźniej odziedziczył ją po ojcu. No cóż, nie zamierzam cię zniechęcać i powstrzymywać, ale postaraj się przemęczyć.

- Obiecuję, że nie zaniedbam obowiązków z powodu miłości do książek. Będę wstawać wcześniej i pracować w bibliotece przed śniadaniem. Jutro zamierzam wybrać się z hrabią Cavendishem na poranną przejażdżkę. Zostałam zaproszona.

- Wspaniała wiadomość! - ucieszyła się lady Isadora. - Trochę ruchu na świeżym powietrzu dobrze ci zrobi - dodała. - A teraz, moja droga, chciałabym, żebyś zaniosiła wiadomość na plebanię. Myślę, że trafisz tam bez trudu. Zapraszam wielbnego Bella na jutrzejszą kolację. Mogłabym posłać do niego jedną ze służących, ale pomyślałam, że zapewne chciałabyś poznać pastora i porozmawiać z nim o kwiatach do dekoracji kościoła.

- Bardzo się cieszę. Czy przed wyjściem mam jeszcze coś zrobić?

- Nie, zamierzam zejść na dół dopiero za dwie godziny. Do południa zawsze możesz planować czas według własnego uznania, moja droga.

Elizabeth serdecznie podziękowała lady Isadorze, odebrała od niej liścik i wyszła. Na korytarzu spotkała Amy.

- Nie byłam pewna, czy panienka będzie jadła na dole, czy w pokoju. Jasnie pani je śniadanie około wpół do dziesiątej. Najczęściej prosi o filiżankę gorącej czekolady i kilka kruchych ciasteczek - poinformowała służąca.

- Wstaję dużo wcześniej, ale nie chcę sprawiać kłopotu, więc chętnie zjem lekkie śniadanie u siebie w pokoju. Może być o tej godzinie, chyba że w tym czasie podajesz śniadanie hrabiemu. Mogę też oczywiście schodzić do jadalni.

- Panienko, podaję śniadanie jego lordowskiej mości o dziewiątej, gdy wraca z przejażdżki konnej.

- W takim razie, kiedy w domu będą goście lub hrabia, będą jeść śniadania na dole, a w inne dni w swoim pokoju.

- Dobrze, panienko - powiedziała Amy, wyraźnie zadowolona z takiego rozwiązania.

- Przynies mi śniadanie - poleciła Elizabeth. - Potem wybiorę się na plebanię. Powiedz mi, jak tam dojść.

- Tuż obok kościoła, trzeba tylko przejść przez łąkę za domem. To najkrótsza droga, jeśli jest sucho, tak jak dziś. Zimą należy trzymać się drogi do wsi. Ale najlepiej pojechać tam powozem - wyjaśniła służąca.

Pół godziny później, w pelerynie i kapeluszu, Elizabeth szła w stronę plebanii. Był piękny poranek, słońce wyglądało zza chmur, a trawa była zupełnie sucha. Przystanąła na chwilę, by podziwiać śpiew porannego ptaka skrytego wśród dębowego listowia. Przepełniło ją uczucie szczęścia i radości; miała wrażenie, że jest w rodzinnych stronach.

Dotarłszy do kościoła, zobaczyła wysokiego, ubranego na czarno mężczyznę. Domyśliła się, że ma przed sobą adresata listu lady Isadory. Na widok Elizabeth skłonił się i uniósł śmieszny, płaski kapelusz z rondem, ukazując ogniście rude włosy.

- Wielebny Bell? - upewniła się Elizabeth. - Mam dla pana list od lady Isadory.

- Ach - westchnął, niepewnie przyciskając do piersi kapelusz. Miał poważne, szare oczy i łagodną twarz. - Mam przyjemność poznać pannę Travers. Lady Isadora dużo o pani mówiła. Miło mi panią poznać. - Włożył kapelusz i uściśnął jej dłoń. - Przyszła pani pieszo?

- Tak, ale to żaden wyczyn - odpowiedziała. - W mojej rodzinnej miejscowości kościół był znacznie dalej od domu, a mimo to najczęściej chodziłam na nabożeństwa piechotą. Cieszę się, że mogę poznać naszego pastora. Lady Isadora wspomniała, że potrzebuje pan kwiatów do kościoła.

- To prawda. Byłoby wspaniale, gdybym mógł je otrzymać przed niedzielą - przyznał nieśmiało. - Lubię, kiedy nasz kościół jest pięknie udekorowany. Szkoda, że rzadko się to zdarza. Tylko czasami ktoś przyniesie skromny bukiet. W przyszłym miesiącu organizujemy wystawę kwiatów. Przyznam, że liczę na pomoc lady Isadory. Chciałbym, żeby odwiedziło nas wtedy jak najwięcej ludzi. Dochody ze sprzedaży zostaną przeznaczone na pomoc najuboższym.

Wielebny Bell najwyraźniej był bardzo zaangażowany w sprawę parafii.

- Postaram się panu pomóc. Najpierw jednak muszę porozmawiać z naszym ogrodnikiem. Chciałabym też pomóc w sprzedaży kwiatów na cele charytatywne. Tak się szczęśliwie składa, że mam wolne przedpołudnia.

- Pani pomoc będzie nieoceniona - ucieszył się pastor. - Potrzebujemy też mebli. Wszystko się nada, nawet stare graty ze strychu Cavendishów.

- Nie wiem, co kryje strych domu Cavendishów, ale przekazałam pańską prośbę lady Isadorze. - Uśmiechnęła się wdzięcznie,

nie zdając sobie sprawy, że zdążyła już całkowicie oczarować samotnego pastora. - Czy mogę też przekazać, że przyjmuje pan zaproszenie na jutrzejszy obiad?

- Dziękuję, przyjdę z prawdziwą przyjemnością - odparł pastor. - Jakże bym mógł odmówić lady Isadorze! A poza tym Cavendishowie mają doskonałego kucharza i posiłki podawane u nich to prawdziwa rozkosz dla podniebienia. Oczywiście takie atrakcje trzeba dawkować, ale od czasu do czasu można sobie pozwolić na odrobinę przyjemności.

Elizabeth zrobiło się go żal. Młody mężczyzna, który jest pastorem, potrzebuje rodziny, a jego żona i córka tak wczesnie odeszły.

- Jestem pewna, że jutro czeka nas prawdziwa uczta. Tak sobie myślę, że nie powinniśmy narzekać, zważywszy, że są na tym świecie ludzie, którzy umierają z głodu - powiedziała Elizabeth.

- Święte słowa - przyznał jej rację pastor. - Cieszę się, że taka młoda dama wygłasza tak dojrzałe opinie. Większość dziewcząt myśli jedynie o przyjemnościach... podobnie jak większość ludzi. Nie chciałbym zabraniać ludziom radości, odmawiać prawa do dobrobytu, ale musimy pamiętać, że, jak mówi Pismo Święte, ubogich zawsze mamy u siebie.

- Uważam, że należy pomagać pokrzywdzonym przez los, ale nie każdy musi od razu wyrzekać się prawa do szczęścia.

- Ma pani rację - zgodził się pastor. - Nie powinienem krytykować innych tylko dlatego, że są zamożni. Trudno jednak jest mi się opanować. Widziałem w życiu tyle nędzy, łez i bólu...

- Proszę pomyśleć, czy nie bierze pan zbyt wiele na swoje barki? Powinniśmy czynić tyle dobra, ile możemy. Jest pan tylko człowiekiem i nie zbawi całego świata. Sprawy zbawienia zostawmy Panu Bogu. Pastor ma wystarczająco dużo obowiązków w parafii.

- Jak dobrze mnie pani rozumie... - rzekł, zaskoczony rozsądkiem Elizabeth. - Chciałbym tyle zmienić i naprawić, a być może przede wszystkim powinienem nauczyć się pokory, panno Travers.

- Myślę, że jest pan dobrym człowiekiem - powiedziała z przekonaniem Elizabeth.

Wiedziała, że szczerą chęć niesienia pomocy innym i umiejętność słuchania to cechy, jakimi mogą się pochwalić tylko nieliczni.

- Jest pani bardzo rozsądną i poważną młodą damą - skostatował pastor. - Cieszę się, że mogłem panią poznać. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie się rozwijała.

- Ja również żywię taką nadzieję. Powinnam już wracać, zbliża się pora popołudniowego posiłku i nie chciałabym, żeby lady Isadora musiała na mnie czekać - oznajmiła Elizabeth.

- Rozumiem, panno Travers. Zatem życzę miłego dnia i do zobaczenia jutro wieczorem.

- Do zobaczenia.

Elizabeth żwawym krokiem ruszyła w drogę powrotną. W pobliżu kościoła zobaczyła młodą kobietę, która pomachała ręką do pastora, idąc w jego stronę. Panna Travers nie miała jednak czasu, by dokładniej przyjrzeć się nieznanemu.

Dwadzieścia minut po tym jak zegar wybił południe, lady Isadora zeszła na dół na posiłek. Podano lekką przekąskę składającą się z wędlin, marynat oraz puddingu cytrynowego. Przy stole zabrakło Daniela, który wyjechał w interesach i obiecał wrócić dopiero wieczorem.

Po lunchu damy udały się do niewielkiego saloniku, którego okna wychodziły na ogród, rozciągającą się za nim łąkę i mającą w oddali wieżę kościoła.

- Myślę, że tu będzie nam wygodnie - powiedziały lady Isadora, uśmiechając się do swej towarzyszki. - Co byś powiedziała na godzinkę wyszywania? A może poczytamy sobie trochę?

- Ma pani przy sobie tamborek czy został w pokoju?

- Robótka jest w tej szafce. Otwórz dolną szufladę. To bieżnik dla wielebnego Bella, nad którym pracuję już od wielu miesięcy. Nie ukrywam, że panna Ridley... Helen... bardzo mi pomagała. Zobaczmy, ile pracy nam jeszcze zostało.

Elizabeth wyjęła z komody rękę doświadczonej hafciarki. Dokończenie pracy wymagało ręki doświadczonej hafciarki.

- Jest cudowny - zachwyciła się. - Zaraz rozplączę nici.

- Ale ja chyba jednak nie mam dziś ochoty na robótki ręczne - zmieniła zdanie lady Isadora. - Lepiej pokaż, co przyniosłaś do czytania.

- Mam kilka książek do wyboru: tomik poezji, „Poskromienie złościcy” Szekspira oraz powieść Fanny Burney...

- Podobała mi się pierwsza powieść Burney, „Ewelina”, ale późniejsze książki są już znacznie gorsze - stwierdziła lady Isadora. - Za to sztuki Szekspira nigdy mnie nie nudzą. Masz ochotę poczytać mi Szekspira?

- Oczywiście, z przyjemnością - odparła Elizabeth. - Najbardziej lubię sceny z udziałem Petruchia i Kate.

- Istotnie, są doskonałe - przyznała lady Isadora, wygodnie układając się na sofie. - Zacznij, kiedy będziesz gotowa.

Elizabeth otworzyła książkę i zaczęła czytać. Miała niezwykłe miły i dźwięczny głos, a poza tym wkładała w czytanie dużo serca i emocji. Odgrywała każdą rolę niczym wytrawna aktorka. Już po kilku minutach lady Isadora zaśmiewała się do łez i wszelkie oznaki znużenia zniknęły bez śladu.

- Moja droga! - wykrzyknęła entuzjastycznie. - Słuchać cie-

bie, to prawie tak samo jak być w teatrze. Helen tylko odczytywała słowa, a ty umiesz tchnąć w tekst tyle uczucia i wyrazu... Ale już ci nie przeszkadzam. Kontynuuj, proszę, zdążyłam zapomnieć, jakie to wspaniałe uczucie słuchać Szekspira.

Elizabeth czytała jeszcze przez godzinę. W pewnej chwili lady Isadora zadzwoniła po herbatę, martwiąc się, że znakomitej lektorce może zaschnąć w gardle.

- Sprawiałś mi tyle radości - podziękowała, gdy Elizabeth skończyła czytać. - Już nie mogę doczekać się dalszego ciągu. Nie chcę cię zamęczać, odłożmy dalszą lekturę na jutro. Teraz powiedz mi, jak przebiegło twoje spotkanie z wielbnym Bellem? Umieram z ciekawości.

- To bardzo miły człowiek, całkowicie oddany swej pracy - odpowiedziała Elizabeth. - Bardzo przypadł mi do serca i obiecałam mu pomóc. Trochę mi go żal... tak wczesnie został sam. Myślę, że pastor potrzebuje wsparcia rodziny.

- Też tak uważam - stwierdziła lady Isadora, ściągając brwi.
- Podobnie musi myśleć panna Giles, która chętnie zajęłaby miejsce żony pastora. Niestety, brakuje jej klasy.

- Panna Giles?

- Poznasz Julię jutro wieczorem. Jej rodzice, sir Henry i lady Giles, są naszymi sąsiadami. Ich posiadłość znajduje się jakieś sześć mil na południe od naszego domu. Gilesowie to nasi najbliżsi sąsiedzi.

- Rozumiem - odparła Elizabeth - ich posiadłość musi znajdować się blisko wioski.

- Nie dalej niż trzy mile, ale dlaczego pytasz?

- Z czystej ciekawości. Często panią odwiedzają?

- Lady Giles od czasu do czasu wpada z wizytą, ale od wsi woli Londyn i Bath. Teraz są zajęci przygotowaniem Julii do towarzyskiego debiutu.

- Julia na pewno nie może się już doczekać debiutu. Ma przed sobą fascynującą podróż, pozna nowe miejsca, nowych ludzi...

- Owszem, choć muszę przyznać, że Londyn jest dla mnie zbyt męczący. Co innego kilka tygodni spędzonych w Brighton albo jesienny pobyt w Bath - rozmarzyła się lady Isadora.

- Zapewne morskie powietrze pani służy - domyśliła się Elizabeth. - Ja nigdy nie byłam...

Urwała gwałtownie, ujrawszy dwóch mężczyzn, zmierzających chwiejnym krokiem w stronę domu. Jeden z nich wyraźnie podtrzymywał, a chwilami dźwigał drugiego. Elizabeth zerwała się na równe nogi i pobiegła otworzyć drzwi.

- Panno Travers! - zawołał hrabia. - Pan Elworthy został postrzelony w ramię. Rana chyba nie jest głęboka, ale musimy go położyć i jak najszybciej wezwać lekarza.

- Co się dzieje?! - zapytała przerażona lady Isadora. - Mój Boże, Danielu! Co się stało?

- John jechał do nas, a ktoś postrzelił go w ramię. To się stało w pobliżu naszego domu. Myślę, że to sprawka jakiegoś myśliwego albo kłusownika. Na szczęście wróciłem wcześniej, niż planowałem i znalazłem go leżącego przy drodze. Stracił dużo krwi.

- Trzeba wezwać służbę - zwróciła się Elizabeth do lady Isadory, pomagając hrabiemu prowadzić rannego. Słyszysz mnie pan? - zapytała z niepokojem. - Musimy pana zaprowadzić do sypialni i opatrzyć ranę. - Po chwili rzuciła przez ramię do oniemiałej z przerażenia lady Isadory. - Proszę przysłać na górę Amy z czystymi bandażami i wodą utlenioną, musimy zrobić opatrunek.

- Już, już. - Pani domu, bliska omdlenia na widok krwi na posadzce, w pośpiechu przyzywała służbę. Podziwiała młodą kobietę za niezwykle opanowanie.

- Masz więcej siły niż ja - Elizabeth skinęła na młodego służącego. - Pomóż hrabiemu zaprowadzić rannego na górę. Ja pójdę przodem i przygotuję postanie.

Zapytała napotkaną na piętrze pokojówkę, do której z sypialni mają wprowadzić rannego.

- Do tej, panno Travers. Jest świeżo posprzątana - odpowiedziała drżącym głosem służąca.

Szybko weszły do sypialni, odciągnęły zasłony i pościeliły łóżko, tak że hrabia i młody służący mogli od razu położyć Elworthy'ego. Ranny ciężko westchnął i otworzył oczy.

Elizabeth pochyliła się nad nim i odgarnęła mu włosy ze spoconego czoła.

- Jest pan bezpieczny - uspokajała go łagodnie. - Zaraz opatrzymy ranę, a wkrótce będzie tu lekarz.

Amy wraz z drugą służącą przyniosły bandażę i dzbanek z ciepłą wodą.

- Dziękuję - powiedziała Elizabeth. - Macie nożyczki?

- Tak, panienko - odparła Amy.

- Musimy przeciąć mu koszulę - zawyrokowała Elizabeth. - Szkoda takiego pięknego ubrania, ale nie mamy wyjścia. Unieś lekko pana Elworthy'ego - zwróciła się do stojącego nieopodal służącego.

- Ja to zrobię - zaferował pomoc hrabia. - Na razie dziękujemy ci, Forrest. Idź na dół i zajmij się naszymi końmi. Są jakieś półtora mili stąd na wschód. Przedtem jednak upewnij się, czy posłano po doktora.

- Tak jest - odpowiedział służący i wyszedł.

Gdy Daniel i Amy unieśli Elworthy'ego, Elizabeth wprawnym ruchem przecięła jego ubranie, po czym delikatnie oderwała zakrwawioną koszulę od ciała. Oczyszcwi-

szy zwilżonym w wodzie utlenionej wacikiem brzegi rany, założyła opatrunek z czystej gazy, a następnie dokładnie zabandażowała tors i ramię chorego.

- Gotowe - oznajmiła. - Reszta należy do lekarza.

- Chyba zemdłał - powiedział Daniel, kładąc przyjaciela na poduszkach. - Może to i lepiej, że jest nieprzytomny. - Spojrzała na Elizabeth. - Dziękuję pani, także w imieniu Johna, za fachową opiekę. Być może uratowała mu pani życie... Panno Travers, podziwiam panią.

- Och... - zarumieniła się Elizabeth, - Proszę mi wybaczyć, że tak się tu rządziłam. Być może doktor skrytykuje moje poczynania, ale mam pewne doświadczenie w opatrywaniu ran. Mama bała się widoku krwi, więc to zawsze ja zajmowałam się skaleczeniami moich bliskich.

- To wiele tłumaczy - powiedział hrabia. - Jestem pani niezmiernie wdzięczny. Muszę przyznać, że miałem chwile wątplenia, bałem się, że nie zdołam uratować Johna, że nie doniosę go do domu. Chciałem wezwać kogoś na pomoc, ale bałem się zostawić go samego.

Elizabeth spojrzała na hrabiego w nadziei, że powie coś jeszcze, jednak Cavendish zamilkł. Domyśliła się, że obawiał się powrotu złoczyńcy.

- Co za szczęście, że wrócił pan wcześniej. Pan Elworthy mógł wykrwawić się na śmierć - szepnęła.

- Myślałem o tym samym - rzekł Daniel. - Gdyby nie pani... John będzie pani dozgonnie wdzięczny. Wiem, że czuje się w pewien sposób winny śmierci pani ojca.

- W żadnym wypadku nie powinien tak uważać - odparła z przekonaniem. - Powiedział tylko o tym, co widział i słyszał. Każdy uczciwy człowiek postąpiłby tak jak on.

- Jest pani niezwykle wspaniałomyślna. Jeszcze raz dzięku-

ję za wszystko. Proszę teraz odpocząć, a ja zostanę z Johnem, dopóki nie przyjedzie lekarz.

- Dobrze. Zajrzę do lady Isadory, na pewno bardzo przeżywa to, co się stało.

Elizabeth skinęła głową i opuściła pokój, nie wiedząc, że hrabia odprowadza ją wzrokiem.

- Czy mogę się na coś przydać? - zapytała Amy.

- Dziękuję, na razie nie będziesz potrzebna - odpowiedziała Elizabeth. - Chciałabym teraz pomówić z lady Isadorą, a potem pójde się przebrać. Myślę, że dziś wieczorem włożę granatową suknię, Amy.

- Skróciłam też tę żółtą z jedwabiu i dzienną zieloną, gdyby chciała je pani włożyć - powiedziała służąca.

- Zostawię je na specjalne okazje - stwierdziła Elizabeth - ale dziękuję, że tak szybko się z tym uporałaś.

- Pozwól sobie zauważyć, że w tej żółtej będzie panience bardzo do twarzy - dodała Amy.

Elizabeth uśmiechnęła się nieznacznie. Już kilka razy korciło ją, by włożyć suknie podarowane przez lady Isadorę, jednak minęło dopiero pół roku od śmierci matki. Nie mogła lekceważyć okresu żałoby, nosząc stroje w tak jaskrawych barwach.

Zastała lady Isadorę w salonie. Dama wyglądała przez okno, jednak zaraz się odwróciła i popatrzyła na Elizabeth pytającym wzrokiem.

- Dłaczego nie ma jeszcze doktora Roberta? - zapytała, wyraźnie poirytowana. - Biedny pan Elworthy, mam nadzieję, że się nie wykrwawi na śmierć.

- Proszę się nie niepokoić - odezwała się Elizabeth. - Opatrzyłam ranę pana Elworthy'ego. Jego stan jest stabilny, a lekarz zadecyduje, co dalej. Nie wiem, jak głęboko utknęła kula. Możliwe, że przeszła na wylot, co byłoby chyba

najlepszym wyjściem. To pozwoliłoby panu Elworthy'emu uniknąć operacji.

- Robi mi się słabo na samą myśl o tej ranie. - Lady Isadora wzdygnęła się. - Boże, co ja przeżyłam, widząc Johna w takim stanie. Dzięki Bogu, że tu byłeś, Elizabeth. Gdyby nie ty...

- Amy doskonale by sobie poradziła. Proszę nie mieć mi za złe, że trochę się tu szarogęsiłam...

- Moje dziecko, a co też ci przyszło do głowy?! - ofuknęła ją lady Isadora. - Zachowałaś się jak bohaterka! Podziwiam cię za odwagę, a ty uważasz, że mogę mieć do ciebie jakiegokolwiek pretensje?

- Skoro tak, cieszę się, że mogłam się na coś przydać. - Elizabeth odetchnęła z ulgą. - Chyba powinnyśmy zacząć przygotowywać się do obiadu. Jest już późno, a nie możemy przecież kazać na siebie czekać.

- Masz rację - stwierdziła lady Isadora. - Twoja matka mówiła mi, że jesteś wspaniałą dziewczyną i szczerze pragnęła, żebyś u mnie zamieszkała. Mam nadzieję, że będziesz z nami szczęśliwa i zostaniesz tu na zawsze.

- Jest mi tu bardzo dobrze, co w głównej mierze jest pani zasługą. Naprawdę czuję się tu jak w domu.

- Miałam nadzieję, że tak się stanie. - Lady Isadora rozpromieniła się. - Odkąd z nami jesteś, czuję się znacznie lepiej.

Elizabeth podziękowała pracodawczyni i udała się do swego pokoju, by się trochę odświeżyć. Na łóżku leżała granatowa suknia, naszykowana przez Amy. Wszedłszy za chiński parawan, za którym znajdował się stolik z miednicą, Elizabeth zdała sobie sprawę, że zapomniała paru drobiazgów. Wychyliła się zza zasłony, by sięgnąć po grzebień i... oniemiała. W pokoju stał hrabia Cavendish; trzymał w ręku błękitny flakonik z jej perfumami i wahał ich delikatny zapach.

- Nie słyszałam, jak pan puka! - krzyknęła. - Dżentelmen nie powinien wchodzić do sypialni samotnej kobiety! - Z przerażeniem pomyślała, że mogła wyjść z za parawanu w samej bieliznie albo nago.

- Proszę mi wybaczyć. Pukałem, ale nie odpowiadała pani - tłumaczył się hrabia. - Wiem, że naruszyłem zasady dobrego wychowania... Pomyślałem, że nie ma pani w pokoju i chciałem tylko zostawić wiadomość.

- Doprawdy? - zapytała Elizabeth, marszcząc brwi.

To, że pomogła mu przy łóżku rannego, nie upoważniało go do traktowania jej jak swego kompana.

- Chciał pan porozmawiać ze mną na osobności?

- Tak. - Daniel nie do końca wiedział, co przywiodło go do tego pokoju; równie dobrze mogli porozmawiać po obiedzie... Poczł jednak nagle, nieprzepatą potrzebę zobaczenia Elizabeth. - Chciałbym prosić panią o dyskrecję w sprawie Johna, panno Travers. Mamie powiem, że został postrzelony przez kłusownika. Jest bardzo wrażliwa, a nadmiar przeżyć mógłby odbić się na jej zdrowiu.

- Chyba nie mówi mi pan całej prawdy - stwierdziła Elizabeth, patrząc mu prosto w oczy. - Z pewnością nie chce pan przysparzać zmartwień matce, zwłaszcza że ta kula mogła być przeznaczona dla pana. Ma pan wrogów?

- Wydaje mi się, że sprawca dobrze wiedział, do kogo strzela. Ktokolwiek to zrobił, sądził, że John dowiedział się o czymś ode mnie. Zaangażowałem się w pewną sprawę i przez to zagrożeni są bliscy mi ludzie. Z tego powodu jestem zmuszony odwołać naszą jutrzejszą przejażdżkę. Wcześniej rano wyruszę do Yorku, gdzie mam nadzieję znaleźć odpowiedź na moje pytania.

- Rozumiem. Powinien pan zrobić to, co uważa za słuszne.

- Jest pani bardzo wyrozumiała, panno Travers. - Miał

wielką ochotę ją przytulić, powstrzymał się jednak, nie chcąc jej spłoszyć. - Cieszę się, że mama zaprosiła panią do nas.

- Miło mi, ale czy mógłby pan już wyjść?

- Tak, oczywiście...

Nie ruszył się jednak z miejsca. Ogarnęła go przemożna chęć, aby ją pocałować. Ciekawe, jak by się zachowała? Czy pozostałaby niewzruszona, czy też pozwoliłaby się ogarnąć fali namiętności? Jednak panna Travers nie była kobietą, którą można było wykorzystać do zaspokojenia nagłej żądy. Wyraźnie tracił rozum. Nie zamierzał przecieć uwieść damy do towarzystwa własnej matki! Poza tym prawie w ogóle nie znał panny Travers.

- Proszę mi wybaczyć, rzeczywiście powinienem był zacząć i porozmawiać z panią kiedy indziej.

- Już panu wybaczyłam, ale jeśli nie zamierza pan zrujnować mojej reputacji, to... - Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

Daniel grzecznie się skłonił i ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się w progu.

- Intrygują mnie pani perfumy. Bardzo ładny zapach. Co to za esencja? - zapytał nieoczekiwanie.

- Nie jestem pewna, chyba konwalia z nutą zapachu leśnego. Perfumy nazywają się „Driada”. Tata kupił mi je w prezencie urodzinowym tuż przed śmiercią.

- Bardzo do pani pasują - powiedział Daniel. - Czy mogę mieć nadzieję na wspólną przejażdżkę w późniejszym czasie, czy też udało mi się panią do siebie zniechęcić?

- Z przyjemnością wybiorę się z panem - zapewniła go z uśmiechem. - Wiem, że jest pan prawdziwym dżentelmenem, a dzisiaj działał pan po prostu pod wpływem impulsu.

- Skoro pani tak mówi... - mruknął Daniel, patrząc Elizabeth prosto w oczy. - Chyba jednak oboje znamy prawdę.

Po tych słowach opuścił pokój.

Natychmiast zamknęła drzwi i oparła się o futrynę, ciężko oddychając.

Czy zna prawdę, jak to sugerował? Nie byłaby w stanie powiedzieć, co czuła, gdy wyszła z za parawanu i zastała hrabiego z jej perfumami w dłoni. Potem przez moment wydawało jej się, że hrabia się do niej zaleca.

Zaśmiała się w duchu. Najwyższy czas skończyć z takimi fantazjami. Hrabia Cavendish nie mógł być zainteresowany starą panną.

- Bzdura - powiedziała na głos. Sam mówił, że kobiety go uwielbiają, wręcz napastują. Bez wątplenia stanowił najlepszą partię w okolicy. Czemu miałyby zwrócić uwagę akurat na nią? To niemożliwe.

Zadała sobie w duchu pytanie, czy może ona pragnie jego uwagi i zainteresowania. Chyba nie... choć pamiętała, że serce zabiło jej jak szalone, gdy pytał o zapach jej perfum.

Uśmiechnęła się do swego obicia w lustrze i zaczęła czesać włosy. Znieruchomiła, gdy ktoś zapukał do drzwi. Tym razem była to Amy.

- Mogę panience w czymś pomóc?

Po chwili wahania Elizabeth podała służącej szczotkę.

- Ułóż mi włosy. Znudzili mi się kok.

Amy pokraśniała z zadowolenia.

- Panienska ma takie piękne, gęste i lśniące włosy - powiedziała. - Może puścimy luzem te loczki...

- Wybór fryzury zostawiam tobie. Powiedz, czy doktor już przyjechał?

- Tak, jakiś czas temu. Zaprowadziłam go do pokoju ran-

- To musi być prawdziwy artysta, podobnie jak kucharz pana hrabiego.

- Tu muszę się z panią zgodzić - skapitulował hrabia. - Czy nie uważa pani, że mogłaby zwracać się do mnie: „Cavendish”? W ostateczności proszę mówić do mnie per pan. - „Pan hrabia” to lekka przesada.

- Jest pan niepoprawny! - Elizabeth parsknęła śmiechem. - Chyba zgadzam się z pana matką, która twierdzi, że cierpi pan na nadmiar dobrego humoru.

- A to ci dopiero wada! - Zachichotał. - Czy muszę ją zwalczyć, chcąc zyskać w pani oczach?

- Nie wierzę, żeby ktokolwiek potrafił zmusić pana do zmiany zachowania.

- To brzmi znacznie lepiej - pochwalił. - Jeszcze nie potrafi mnie pani nazwać „Cavendish”, ale i do tego dojdziemy pewnego dnia.

- Może, kiedy się lepiej poznamy. Czas pokaże. A teraz wracajmy już i nie dajmy na siebie czekać pańskiej matce.

- Dobrze. Właściwie chciałem tylko pani powiedzieć, że John czuje się lepiej. Prosił, żeby pani go odwiedziła. Doktor dał mu coś na sen, więc będzie pani mogła się tam udać dopiero rano. Oczywiście, o ile zmusi się pani do wejścia do sypialni samotnego mężczyzny.

- Przede wszystkim jest to pokój chorego - zauważyła Elizabeth, patrząc mu prosto w oczy. - Nie sądzi pan, że to czyni różnicę?

- No tak... - Daniel uśmiechnął się pod nosem. - A pani pokój nie jest izbą chorych. Wszystko się zgadza. Chciałbym wiedzieć, czy naprawdę wybaczyła mi pani mój nieakt, czy też nadal podejrzewa mnie o nieczne zamiary? Na przykład o to, że chciałem uwieść damę do towarzystwa

własnej matki, niezaradną niewiastę, która straciłaby pracę i trafiła na ulicę?

- Wypraszam sobie takie insynuacje! - Jej oczy rozbłyły. - Dobrze pan wie, że tak o nim nie myślę, w żadnym też razie nie jestem niezaradną niewiastą. Gdybym tylko podejrzewała jakiegoś dżentelmena o złe zamiary, zaraz wytargałabym go za uszy. - Popatrzyła groźnie na roześmianego hrabiego. - Myślę, że po prostu lubi mnie pan prowokować.

- Ma pani rację - przyznał, podziwiając jej wdzięczną twarzyczkę zaróżowioną z emocji. - Jeśli bym tego nie robił, nie mielibyśmy szans na to, by się zaprzyjaźnić. Czy nie sądzi pani, że konwenanse są okropne? Ludzie uśmiechają się do siebie i kiwają głowami, ale brak im szczerości. Nazywają się przyjaciółmi, gdy tymczasem nie zasługują na miano dobrych znajomych.

Elizabeth uśmiechnęła się, przyznając mu w duchu rację. Zdążyła zmienić zdanie o hrabim i cieszyło ją jego towarzystwo.

- Wydaje mi się, że należy odrzucać pozory, maski, które skrywają naszą prawdziwą naturę. Ludzie rzadko są wobec siebie szczerzy.

- Jest pani bardzo dojrzała jak na swój wiek, panno Travers. Rzadko zdarza się spotkać młodą kobietę, wygłaszającą tak ciekawe sentencje.

- Czasami próbuję narzucić swój punkt widzenia - wyznała Elizabeth. - Simon skarżył się, że kiedy byliśmy młodszy, cały czas nim dyrygowałam. Chyba lubię dominować, a to poważna wada.

- Nic podobnego! - Daniel nie mógł oderwać wzroku od Elizabeth. Z jego doświadczenia wynikało, że kobiety niechętnie przyznają się do swoich słabości, gdy tymczasem pannie

nego. Przyszedł tam też pan hrabia. Potem długo rozmawiał z doktorem na temat stanu zdrowia pana Elworthy'ego.

- To dobrze - powiedziała Elizabeth, zastanawiając się, czy Amy wiedziała, że hrabia wychodzi z jej pokoju, postanowiła jednak nie poruszać tego tematu. Liczyła na dyskrecję służącej. - Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Powinien poczuć się lepiej za kilka dni, o ile nie dostanie gorączki. Dobrze, że panienka zatrzymała krwawienie.

- Byłaś bardzo dzielna, Amy. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Dziękuję, panienko. - Służąca wyglądała na zadowoloną z pochwały. - W domu mam dwóch starszych braci, których zawsze opatrywałam. No i odbierałam poród mamy...

- Oswoiłaś się z widokiem krwi. Dobrze, że byłaś przy mnie w tych trudnych chwilach.

- Gotowe! - zawołała Amy.

Elizabeth przejrzała się w lustrze. Pokojówka uniosła kieszonkowe lustro, by mogła też zobaczyć, jak *jest* uczesana z tyłu.

Dokonała jedynie niewielkich zmian, jednak nowa fryzura z pewnością była bardziej twarzowa.

- Bardzo mi się podoba. Mam szczęście, że jesteś tu ze mną. - Elizabeth uśmiechnęła się.

- Och, panienko... Cała przyjemność po mojej stronie.

Panna Travers podziękowała jej raz jeszcze, kiedy schodziły na dół. Wieczór był tak piękny, że postanowiła wyjść do ogrodu. Miała ochotę na krótki spacer pomiędzy rzędami róż. Wyobrażała sobie, jak cudownie będzie wyglądać altana, kiedy róże rozkwitną. Niektóre miały już malutkie pączki i za parę tygodni będą się mienić tysiącem barw.

Wracając, przystanąła na chwilę, by popatrzeć na wiosen-

ne kwiaty. Kwitły jeszcze irysy i tulipany. Jeden z czerwonych tulipanów miał intrygujące purpurowe paski. Przykłęknęła, by bliżej się mu przyjrzeć, gdy wtem usłyszała jakiś szelst. Szybko rozejrzała się dookoła, próbując ustalić, co mogło być źródłem tego dźwięku. Okazało się, że Daniel Cavendish zmierza w jej stronę, rozchylając krzewy róż. Wyszła mu na przeciw z bijącym sercem.

- Mam dobre wieści! - zawołał na jej widok. - Doktor powiedział, że kula przeszła na wylot, więc operacja nie będzie konieczna. Rana nie jest zakażona. John odzyskał przytomność i przesyła pani serdeczne podziękowania za pomoc. Doktor Roberts również nie mógł się pani nachwalić.

- Wprawia mnie pan w zakłopotanie tymi pochwałami. - Elizabeth lekko się zarumieniła. Spojrzenie hrabiego znów przyprzywiło ją o szybsze bicie serca. - Moje zasługi nie są większe niż pańskie i Amy.

- Nic podobnego - zaprzeczył Daniel. - My wypełnialiśmy jedynie pani polecenia. Ale, ale... czy dobrze mi się wydawało, że chciała pani zerwać jeden z naszych tulipanów? Mama mówiła, że zamierza pani zanieść kwiaty do kościoła.

- Nie śmiałabym zrywać kwiatów z frontowych rabat - odparła Elizabeth, czując, że hrabia szykuje się do kolejnego pojedynku słownego. - Zamierzam porozmawiać rano z ogrodnikiem. Zapytam go, które kwiaty będę mogła przekazać pastorowi.

- O! Nie przypuszczałem, że czuje pani respekt przed zwyczajnym ogrodnikiem, panno Travers.

- Człowiek, który zarządza tymi cudownymi ogrodami, nie może być zwyczajny - odpowiedziała z żartobliwą przyganą.

Travers przychodziło to z wielką łatwością. Była cudownie naturalna, niepodobna do żadnej ze znanych mu dam. - Według mnie nie jest to wada, a zaleta, panno Travers. Słuchać rozkazów generała w spódnicy, to dopiero coś! - zażartował.

- Już nigdy nie będę z panem rozmawiać - droczyła się Elizabeth. - Jest pan zepsuty do szpiku kości i prowokuje pan niczego niepodważające damy!

- Potwierdzam! Jestem draniem: najpierw się z panią droczę, a zaraz potem błagam o przebaczenie.

- Chyba powinniśmy skończyć tę rozmowę, bo wkraczamy na niebezpieczne ścieżki - zmytygowała go Elizabeth.

- Teraz, kiedy już udzieliła mi pani słusznej nagany, rzeczywiście możemy wracać do domu - odparł Daniel, ale sądząc po wyrazie jego twarzy, nie czuł się w najmniejszym stopniu skruszonym grzesznikiem.



Rozdział czwarty

Następnego dnia Elizabeth była gotowa do pracy o wpół do ósmej rano. Tej nocy się wyspała i teraz czuła się doskonale. Skoro jej przejażdżka z hrabią została odwołana, postanowiła wykorzystać wolny czas na doprowadzanie biblioteki do porządku. Przeglądała półki w poszukiwaniu ksiąg rachunkowych, które następnie układała rocznikami na osobnym regale. Zgromadziła wszystkie księgi z ostatnich piętnastu lat na środkowej półce. Ojciec hrabiego sam dokonywał wpisów, czasami opatrując je komentarzem. Zerknąwszy do jednego z tomów, Elizabeth stwierdziła, że znajdują się w nim nie tylko rachunki, ale również dane dotyczące całego majątku Cavendishów.

Gdy przносиła okazały stos z regału na stół, z jednej z ksiąg wypadł kawałek papieru. Nie zauważyła tego od razu, a znalazłszy potem na podłodze jakiś list, włożyła go do jednego z tomów. Zdążyła jedynie dostrzec, że był zaadresowany w dziwny sposób, lecz pochłonięta pracą, nie poświęciła temu większej uwagi. Najwyraźniej poprzedni lord Cavendish miał zwyczaj zostawiania dokumentów pomiędzy stronicami książek.

Kiedy zegar wybił dziewiątą, Elizabeth wyszła z biblioteki i udała się do swojego pokoju. Zdjęła zakurzone fartuch i umyła się starannie. Ledwie skończyła, Amy wniosła tacę ze śniadaniem.

- Gdzie mogę znaleźć głównego ogrodnika? - zapytała Elizabeth. - Jak się nazywa?

- Able Browning, panienko. Jeśli panienka sobie życzy, mogę wezwać go do salonu.

- Nie, nie. Wolałabym sama do niego pójść.

- Myślę, że zastanie go panienka w ogrodzie przy kuchni. Kucharz poprosił o świeże warzywa na dzisiejszy obiad - powiedziała Amy.

- Byłabym zapomniała, że będą goście.

- Proszę uważać, ogrodnik jest trochę gburowaty - ostrzegła Amy - ale za to łąsy na pochwały. Zawsze narzeka, że ma za mało miejsca na sadzonki i że nikt nie docenia jego wyśiłeków.

- Tak? - zdziwiła się Elizabeth. - Według mnie zasługuje na wielkie uznanie, bo ogrody są naprawdę piękne.

Amy uśmiechnęła się i wyszła. Elizabeth zjadła śniadanie i około pół godziny później, zarzucając na ramiona szal, ruszyła na spotkanie z Able'em Browningiem.

Tak jak przypuszczała Amy, postawny ogrodnik pracował w przykuchennym ogródku. Elizabeth zastała go na wrywaniu cebuli. Zerwane wcześniej warzywa, umieszczone w wiklinowych koszach, prezentowały się niezwykle barwnie i okazałe.

- Pan Browning? - zapytała z uśmiechem. - Te kosze są jak z obrazka. Jeszcze nigdy nie widziałam tak wspaniałych warzyw. Chyba ma pan swoje sposoby na uprawę.

- Cała tajemnica polega na tym, żeby odpowiednio zasa-

dzić i starannie pielęgnować - odpowiedział, uchylając czapki. - A panienska to pewnie Elizabeth Travers, dama do towarzystwa jaśnie pani?

- We własnej osobie - odpowiedziała. - Przyszłam w sprawie pomocy dla wielbego Bella. Prosił o kwiaty do dekoracji kościoła na tę niedzielę i na przyszły miesiąc. Organizuje wystawę kwiatów, z której dochód zostanie przeznaczony na cele dobroczynne. Będzie dużo ludzi, niektórzy przyjadą z bardzo daleka. Czy moglibyśmy jakoś pomóc naszemu pastorowi? Wiem, że potrzebujemy dużo świeżych kwiatów do dekoracji domu, ale może udałoby się od czasu do czasu przekazać coś pastorowi?

- Sadzimy kwiaty głównie na potrzeby domu - odparł nieco burkliwie Browning. - Mam do dyspozycji niewiele gruntu i muszę go rozdzielać między uprawę warzyw a hodowlę kwiatów. I tak jest już kłopot z tym, jak to wszystko pomieścić. A gotowych produktów nie kupujemy. Na rynku oszukują i wszystko jest marnej jakości, nie to, co moje plony.

- Rozumiem pana. Brak miejsca to rzeczywiście poważny problem - przyznała Elizabeth. - Jestem jednak pewna, że hrabia zgodzi się przeznaczyć jeszcze kawałek ziemi na uprawy.

- Jest taki skrawek za stajniami - ożywił się ogrodnik. - Leży odłogiem. Dawno już chciałem zapytać jaśnie pana, czy nie oddałby mi go do dyspozycji.

- Na pewno poświęciłby panu czas, gdyby wiedział o problemie. Hrabia wyjechał na kilka dni, ale jak tylko wróci, powiem mu o tym. Rozumiem, że nie możemy przekazać kwiatów do kościoła?

- Coś się powinno znaleźć w szklarni. Może trochę irysów... Tylko proszę nie zrywać kwiatów bezze mnie. I nie ruszać roślin na frontowej rabacie, panienko - ostrzegł ogrodnik.

- Nie śmiałybym tego zrobić - zapewniła panna Travers. - Proszę więc w sobotę rano przysłać do domu tyle kwiatów, ile uzna pan za stosowne. Pańskie starania z pewnością zostaną docenione. - Spojrzała na niego swoimi dużymi oczami. - A co pan przygotował na dzisiejszy wieczór? - spytała zaciekawiona.

- Może zechciałyby panienka pójść ze mną do szklarni? Właśnie tam hoduję najpiękniejsze okazy i spośród nich wybiorę kwiaty na przyjęcie. Lady Isadora uwielbia kwiaty, a dzięki szklarni może się nimi cieszyć przez cały rok.

- Z przyjemnością. - Elizabeth uśmiechnęła się, podającając za ogrodnikiem do okazałej szklarni.

Kiedy stanęła na progu, buchnęło rozgrzane, parne powietrze. Aż zaparło jej dech z gorąca. Rozejrzała się dookoła, podziwiając bujną tropikalną roślinność.

- Panie Browning, te palmy są doprawdy niezwykle. Ma pan wielki talent - pochwaliła ogrodnika. - Mój ojciec miał w domu niewielką oranżerię, ale jego rośliny nigdy nie wyglądały tak pięknie i zdrowo.

- Panienko, wszystko jest tutaj - powiedział, przykładając palec do skroni. - Kwiaty są jak kobiety, potrzebują wiele uwagi i muszą być delikatnie traktowane. Dopiero wtedy pięknie rozkwitają.

Spojrzał na Elizabeth, bojąc się, że to porównanie mogło ją urazić, jednak wydawała się go nie słyszeć. Sprawiała wrażenie osoby, która zapomniała o całym świecie. Z zapartym tchem przyglądała się ogromnym liliom w donicach.

- Panie Browning - odezwała się po dłuższej chwili milczenia. - Jestem pełna uznania dla pańskiego kunsztu. Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknych lili. - Popatrzyła na niego. - Czy mógłby pan przynieść je dzisiaj wieczorem do do-

mu? - spytała ostrożnie. - Oczywiście jutro rano kwiaty wróciłyby do szklarni.

- Mógłbym przecież je zabrać zaraz po przyjęciu.

- Skoro pan tak uważa...

- Myślę, że nie ma innej możliwości - uciął ogrodnik. - Jeśli zostawię je na noc w domu, mogą zwiędnąć z powodu różnicy temperatur. To kapryśne rośliny.

- Nie dopuścimy do tego, żeby stała im się krzywda. - Elizabeth uśmiechnęła się zwycięsko. - Goście lady Isadory powinni zobaczyć te lilie. Tak wspaniałe kwiaty zasługują na to, by je podziwiać.

- Święta prawda, panienko. - Ogrodnik ze zrozumieniem pokiwiał głową. - Tak sobie myślę, że krótka wizyta w domu im nie zaszkodzi.

- Doceniam pański gest. Zdaję sobie sprawę, że jest pan bardzo przywiązany do swoich roślin. Dziękuję za pokazanie mi szklarni, było to dla mnie niezapomniane przeżycie. Będę panu wdzięczna za pomoc dla kościoła. A teraz życzę panu miłego dnia i do zobaczenia.

Elizabeth udała się do domu, zadowolona z rozmowy. Była przekonana, że ogrodnik chętnie dostarczy kwiaty na przyjęcie i do kościoła.

W holu przypomniała sobie nagle o obietnicy odwiedzenia pana Elworthy'ego. Wygładziła suknię, poprawiła włosy i po chwili stanęła przed drzwiami sypialni chorego.

John siedział wygodnie w bujanym fotelu i wyglądał przez okno. Był ubrany jak do wyjścia, a lewe ramię miał zawieszono na temblaku. Na małym stoliku po prawej stronie fotela stał dzbanek wody i szklanka. Wcześniej chory zapewne czytał leżąc teraz na jego kolanach gazetę. Ujrawszy Elizabeth, zdjął binokle i uśmiechnął się radośnie.

- Panno Travers, dziękuję, że zechciała mnie pani odwiedzić. Jak pani widzi, czuję się znacznie lepiej. Jeśli tak dalej pójdzie, to jutro zejść na dół.

- Cieszę się, że jest pan w dobrej formie. Baliśmy się, że dostanie pan gorączki.

- Nadal jestem osłabiony. Podobno straciłem sporo krwi, a dzięki pani nie wykrwawiłem się na śmierć.

- Gdyby mnie tu nie było, hrabia Cavendish zająłby się panem równie troskliwie - powiedziała Elizabeth.

- Nie wątpię. To najlepszy przyjaciel, jakiego można sobie wyobrazić. Znamy się od dzieciństwa, służyliśmy nawet razem w armii Żelaznego Księcia na Półwyspie Iberyjskim. Mam oczywiście na myśli generała Wellingtona.

- No tak. - Elizabeth wiedziała, że wielki przywódca w pełni zasłużył na miano nadane mu przez jego żołnierzy. - Hrabia mówił mi o panów przyjaźni. Zapewne wie pan, w jakim celu pojechał do Yorku. Mam nadzieję, że wróci najdalej za dwa dni.

- Wróci najszybciej, jak to będzie możliwe - odparł zagadkowo John Elworthy. - Jeszcze raz chciałbym pani podziękować za uratowanie mi życia i najuniższej poprosić o przebaczenie. Naprawdę nie chciałem przyczynić się do bankructwa pani ojca.

- Już dawno panu to wybaczyłam. Papa został oszukany, ale nie stało się to z pańskiej winy.

- Jestem pani niezmiernie wdzięczny za wielkoduszność. Teraz podejrzewam, że pani ojciec wpadł w sprytnie zastawioną pułapkę, ale wcześniej nawet nie przeszło mi to przez myśl. Wierzę, że łajdacy, którzy stoją za zrujnowaniem sir Edwina, odpowiedzą przed sądem za wszystkie swoje przewinienia i spotka ich zasłużona kara.

- Nie pragnę zemsty, ale sprawiedliwości powinno stać się zadość - odrzekła Elizabeth.

- Jest pani nie tylko dobra, ale i mądra, panno Travers - stwierdził ciepło Elworthy, nie kryjąc podziwu.

Elizabeth, zawstydzona, podziękowała za komplement.

- Obawiam się, że muszę iść - oznajmiła. - Powinien pan wypoczywać, a ja mam jeszcze parę spraw na głowie. Wieczorem będą goście.

- W takim razie nie będę pani zatrzymywał. Serdecznie dziękuję za odwiedziny.

- Cieszę się, widząc, że pan wraca do zdrowia. A teraz proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę iść.

Opuściła pokój, pozostawiając Elworthy'ego w stanie lekkiego oszołomienia. Utkwiły mu w pamięci jej zgrabna, dumnie wyprostowana sylwetka i piękne oczy; był też pełen uznania dla jej mądrości i roztropności. Ta niezwykła młoda dama zasługiwała na lepszy los.

Daniel powinien skupić się na zadaniach, które czekały go w Yorku, tymczasem jego myśli uparcie wędrowały ku panie Travers i chwilom spędzonym w jej pokoju. Kiedy wyszła za parawanu, wyglądała tak świeżo i nieskazitelnie... Przypomniał sobie, jak, zobaczywszy go, zaczęła pośpiesznie zapinać guziczki sztywno wykrochmalonych rękawów. Coś mu mówiło, że powściągliwa i nienagannie ubrana panna Travers ma gorącą, namiętną naturę.

Uśmiechnął się. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Panna Travers była przecież zupełnie inna niż jego dotychczasowe kochanki. Skromna i przeciętnej urody, działała na niego jak żadna inna kobieta. Dlaczego to właśnie z nią chciał dzielić smutki i radości, dlaczego do niej tęsknił?

Nie znalazłszy odpowiedzi na to pytanie, skarcił się w myślach za uleganie emocjom. Powinien skupić się na tropieniu Forsythe'a, a nie snuć erotycznych fantazji na temat panny Travers. Im szybciej upora się ze swoim zadaniem, tym prędzej wróci do domu i... co wtedy? Spróbuj uwieść pannę Travers, damę do towarzystwa jego matki, kobietę z charakterem?

Niespodziewanie się roześmiał.

Mam zbyt bujną wyobraźnię, pomyślał.

Około południa lady Isadora zeszła na dół, gdzie spotkała Elizabeth, która opowiedziała jej o spotkaniu z ogrodnikiem.

- Doskonale sobie poradziłaś, moja droga. Mój mąż wielokrotnie mówił, żebym była bardziej surowa w stosunku do ogrodnika. Mówił: „Kwiaty należą do nas, Doro, a nie do niego”. Ja jednak nie byłam w stanie zdyscyplinować Browninga. Nie potrafiłam poprosić go o przyniesienie kwiatów do domu, wiedząc, że jest im bez reszty oddany. Współczuję jego żonie - biedaczka, prawie go nie widuje.

Elizabeth uśmiechnęła się. Po chwili wahania powtórzyła, jak pan Browning porównywał kwiaty do kobiet. Lady Isadora była zachwycona anegdotą.

- Moja złota - powiedziała, śmiejąc się do łez - jak to dobrze, że masz poczucie humoru. Biedna panna Ridley byłaby zgorzonna i nigdy by mi tego nie powtórzyła. Ale też nie miała szans na obejrzenie lilii Able'a Browninga. Dostałaś najwyższego wyróżnienia, Elizabeth.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Pan Browning musi zrozumieć, że jego kwiaty powinny cieszyć ludzkie oczy. Drobna zachęta i pochwała powinny skłonić go do zaopatrywania nas w kwiaty do dekoracji domu i kościoła. Myślę, że zgodzi się nawet przekazać co nieco na wystawę organizowaną przez pastora.

- Przez całe lata próbowałam nakłonić pana Browninga do pomocy przy festiwalu kwiatowym, ale wszystko na nic. Czuję, że tylko ty możesz tego dokonać. Och - dodała - pomyślałam, że jesteś idealną kandydatką na żonę dla Daniela... Gdyby tylko zdołał to dostrzec. Na razie powiedział mi tylko, że masz poczucie humoru.

- Naprawdę? - zdziwiła się Elizabeth. - Myślę, że hrabia Cavendish po prostu lubi się ze mną przekomarzać.

Przypomniała sobie ich przypadkowe spotkanie w ogrodzie; krew natychmiast szybciej zaczęła krążyć w jej żyłach. Czyżby coś do siebie czuli? Doszła do wniosku, że w jego towarzystwie powinna uważać i trzymać się na baczności, wyzwał w niej bowiem nieznaną jej dotąd emocje.

- To możliwe, moja droga. Wielokrotnie zwracałam mu uwagę, że powinien spoważnieć.

- Tak pani sądzi? Z pewnością zna go pani o wiele lepiej, jednak często odnoszę wrażenie, że te żarty to tylko pozory. Według mnie pod maską beztroski kryje się powaga i rozsądek. Mam nawet wrażenie, że coś trapi pana hrabiego.

- Możliwe. To ciekawe, że tak szybko i łatwo go rozszyfrowałaś. Ja też czasami odnoszę wrażenie, że mój syn coś ukrywa, jakiś ból, smutek....

Elizabeth przyznała rację chlebodawczyni; podejrzewała jednak, że Daniel uwikłał się w jakieś niebezpieczne przedsięwzięcie i koniecznie chce ukryć to przed matką.

Wkrótce zmieniły temat, by omówić szczegóły wieczornego spotkania. Potem przez pół godziny Elizabeth kontynuowała czytanie komedii Szekspira, a następnie panie udały się do swych pokoi, by przygotować się do posiłku. Po drodze panna Travers postanowiła sprawdzić, jakie kwiaty zostały przysłane przez ogrodnika na wieczór.

Zobaczyła piękne lilie na żardinierze w tylnej części salonu. Były to te same kwiaty, które rano podziwiała w szklarni. Ich słodki, lekko odurzający zapach wypełniał pokój.

W małym pokoju, przeznaczonym specjalnie do układania bukietów, czekało na Elizabeth duże wiadro pełne kwiatów. Wcześniej zdążyła już udekorować osobisty apartament lady Isadory. Resztę kwiatów, zgodnie z prośbą, pozostawiono w chłodnym pomieszczeniu, by zachowały świeżość.

Zaniosła przygotowane bukiety do pozostałych pokoi i holu, w którym, ku swej radości, zobaczyła wspaniałe palmy ze szklarni Able'a Browninga. Zadowolona z tego, że udało się jej przekonać ogrodnika, poszła do sypialni, by przygotować się na przyjęcie gości.

- Bardzo żałuję, że Daniel musiał wyjechać akurat wtedy, kiedy zaprosiłam znajomych na kolację - żaliła się lady Isadora, kiedy obie panie schodziły na dół, by przywitać gości.
- Miałam nadzieję, że będzie z nami dziś wieczorem. W tej sytuacji mamy nieparzystą liczbę dżentelmenów i dam.

- Pewnie ma ważne sprawy do załatwienia - powiedziała Elizabeth. - Nie widzę wyjścia. Może pan Elworthy mógłby nam towarzyszyć, skoro czuje się lepiej?

- Serdecznie go zapraszałam, ale odmówił, twierdząc, że potrzebuje jeszcze kilku dni odpoczynku. Widocznie dzisiejsza zmiana opatrunku bardzo go wyczerpała.

- To możliwe - przyznała Elizabeth. - Cieszymy się, że tak szybko wraca do zdrowia i że nie ma gorączki.

- Tak, tak - powiedziała jakby w zamyśleniu lady Isadora.
- Miejmy nadzieję, że wszystko...

Pozostała część zdania utonęła w radosnym gwarze powiatań. Przez następne dwadzieścia minut lady Isadora zajmo-

wała się przedstawianiem Elizabeth swoim znajomym i sąsiadom.

- Sir Henry i lady Giles. Pozwólcie, że przedstawię wam Elizabeth Travers. Jej matka, Serena, była moją wieloletnią przyjaciółką i ogromnie się cieszę, że Elizabeth zgodziła się zostać moją damą do towarzystwa. - Gdy panna Travers witała się z państwem Giles, lady Isadora dostrzegła ich córkę, stojącą w pewnej odległości za nimi. - Julio, tak się cieszę, że przyszedłaś. Nasza Elizabeth bardzo chciała cię poznać. Proszę, odwiedź nas któregoś dnia.

Julia była bystrą, ładną dziewczyną o kasztanowych włosach i brązowych oczach. Miała zadarty nos i odrobinę zużwałe spojrzenie.

- Bardzo proszę przyjść do nas na herbatę - zaprosiła panna Travers.

- Dziękuję, bardzo lubię bywać w tym gościnnym domu - odpowiedziała Julia. - Obawiam się jednak, że w najbliższym czasie nie uda mi się pań odwiedzić; wyjeżdżam do Londynu.

- Słyszałam o tym - powiedziała Elizabeth. - Zapewne cieszy się pani z debiutu, panno Giles?

- Tak... - Julia zawahała się. - Na pewno będę się doskonale bawić i poznam wielu ludzi, ale... - Urwała nagle, gdyż kamerdyner anonsował właśnie przybycie kolejnych gości.

- Sir Walter i lady Brackly. Lady Pamela Mole. Pastor Bell. Pan i pani Henderson, panny Henderson. Lady Roxborough.

Elizabeth musiała przywitać się ze wszystkimi gośćmi. W panującym zamieszaniu zdążyła jednak zauważyć, że Julia, nagle spotulniała, patrzy tylko w jedną stronę.

Elizabeth zorientowała się, że to właśnie Julię widziała poprzedniego ranka, kiedy wracała z plebanii. To panna Giles machała do pastora i z taką ochotą biegła na spotkanie. Czy

to możliwe, że walebnny Bell właśnie ją miał na myśli, mówiąc o płochych młodych dziewczętach, uganiających się za przyjemnościami? Jeśli tak, było to bardzo niesprawiedliwe z jego strony. Julia, jako bardzo jeszcze młoda kobieta, miała prawo do zabawy i radości.

Chwilę później pastor odszukał w tłumie Elizabeth.

- Uroczu pani wygląda, panno Travers - powiedziała. - Pozwolę sobie zauważyć, że bardzo pani do twarzy w tej sukni. Gratuluję pani gustu i smaku. - Rzucił wymowne spojrzenie w kierunku Julii Giles, która miała na sobie wytworną suknię z jasnozielonego jedwabiu z bufiastymi rękawami i falbanami, a także brylantowy wisiorek i dwie złote bransolety wysadzane perłami i brylantami. - Pani nie potrzebuje tak wyszukanego stroju, by przyćmić urodą inne kobiety.

- Jestem w żałobie po ukochanej matce - wyjaśniła Elizabeth. - Ja także lubię żywe kolory. Podziwiam suknię panny Giles, gdyż w tym odcieniu zieleni wygląda uroczu.

Pastor przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, wreszcie skinął głową.

- Przyszaję, że suknia jest ładna, choć odrobinę frywolna.

- Gdybym to ja wystąpiła w tak strojnej sukni, rzeczywiście mógłby mi pan zwrócić uwagę - powiedziała Elizabeth. - Kobięcie w moim wieku nie przystoi taki ubiór, ale na młodej dziewczynie wygląda czarująco.

- No cóż, musimy wybaczać młodym popełniane przez nich głupstwa - rzekł pastor, nieco zbity z tropu. - Panno Travers, podziwiam pani wyrozumiałość. Uświadomiła mi pani, że byłem zbyt surowy w ocenie panny Giles.

- Proszę się o nic nie obwiniać - powiedziała z uśmiechem Elizabeth. - Na co dzień widzi pan tyle nieszczęść i cierpień, że ekstrawagancje napełniają go odrazą. Jed-

nak proszę zrozumieć, że nawet gdyby panna Giles oddała swoje piękne bransolety, nie zlikwidowałoby to obszarów nędzy na świecie.

- Pani słowa są smutne, ale prawdziwe... - Urwał, zauważwszy zmierzającego w ich stronę dżentelmena. - Obawiam się, że zwróciła pani na siebie uwagę generała Montigrew. Muszę panią ostrzec, że to człowiek o niewyszukanych manierach. Pochował już trzy żony i szuka czwartej, chcąc, by zajęła się jego dziećmi. Radzę nie być dla niego zbyt miłą, bo przez cały wieczór nie odstąpi pani na krok.

Elizabeth była zaskoczona tym, że pastor zachowuje się niczym pies pilnujący swojej zdobyczy. Spojrzała na idącego ku niej potężnego mężczyznę o zaciętym spojrzeniu, bujnych bokobrodach i rumianych policzkach. Uznała, że jest dość przystojny jak na swój wiek.

- Lady Isadora prosi pana na słówko - zwrócił się generał do pastora tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wyraźnie niezadowolony pastor oddalił się wolnym krokiem w kierunku starszych dam. - Zanudziłyby panią na śmierć - powiedział generał, puszczając oczko do Elizabeth. - To lady Isadora przysłała mnie na ratunek. Tak piękna kobieta nie powinna marmować wieczoru w towarzystwie tego nudziarza! Taka zgrabna klaczka! Czystej krwi arabka! Niech mnie dunder świśnie, jeśli się nie znam na kobietach i koniach. Wybacz pani to porównanie, ale konie mają wiele wspólnego z kobietami. I jedne, i drugie muszą mieć dobre pochodzenie i wychowanie, a ja z zamkniętymi oczami odróżniam szkapę od arabki.

- Mam być panu wdzięczna za ten wyjątkowy komplement? - zapytała Elizabeth z zimnym błyskiem w oku. - Przynajmniej nieczęsto się takie słyszy...

Przez chwilę przyglądał się jej podejrzliwie, po czym głośno się roześmiał.

- Ależ z pani żartownisia! Po prostu nabija mnie pani w butelkę!

- Generale, nie śmiałałabym z pana żartować - zaprzeczyła, choć jej roześmiane oczy mówiły zupełnie co innego. Wyglądało na to, że Elizabeth podbiła serce kolejnego dżentelmena.

- Panienska sobie ze mnie jawnie dworuje - rzekł, wyraźnie rozbawiony. - Spodziewałem się mdłej i nudnej panny, a tu taka niespodzianka. Ma panienska wyborne poczucie humoru oraz niepospolity temperament, a to właśnie dwie cechy, które najbardziej cenię u kobiet... - Jego wzrok padł na jedną ze znajomych lady Isadory. - O, widzę, że jest też lady Roxborough. Jej mąż był strasznym łobuzem, a poniekąd rzy twierdzą, że i z niej jest niezłe ziółko. Jednak w ogóle nie przejmują się plotkami, bo dzięki swoim znajomościom i koneksjom i tak jest wszędzie zapraszana.

Elizabeth spojrzała w kierunku kobiety, o której mówił generał, otrzymując w zamian miły uśmiech. Zamieniła wcześniej kilka zdań z tą pełną wigoru i energii damą, do której generał miał wyraźną słabość.

- Tak, tak, znam kilka pikantnych szczegółów z jej życia, ale gdybym panience powiedział, to zwiędłyby jej uszy. To nie są opowieści dla młodych dam...

Przerwał mu kamerdyner, zapraszając wszystkich do stołu. Elizabeth zostawiła swego adoratora, przywołana przez lady Isadorę.

- To Daniel miał cię wprowadzić do salonu i dotrzymywać ci towarzystwa przy stole, ale, jak wiesz, plany uległy zmianie i zrobi to sir Henry. Będziesz siedzieć pomiędzy nim a lady

Pamelą. Lady Pamela jest trochę przygłucha, ale wystarczy, że będziesz się uśmiechać i przytakiwać.

Elizabeth uśmiechnęła się do dżentelmena, który podał jej ramię. Dobrze czuła się w towarzystwie tego miłego człowieka.

- Lady Isadora mówiła mi, że lubi pani czytać, panno Travers - zagadnął, wysuwając dla niej krzesło. - Proszę mi powiedzieć, jakie książki czytuje pani najchętniej? Moja Julia uwielbia powieści romantyczne, ale pani ma zapewne bardziej wysublimowany gust.

- Ja również lubię powieści, choć od romantycznych wolę historyczne. Poza tym jestem zagorzałą miłośniczką poezji i dramatu - odpowiedziała.

- Lady Isadora mówiła mi, że czyta pani na głos niczym wytrawna aktorka. Moja żona organizowała niedawno wieczorek literacki i zaprosiła całą śmietankę towarzyską. Szkoda, że pani tam nie było, panno Travers.

- I ja tego żałuję. Lord Cavendish ma imponujący księgozbiór, więc mogę przebierać wśród arcydzieł literatury światowej.

Wieczór mijał w przyjemnej atmosferze, choć Elizabeth musiała wysłuchać monologu lady Pameli na temat jej ukochanego mopsa o wdzięcznym imieniu George.

- Imię odziedziczył po moim mężu - wyjaśniła lady Pamela głosem, który byłby w stanie zbudzić umarłego. - Musisz wiedzieć, że ten mały piesek jest lepszym towarzyszem życia niż mój mąż. Wysterylizowałam go, kiedy jeszcze był szczeniakiem. Kochany piesek, nie błąka się po nocy, nie przeklina i nie gra w karty. Co prawda, śmierdzi mu z pyska i puszczą wiatry, ale to samo robił mój mąż, a wytrzymałam z nim ponad czterdzieści lat. Zmarł zeszłej zimy.

Ostatnie zdanie dama wypowiedziała nieledwie z satysfakcją. Elizabeth z trudem powstrzymała się od śmiechu. Najwyraźniej lady Pamela nie owijała w bawełnę.

- Mam dla ciebie cenną radę, młoda damo. Szukaj mężczyzny z dużym majątkiem, dobrym stanowiskiem i słabym zdrowiem. Jeśli takiego znajdziesz, twoje małżeństwo będzie szczęśliwe.

- Dziękuję pani, zapamiętam te słowa.

- Większość kobiet w twoim wieku podąży za uczuciem. - Lady Pamela westchnęła ciężko, nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa Elizabeth. - Pamiętaj, należy poślubić starszego mężczyznę, a młodego wziąć na kochanka. Ja tak zrobiłam i nie żałuję.

Elizabeth przytaknęła i zgodnie z radą lady Isadory, uśmiechnęła się pięknie do swej rozmówczynie, niezdolna kontynuować salonowej konwersacji na taki temat. Niemniej chętnie porozmawiałyby z kimś o mądrościach życiowych, jakimi próbowała się z nią podzielić lady Pamela. Gdyby był tu hrabia Cavendish, na pewno razem śmialiby się ze złotych myśli wdowy. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jej go brak. Lady Roxborough, najwyraźniej rozumiejąc męki, jakie musi przeżywać dziewczyna wysłuchująca porad Pameli, przesłała jej pokrzepiający uśmiech. Elizabeth polubiła ją za bezpośredniość. Jeśli spotkała ją w salonie lady Isadory, mogła nie zważyć na jej wątpliwą reputację.

Po kolacji panie udały się do salonu. Julia Giles przysiadła się do Elizabeth i podjęła dyskusję na temat mody. Rozmowa została przerwana przez gości, którzy domagali się kameralnego koncertu w wykonaniu dziewcząt. Najpierw Elizabeth zabawiła zgromadzonych w salonie, śpiewając

wesołe piosenki; potem przyszła kolej na koncert fortepianowy Julii.

Grała wspaniale, z przejęciem. Elizabeth była pewna, że Julia ma ogromny talent. Obdarzona również dźwięcznym, melodyjnym głosem, z powodzeniem mogłaby występować na scenie, gdyby tylko jej rodzina nie miała nic przeciwko temu. Obie artystki zostały nagrodzone gromkimi brawami. Pastor Bell postanowił pogratulować Elizabeth osobiście.

- A, tu się pani ukrywa, panno Travers. Gratuluję udanego występu - powiedział, szybko zajmując wolne miejsce u jej boku. - Zastanawiałem się, czy ustaliła pani coś w sprawie kwiatów? - dodał, zmieniając temat.

- Tak mi się wydaje. Jutro rano przyniosę kwiaty do dekoracji kościoła, a w przyszłym miesiącu postaram się uatrakcyjnić wystawę wspaniałymi okazami ze szklarni naszego ogrodnika.

- To doskonale... - zamierzał kontynuować rozmowę pastor, lecz wszedł mu w słowo generał Montigrew.

- No, w końcu panią znalazłem! - zawołał tubalnym głosem. - Przeszedłem zapytać, czy Cavendish znalazł dla pani odpowiedniego konia, bo jeśli nie, mam klacz, która byłaby wprost idealna.

- Dziękuję, że pan o mnie pomyślał, ale hrabia obiecał mi wierzchowca ze swojej stajni.

- W takim razie zapraszam panią na polowanie. Wiem, że Cavendish nie lubi polować, a ja mam wspaniałe ogary i sokoły.

- To bardzo miło z pana strony. Muszę jednak pana zmarwić, mój ojciec nie był myśliwym, więc polowania są mi obce.

- To znaczy, że dopisuje mi dziś szczęście - ucieszył się

Montigrew. - Będę rad wprowadzić panią w arkana sztuki myśliwskiej.

- Dziękuję, ale na razie niczego nie mogę obiecać. Moim głównym zadaniem i obowiązkiem jest dotrzymywać towarzystwa lady Isadorze. Jeśli czas pozwoli, chętnie skorzystam z pańskiego zaproszenia. - Elizabeth nie miała najmniejszej ochoty na polowanie, ale za nic w świecie nie chciała sprawić przykrości sympatycznemu generałowi. - Panowie, musicie mi wybaczyć, ale lady Isadora mnie potrzebuje.

Z westchnieniem ulgi Elizabeth umknęła absztyfikantom i resztę wieczoru spędziła przy swej chlebobawczyni, gawędząc z jej przyjaciółkami.

- Tak mi przykro, moja droga - powiedziała ze smutkiem lady Isadora, kiedy wraz z Elizabeth wchodziły na górę po zakończonym przyjęciu. - Musiałas potwornie się wynudzić. Pastor Bell to zacny człowiek, a generał również nie miał złych intencji, ale obaj nie odstępowali cię nawet na krok. Gdyby Daniel tu był, wszystko wyglądałoby inaczej.

- Proszę się tym nie przejmować - odparła z uśmiechem Elizabeth. - Ci dwaj panowie są na swój sposób uroczy, choć mam wrażenie, że nie przepadają za sobą.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyła lady Isadora. - Zazwyczaj dobrze się rozumieją. Nie wiem, co ich ugryzło dzisiaj-szego wieczoru.

W duchu jednak słusznie podejrzewała, że kością niezgody była jej ulubiona dama do towarzystwa. Nie do końca odpowiadało jej zainteresowanie tych akurat dżentelmenów, gdyż miała wobec Elizabeth inne plany, postanowiła więc zbyć całą sytuację milczeniem.

Jeszcze przed przyjazdem panny Travers lady Isadora brała

pastora i generała pod uwagę jako potencjalnych kandydatów do ręki osieroconej dziewczyny, jednak kiedy poznała ją bliżej, całkowicie zmieniła zdanie. Energiczna, żywiołowa i pełna wdzięku zasługiwała na męża znacznie atrakcyjniejszego niż nudnawy pastor czy podstarzały generał. Znacznie bardziej pasowałyby do niej Daniel. Lady Isadora miała już w głowie idealny scenariusz zdarzeń.

Elizabeth również postanowiła zachować dla siebie wrażenia z minionego wieczoru. Wyrobiła sobie zdanie na temat pastora Bella, generała Montigrew, Julii Giles i jej rodziców oraz lady Pamelii. Jednak to nie o nich rozmyślała, kładąc się do łóżka. Jej myśli krążyły wokół pewnego dżentelmena, jego głębokiego spojrzenia i chwili, w której chciał ją pocałować.

Ależ była niemądra! Nawet jeśli hrabia lubił z nią flirtować, nigdy nie pomyśli o niej poważnie. Nie chciała przelotnego romansu; pragnęła głębokiego, prawdziwego uczucia.

- A niech to licha! - Westchnęła, przewracając się na drugi bok.

Uznała, że jak dotąd zachowywała się nieodpowiedzialnie w kontaktach z hrabią i postanowiła koniecznie to zmienić. W przyszłości powinna zrobić wszystko, by zwiększyć dystans między nimi, zamiast z utęsknieniem wyczekiwać przejawów sympatii i czułości z jego strony.

Gdy w końcu zasnęła, śniło jej się, że leży w ramionach Daniela Cavendisha, a on całuje ją w sposób, który sprawia ją o drżenie.

Daniel rozejrzał się po gospodzie, gdzie był umówiony. Nie miał zwyczaju odwiedzać barów cuchnących piwem i potem robotników, jednak ten szynk doskonale nadawał się na miejsce spotkania.

Nieudany zamach na jego najlepszego przyjaciela uświadomił mu, jak niebezpieczni są przestępcy, których ścigał. Nie miał pewności, czy John Elworthy został postrzelony przez pomyłkę, czy był faktycznym celem ataku. Niezależnie od tego sprawa była poważna i wymagała natychmiastowego działania. Do czasu, kiedy znalazł Johna leżącego w kałuży krwi na poboczu polnej drogi, nie myślał poważnie o tym, że to Forsythe stoi za porwaniem jego siostrzenicy. Nie przekonywały go nawet zeznania Marii. Teraz jednak zaczynał wierzyć, że sir Montague jest winny zarzucanych mu zbrodni.

Niewątpliwie ludzie Forsythe'a również byli niebezpieczni. Daniel nie zamierzał porzucać śledztwa. Był skłonny zaryzykować własne życie, byle tylko schwytać przestępców. Musiał jednak ochronić Johna, lady Isadorę i Elizabeth.

Bezwiednie uśmiechnął się na myśl o tej młodej kobiecie, która niedawno pojawiła się w jego życiu. Nie spodziewał się, że okaże się taka... interesująca. W życiu Daniela Cavendisha nigdy nie brakowało kobiet. Miał szansę ożenić się we wczesnej młodości, ale niewłaściwie ulokował uczucia. Marianna była od niego starsza, uderzająco piękna i pełna temperamentu. Kiedy ją spotkał, był jeszcze studentem Oxfordu. Pieśniadze, które dawał mu wtedy na utrzymanie ojciec, nie robiły wrażenia na wybrance jego serca. Dziewczyna szukała męża o znacznie większej fortunie. Wyszła za dwukrotnie starszego księcia i w zamian za pokaźny majątek obdarowała ukochanego męża dwójką zdrowych synów.

Daniel cierpiał, kiedy wyśmiała i odrzuciła jego oświadczenia. To właśnie z jej powodu zaciągnął się do armii, gdzie przez następne kilka lat uczył się męstwa. W wieku trzydziestu pięciu lat nie był już tym samym mężczyzną, którego oczarowała ładna buzia Mariny. W armii wyróżnił

się bohaterstwem i odwagą, a zarobione pieniądze zainwestował tak mądrze, że teraz dorównywał bogactwem księciu, mężowi Mariny.

Przerwał rozmyślania na widok zwałistego mężczyzny, który właśnie wszedł do oberży i zmierzał w stronę szynkwasu.

- Kufel piwa, gospodarzu! - krzyknął i z trunkiem w dłoni podszedł do hrabiego. - To miejsce jest wolne? - zapytał.

- Tak - odparł Daniel, rozpoznając w nim właściwego człowieka. - Zapraszam bliżej ognia, mamy dziś chłodny wieczór.

- To prawda, ale pogoda ma się niedługo poprawić. - Usiadł przy stoliku i spojrzał na Daniela. - Czym mogę służyć?

- O ile wiem, pracuje dla pana kilku ludzi? - rzekł hrabia.

- Zgadza się - potwierdził nieznajomy. Wiedział, że ma do czynienia ze szlachcicem. - Ale mogę ich wynająć tylko właściwemu człowiekowi i za odpowiednią opłatą. Poza kradzieżą i morderstwem są w stanie zrobić wszystko.

- Powiedziano mi, że jest pan uczciwym człowiekiem, Tobbold, bo takie jest pańskie nazwisko, nieprawdaż?

- Może mnie pan tak nazywać.

- Więc, Tobbold, potrzebuję kilka zaufanych osób.

- Tak myślałem. Proszę mówić dalej.

- Ci, z którymi mam do czynienia, są pozbawieni zasad. Nie cofną się nawet przed morderstwem. Ostatnio postrzelili mojego przyjaciela. Gdybym go w porę nie znalazł, już by nie żył. Podejrzewam ich także o porwanie młodej kobiety, a być może nawet wielu innych kobiet. Nie wspomnę już o oszustwach karcjanych.

- Ci ludzie to pańscy przyjaciele? - zapytał Tobbold.

- Boże broń! To zaledwie znajomi. Chcę dowiedzieć się prawdy o ich podejrzanych interesach i postawić ich przed sądem. Moi obserwatorzy śledzą tych łajdaków od jakiegoś

czasu, ale sprawa nie posuwa się naprzód. To wszystko jest poważniejsze, niż mi się wcześniej wydawało.

- Oddam do pańskiej dyspozycji swoich najlepszych ludzi. Ci dranie w życiu się nie zorientują, że są śledzeni. Ale czuję, że chodzi panu o coś jeszcze.

- Zgadł pan. Boję się o bezpieczeństwo moich bliskich. Wiem, że złoczyńcy polują na mnie i jestem gotów się przed nimi bronić. Natomiast rodzina jest nieświadoma zagrożenia i dlatego muszę ją chronić.

- Rozumiem - powiedział Tobbold. - Proszę podać mi nazwiska i miejsca, a doprowadzę sprawę do końca.

- Dziękuję - powiedział Daniel. - Musimy zdemaskować tych niegodziwców, ale do tego potrzebny jest nam dowód.

Tobbold posłał mu ciężkie spojrzenie.

- A jeśli znajdziemy dowód nieuznawany przez sąd?

Daniel zmarszczył brwi.

- Później będziemy się tym martwić.

- Niech pan na siebie uważa, wygląda na to, że ci ludzie nie cofną się przed niczym. W końcu dostaniemy ich w swoje ręce, a sprawiedliwości stanie się zadość.

Elizabeth zbudziła się nagle, usłyszawszy jakiś dźwięk. Przez chwilę leżała w ciemności, zastanawiając się, co wyrwało ją ze snu. Odniosła wrażenie, że ktoś stłukł szybę w tylnej części domu. Zapaliła świece, ale zegarek nie pokazywał jeszcze szóstej. Było zbyt wcześnie, żeby wstać, a jednak czuła się w pełni rozbudzona i nie miała ochoty dłużej leżeć w łóżku.

Z lekkim westchnieniem wstała z pościeli, włożyła prostą szarą spódnicę oraz bluzkę i pośpiesznie zeszła na dół. W holu zobaczyła młodego służącego, który kilka dni wcześ-

niej pomagał prowadzić na górę pana Elworthy'ego. Chłopak spojrział na nią wymownie i przyłożył palec do ust, nakazując całkowite milczenie. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Co się dzieje? - zapytała szeptem. - Ty też coś słyszałeś?
- Chyba ktoś jest w bibliotece - odpowiedział równie cicho.
- Niech panienka tu zostanie, a ja pójde sprawdzic.
- Idę z tobą - uparła się Elizabeth. - W twoim towarzystwie nie boję się włamywaczy.
- Dobrze, ale proszę trzymać się za mną - ostrzegł. - Proszę pamiętać, co się przytrafiło panu Elworthy'emu.
- Wcale nie czuję strachu - zapewniła, zaciskając palce na masywnym mosiężnym świeczniku, gotowa użyć go w obronie własnej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale co będzie, jeśli napastnik ma pistolet? - Prowadź, Forrest - powiedziała pewnym, mocnym głosem.

Trzymała się parę kroków za nim, kiedy kopnięciem otworzył drzwi biblioteki i wszedł do środka. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Na podłodze leżały odłamki szkła, jednak w pokoju nie było śladu intruza. Włamywacz zdążył uciec. Po chwili Elizabeth zauważyła, że jedno z okien jest otwarte na oścież. Nie wiedząc, co mają o tym wszystkim myśleć, stali w osłupieniu.

- Nic nie rozumiem - odezwał się w końcu chłopak. - Ktoś się włamał, ale czy widzi pani, żeby coś zginęło?

Elizabeth zapaliła więcej świec. Zarówno duże mosiężne świeczniki, jak i mniejsze, srebrne, nadal stały na swoich mahoniowych podestach. Rozejrzała się po pokoju; jej wzrok zatrzymał się na półce z książkami.

- Wydaje mi się, że było sześć roczników, a teraz jest tylko pięć - powiedziała ze zdziwieniem. Raz jeszcze spojrzała na oprawione w skórę książki, będące skarbnicą wiedzy na temat Cavendishów i ich majątku. - To dziwne... Chyba nie ma to-

mu z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Ale na co komu taki dokument?

- Może to sprawa jakiegoś łotrzyka z wioski? Za dużo wypił i szukał kłopotów - głośno myślał Forrest. - Taki głupi żart, nic więcej. Niech panienka wraca do pokoju i zostanie tam, dopóki nie uprzątnę tego bałaganu. Trzeba przeszukać dom na wypadek gdyby drań nadal tu był.

- To znaczy na wypadek, gdyby to nie był żart? - spytała zaniepokojona. - To moja wina, nie powinnam zostawiać tych ksiąg na wierzchu.

- Proszę się nie zamartwiać, to przecież tylko stare księgi rachunkowe i trochę zapisków. Hrabiemu na pewno na nich nie zależało - pocieszył ją Forrest. - Chwała Bogu, nie była to jedna z cennych ksiązek.

- Pewnie masz rację - mruknęła Elizabeth bez przekonania. Zapiski i dane sprzed dwudziestu lat to ważne dokumenty. Hrabia mógł ich potrzebować, tymczasem znalazły się w rękach jakiegoś bandyty. Najbardziej nieprzyjemna była świadomość, że ktoś włamał się do domu z taką łatwością.

Poważnie się obawiała, że hrabia Cavendish jest zamieszany w niebezpieczne i podejrzone sprawy. Ktoś mu zagrażał, ale po co kradł stare księgi rodzinne? Żeby jeszcze srebra albo pierwodruki, ale zapiski sprzed dwudziestu lat?

Nie po raz pierwszy zapragnęła, by hrabia wrócił z wyjazdu do Yorku. Zapewne nie udaremniłby włamania, ale czuła by się znacznie lepiej, mogąc mu opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się podczas jego nieobecności.



Rozdział piąty

Elizabeth postanowiła sama zawieźć kwiaty do kościoła. Wiadro było za ciężkie, by je dźwigać przez całą drogę. Poprosiła lady Isadorę o udostępnienie powozu i zdecydowała, że wyruszy przed południem. Bardzo cieszyła się z kwiatów przekazanych przez Browninga. Lilie i irysy były prawie tak piękne, jak te, które przeznaczył na dekorację domu. Z zadowoleniem wyobrażała sobie, jak ożywią kościół i umilą parafianom nabożeństwo.

Cztery najpiękniejsze lilie zostawiła na bukiet do buduaru lady Isadory, a resztę kwiatów zabrała do kościoła, gdzie przez następne pół godziny układała z nich zgrabne bukiety do ozdoby ołtarza. Gdy zbierała się do wyjścia, nadszedł pastor Bell.

- Przepraszam, że nie było mnie, kiedy pani przyjechała, panno Travers - usprawiedliwił się. - Wcześniej rano wezwano mnie do obłożnie chorej z ostatnim namaszczeniem. Mary Cotton miała ponad dziewięćdziesiąt lat... sędziwy wiek. Mimo to zawsze była pełna życia i wszystkim nam jej będzie brakować.

- Świeć Panie nad jej duszą - powiedziała Elizabeth. - My-

śle, że pańska obecność była dla niej wielkim pocieszeniem w ostatnich chwilach życia,

- Była osobą głęboko wierzącą, więc na pewno wiele to dla niej znaczyło. - Zamyślił się. - Dobrze, że udało mi się panią zastać. Chciałem wyrazić wdzięczność za mile spędzony wieczór. Doskonale bawiłem się w pani towarzystwie. - Rozejrzał się dookoła. - Piękne bukiety, panno Travers. Nie pamiętam już, kiedy kościół wyglądał tak wspaniale. Dziękuję w imieniu wszystkich wiernych.

- To ogrodnik, pan Browning, zasługuje na podziękowania. To on wyhodował te cuda natury, ja wstawiałam je tylko do wazonów.

- Ale zrobiła to pani z wielkim wyczuciem. Ma pani zmysł artystyczny - pochwalił. - Panna Julia Giles czasami przynosi tu kwiaty, jednak jej skromne bukiety nie są tak piękne jak arcydzieła pani rąk.

- Nie przesadzajmy. - Elizabeth próbowała zgasić entuzjazm pastora. - Nie zrobiłam nic wyjątkowego. Oj, czas na mnie! - Uśmiechnęła się. - Może potrzebuje pan dostać się do miasteczka? Chętnie pana podwiozę.

- Dziękuję, ale akurat nie mam tam nic do załatwienia. Może następnym razem.

Elizabeth pożegnała się z pastorem. Gdy powóz stanął przed domem, nadjechał Daniel Cavendish. Oddał wodze służącemu i czym prędzej do niej podszedł.

- Panno Travers - przywitał ją - nie wiedziałem, że lubi pani samotne podróże. Ciągle mnie czymś pani zaskakuje.

- Och, często zdarzało mi się to w domu. Brat i ja nauczyliśmy się powozić jeszcze w dzieciństwie - odpowiedziała, czując lekkie zawroty głowy. - Zawiozłam kwiaty do kościoła - wytłumaczyła. - Nie dałabym rady ich zanieść, a nie chcia-

łam odrywać Amy od pracy, zdecydowałam więc, że pojedę sama.

- Próbuje mi pani powiedzieć, że Browning dał pani swoje cenne kwiaty? Ho, ho, musiała pani zrobić na nim dobre wrażenie. - Hrabia zmarszczył brwi i przyjrzał się Elizabeth. Wyglądała pięknie z rumieńcem na twarzy. - Panno Travers, proszę się przyznać, czy pani zamierza ujarzmić i podporządkować sobie wszystkich domowników?

- Wręcz przeciwnie - odparła. - To lady Isadora prosiła mnie o pomoc w dekoracji kościoła.

- Domyśliłem się tego. - Daniel uśmiechnął się, z trudem opanowując nagłą chęć, by porwać Elizabeth w ramiona i zanieść do swojej sypialni. - Proszę powiedzieć, jak się czuje John? - zapytał.

- Wczoraj doktor stwierdził, że pan Elworthy czuje się już dużo lepiej i szybko wraca do zdrowia. Dziś rano zwierzył się Forrestowi, że miał spokojną noc i po południu chce zejść na dół.

- Miło to słyszeć. - Cavendish odetchnął z ulgą. - A jak się pani bawiła na wczorajszym przyjęciu? - zapytał z przekąsem.

Elizabeth pomyślała od razu o radach lady Pameli.

- Bardzo brakowało mi pańskiej obecności - odpowiedziała bez zastanowienia z rozbijającą szczerością. Uśmiechnęła się przy tym figlarnie, nie domyślając się, jak podziałało to na hrabiego. Nigdy wcześniej nie czuł tak silnego pożądania, choć jego kochanki były znacznie bardziej urodziwe od kobiety, która przed nim stała. - Muszę jednak przyznać, że czasami było zabawnie - kontynuowała Elizabeth. - Lady Pamela opowiedziała mi, jak oddała cześć swemu zmarłemu mężowi, nadając jego imię ukochanemu psu.

- Ach tak... lady Pamela. Moja ulubienica - powiedział hrabia z nieskrywanym rozbawieniem. - Niektórzy za nią nie przepadają, ale ja podziwiam jej szczerść i otwartość.

- Mamy podobne odczucia.

- W ogóle mamy ze sobą wiele wspólnego, panno Travers.

- Możliwe... - Elizabeth nagle spowaźniała, przypomniałszy sobie o włamaniu. - Obawiam się, że muszę przekazać nieco smutniejsze nowiny. Nie powiedziałam o tym pańskiej matce i zabroniłam Forrestowi dzielić się tą informacją z resztą służby...

- Proszę mówić, panno Travers. - Najwyraźniej chodziło o coś poważnego.

- Dziś o szóstej rano zbudził mnie dźwięk tłuczonego szkła. Sypiam przy otwartym oknie, więc hałas dobiegł mnie z zewnątrz. Z początku myślałam, że się przesłyszałam, ale zaniepokoiło mnie to i zeszłam na dół. Okazało się, że Forrest też coś słyszał. Dźwięk dochodził z biblioteki. Forrest wszedł pierwszy, a ja tuż za nim. Okno było otwarte, szyba wybita, a włamywacz zdążył uciec.

- To znaczy, że ktoś włamał się do biblioteki? - zapytał zduszonym głosem Daniel. - Są tam cenne książki, ale w innych pokojach znajdują się bardziej wartościowe przedmioty.

- No właśnie. Wszystko wskazuje na to, że złodziejowi nie chodziło o wartościowe przedmioty. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że zniknął jeden z dzienników rodzinnych.

- Z którego roku?

- Z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Nie mam pojęcia, po co złodziejowi prywatne zapiski pańskiego ojca.

- Ja również - przyznał Daniel. - Chyba że... - Machnął ręką, zrezygnowany. - Nie, nic nie przychodzi mi do głowy. Na co komu te stare dane?

- No właśnie... Co prawda, pański ojciec miał zwyczaj przechowywania w książkach dokumentów i listów, ale...

- Naprawdę? Nie wiedziałem o tym. Jest pani pierwszą osobą, która mi o tym mówi.

- Pewnego dnia, gdy sprzątałam w bibliotece, z książki wypadł list. Bez namysłu wsunęłam go pomiędzy kartki innej książki, którą odłożyłam na środkową półkę. Od tego czasu bardzo uważam, żeby przez przypadek niczego nie wyrzucić. Już kilka razy natknęłam się na różnego rodzaju spisy oraz dwa albo trzy listy.

- Jakiego rodzaju listy? - zaciekawiał się Daniel.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Nie czytałam ich. Ten, który wypadł na podłogę, był dziwnie zaadresowany, ale nie wiem, co w nim było.

- Dziwnie zaadresowany?

- Rzuciłam okiem na nagłówek listu, kiedy podnosiłam go z ziemi - wytłumaczyła. - List zaczynał się słowami: „ Do wszystkich zainteresowanych...”

Daniel sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- To brzmi jak wyznanie, spowiedź albo... testament. Interesujące. I wsunęła pani ten list do którejś z książek na środkowej półce?

- Tak. O ile pamięć mnie nie myli, był to rocznik tysiąc osiemset piąty, ale papier pochodził na pewno z innego tomu. Dopiero po pewnym czasie zauważyłam kartkę na dywanie. Nie wiem, w którym momencie wypadła.

- Muszę przyznać, że mnie to intryguje. Sądzi pani, że zło-dziej szukał właśnie tego listu?

- Bardzo prawdopodobne, że wiadomość wypadła z tej książki, która dzisiaj rano została skradziona. Złodziej wiedział, w którym roczniku jest list, więc nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy kartka, o którą mu chodzi, istotnie jest w tym tomie. Nie zwróciłam uwagi na datę, ale wyblakły atrament może sugerować, że był to dokument napisany wiele lat temu.

- Może szczęście będzie nam sprzyjało i odnajdziemy pismo w książce, do której je pani przełożyła - powiedział Daniel, spoglądając z uznaniem na Elizabeth. Jest inteligentna i pełna wdzięku, pomyślał. W ciągu zaledwie kilku godzin, które spędził w jej towarzystwie, zdążył oszaleć na jej punkcie. Nie wiedział, co powinien dalej począć ze swym uczuciem. - Jest pani niezwykle spostrzegawcza.

- Nie jest pan pierwszą osobą, która mi to mówi. Mam nadzieję, że ta cecha na coś się panu przyda i że wyjaśni pan tę zagadkową kradzież.

- A więc ciągle mówi mi pani per pan? A już myślałem, że zbliżamy się do „Cavendisha”.

Czekał na reakcję, lecz Elizabeth milczała. Był ciekaw, czy go lubi, darzy zaufaniem. Czy przyjęłaby jego pieszczoty, czy też przeciwnie, odrzuciłaby je? A gdyby nawet pozwoliła wziąć się w ramiona, jak to wyobrażał sobie w marzeniach, co nastąpiłoby potem? Zganił się w duchu za te rozważania. Nie zdołał jeszcze pomóc biednej Sarze Hunter, a już myśli o swoich sercowych sprawach.

- Jest pan bardzo niecierpliwy. Nie znamy się wystarczająco dobrze, żeby mówić sobie na ty. I nie zapominajmy, że pracuję dla pańskiej matki.

- Wiem o tym. Przynajmniej moja matka uparcie tak twierdzi. Sądzę jednak, że traktuje panią jak przyjaciółkę, a nie podwładną.

- Bardzo bym chciała stać się zarówno jej, jak i pańską przyjaciółką. Mam nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

- A ja myślałam, że już jesteśmy na przyjacielskiej stopie. - Spojrzała na nią uważnie, czując, że Elizabeth trzyma go na dystans. Nie tak zachowywała się, gdy rozmawiali w ogrodzie.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść. - Próbowała uciec przed jego pytającym wzrokiem. - Lady Isadora na pewno mnie potrzebuje.

Wchodząc do domu, czuła na sobie spojrzenie hrabiego. Nie miała pojęcia, dlaczego potraktowała go z taką obojętnością. Kiedy do niej podszedł, jej serce zabiło mocniej i przepełniła ją ogromna radość, choć zapewne nie podzielał jej uczuć. Nie mogła przecież dać się zwieść jego miłemu głosowi i uśmiechom. Był przystojnym mężczyzną i nie mógł opędzić się od kobiet, a ona była jedynie damą do towarzysstwa jego matki. Na chwilę o tym zapomniała, ale często będzie przypominać o tym i sobie, i Cavendishowi.

Jeśli pragnie zostać tu dłużej, musi trzymać się z dala od niego i nie pozwalać sobie na marzenia o miłości. Jeśli okaże słabość, hrabia złamie jej serce. Tylko czy nie było za późno na takie postanowienia?

Nie mogła być tak lekkomyślna. Zawsze kierowała się zdrowym rozsądkiem i silną wolą, a teraz nie wolno jej zachowywać się w tak głupi i nieprzemyślany sposób. Musi odpędzić od siebie myśli o hrabim.

Nieco później tego ranka Elizabeth spotkała na korytarzu Johna Elworthy'ego, który po raz pierwszy od wypadku opuścił swój pokój.

- Jak się pan czuje? - zapytała. - Wygląda pan już znacznie lepiej.

- Dziękuję, całkiem dobrze - odpowiedział. - Mam szczęście, że nie dostałem gorączki, tak jak to się często zdarza przy tego rodzaju ranach. Trochę brakuje mi sił, ale prawie nie czuję już bólu.

- Miło widzieć pana w dobrej formie. Jest pan pewien, że już może opuszczać pokój? Nie lepiej odpocząć jeszcze dzień lub dwa?

- Jest pani taka troskliwa... - Spojrzał na nią z rozczuleniem. Daniel, który właśnie wszedł do holu i zobaczył ich na półpiętrze, był zdumiony wyrazem twarzy przyjaciela. - Wydaje mi się, że... O, Danielu, już wróciłeś...

- Właśnie szedłem cię odwiedzić - odpowiedział. - A ty, staruszkule, już schodzisz na dół?

- Będę się oszczędzał, ale nie chcę wam przysparzać tyle kłopotów.

- Co za nonsense! Przynajmniej służba ma zajęcie. Kiedy matka jest tu sama, nie mają zbyt wiele do roboty.

- Wiem swoje - uciął John. - Jest taki piękny dzień, że postanowiłem pospacerować w ogrodzie. Panno Travers, czy nie zechciałaby mi pani towarzyszyć?

- Bardzo chętnie, ale dopiero po podwieczorku - powiedziała Elizabeth. - Nie wiem, jakie plany na popołudnie ma lady Isadora. Na pewno będziemy czytać razem „Poskromienie złościcy”, a potem zobaczymy.

- To znaczy pani czyta, a mama udaje, że słucha, zapadając co chwila w drzemkę. - Daniel się roześmiał.

Zauważył, że w towarzystwie Johna Elizabeth zachowuje się swobodnie, inaczej niż w jego obecności. Dlaczego stała się wyjątkowo powściągliwa właśnie wtedy, gdy zapragnął poznać ją lepiej?

- Nie oczerniaj mnie, bo wcale nie przysypiam, kiedy Eliza-

beth mi czyta! - zawołała lady Isadora ze szczytu schodów. - Powinieneś do nas dołączyć, może byś się czegoś nauczył - dodała.

- Niestety, dziś po południu jestem zajęty, ale jestem pewien, że John chętnie posłucha panny Travers.

- Będę zaszczycony. Cichutko usiądę z boku i nie odezwę się ani słóweczkiem. Obiecuję nie przeszkadzać - odezwał się Elworthy.

- Jak może pan przypuszczać, że będzie nam przeszkadzał? - zwróciła się do Elworthy'ego lady Isadora, gromiąc wzrokiem syna. - Pańskie towarzystwo bardzo nas cieszy, a Elizabeth czyta w taki sposób, że na pewno nie będzie się pan nudził.

- Niepodobna się nudzić w towarzystwie pani lub panny Travers.

- Zatem zapraszamy. - Lady Isadora uśmiechnęła się do gościa zachęcająco. - A co do ciebie, Danielu, to nie mam pojęcia, jakie to ważne sprawy zmuszają cię do wyjazdu. Dopiero co wróciłeś...

- Wybacz, mam, ale tym razem chodzi o naszą posiadłość. Jeden z dzierżawców ma problem z dachem. Muszę porozmawiać z nim o naprawie.

- Dobrze już - powiedziała, machając ręką. - Tym razem ci wybaczymy, ale w zamian musisz nam obiecać, że za dwa tygodnie pojedziesz z nami do Brighton.

- Tak wcześniej? - zdziwił się Cavendish. - O tej porze roku zawsze jeździsz do Harrogate; skąd ta nagła zmiana planów? Nie sądzisz, że nad morzem będzie jeszcze trochę za chłodno?

- W Harrogate są sami schorowani starszankowie - odparła.

- Jeśli uważasz, że jest jeszcze za wcześniej na wyjazd do Brighton, to pojedziemy do Bath.

- Czy mam w związku z tym rozumieć, że nic ci już nie dolega, mamó? - zapytał Daniel z dziwnym błyskiem w oku.
- Myślałam, że nadal jest mama obłożnie chora...

Lady Isadora zakaszła nerwowo i spiorunowała Danie-
la wzrokiem.

- Wyjeżdżam dla podratowania zdrowia, synu. Może
masz rację i rzeczywiście powinniśmy zaczekać z wyjaz-
dem. Pojedziemy w czerwcu. Wtedy na pewno będzie ład-
na pogoda.

- Doskonała decyzja, mamó. Jutro wyjadę na pewien czas
do Londynu. Wzywają mnie tam ważne sprawy, więc proszę
o wybaczenie. Potem jednak przywiozę do Cavendish kilku
swoich przyjaciół, żeby panie nie czuły się samotne.

- Zrób, jak uważasz - powiedziała lady Isadora. Zorien-
towała się, że syn z jakiegoś powodu nie chce, by opuszcza-
ła dom. Zazwyczaj to on namawiał ją do częstych wyjazdów.
Dlaczego więc teraz usiłował jej to wyperswadować? - Ale
i tak będę się upierała, żeby pan jechał z nami do Brighton,
panie Cavendish - ostrzegła.

Daniel wiedział, że zwracała się do niego tak formalnie tyl-
ko wtedy, gdy była na niego zła.

- Nie pozwoliłbym wam jechać bez eskorty - odparł, w peł-
ni usatysfakcjonowany obrotem spraw.

Przez najbliższy miesiąc matka oraz Elizabeth nie wyjadą
z Cavendish, co znacznie ułatwi ich ochronę. Postara się też
nakłonić Johna, żeby został tu jak najdłużej. Dom znajdował
się pod stałą obserwacją i dopóki jego najbliżsi w nim po-
zostaną, będą całkowicie bezpieczni. Przeniósł spojrzenie na
Johna.

- Coś bladło wyglądasz, przyjacielu. Mam nadzieję, że zaba-
wisz u nas, dopóki w pełni nie wydobrzejesz?

- O ile moja obecność nie jest uciążliwa dla lady Isadory...
- Ależ z pana niemądry chłópiec! Jest pan naszym gościem i może zostać tu tak długo, jak tylko zechce - zapewniła szczerze lady Isadora. - Będziemy niezmiernie rade z pana towarzystwa, prawda, Elizabeth?

- Oczywiście - zgodziła się. Nie spuszczała wzroku z hrabiego. Dlaczego nie chciał, żeby lady Isadora wyjeżdżała z Cavendish? - Poza wszystkim uważam, że pan Elworthy powinien jeszcze przez pewien czas bardzo się oszczędzać. Może najwyżej zejść na jakiś czas do salonu albo wybrać się na krótki spacer. W żadnym razie nie wolno mu zbyt wczesnie wybrać się w podróż.

- John, teraz już wiesz, co ci wolno, a czego nie wolno. - Hrabia się roześmiał. Ta dziewczyna była po prostu wspaniała! Dobrze znał metodę delikatnej perswazji, którą od lat stosowała jego matka, a teraz szalenie spodobały mu się uroczy rozkazy Elizabeth, mimo że czasami mówiła zupełnie jak mężczyzna... Nigdy nie miał ochoty chwycić żadnego mężczyzny w ramiona i zanieść go do swego łóża, natomiast panna Travers wyzwalała w nim takie właśnie pragnienia. - Panna Travers chce twojego dobra, John. Myślę, że powinieneś jej słuchać.

- Nie śmiałybym się sprzeciwić panie Travers i chętnie tu zostanę na pewien czas - zadeklarował John, nie podejrzewając, że jego drogi przyjaciel i uroczą panną Travers toczą sekretną bitwę na ukradkowe spojrzenia. - Zresztą i tak nie mam do czego wracać.

- A więc ustalone - zakończył Daniel, posyłając przyjacielowi wymowne spojrzenie. - Muszę jechać do Londynu, ale wrócę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe i przywiozę ze sobą przyjaciół.

Lady Isadora poprowadziła wszystkich do jadalni, gdzie podano obiad. Przez następną godzinę delectowano się wyśmienitymi potrawami, tocząc rozmowy na przeróżne tematy: od dekoracji kościoła do ostatnich podbojów księcia regenta, który ponownie został ośmieszony w prasie. Elizabeth doskonale się bawiła, lecz kiedy hrabia wstał od stołu, wymawiając się nawałem pilnych spraw, poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Daniel jest bardzo sumienny i odpowiedzialny - pochwaliła syna lady Isadora po jego wyjściu. - Doceniam jego wysiłek. Mój mąż zostawił interesy w fatalnym stanie i tylko dzięki Danielowi tak dobrze prosperujemy. Szkoda, że musi tak często wyjeżdżać...

- Papa był również wечно zajęty - odezwała się Elizabeth.
- Mama zawsze powtarzała, że kiedy zabroni mu się działać, zachowuje się jak ranny niedźwiedź i nie może sobie znaleźć miejsca. Wydaje mi się, że pan hrabia lubi chodzić własnymi drogami, od czasu do czasu potrzebuje samotności.

John Elworthy omal nie Zakrzusił się winem.

- Widzę, że pani bardzo lubi zgłębiać tajemnice męskiej natury.

- Och, co też pan mówi! - oburzyła się lady Isadora, nie domyślając się, że przyjaciel syna żartuje. - Niesłusznie podejrzewa pan Elizabeth! - broniła swej damy do towarzystwa.
- Nie spodziewałam się po panu tak prowokującej wypowiedzi. Zawsze był pan taki miły, w przeciwieństwie do Daniela. Prowokacje to jego specjalność.

Elizabeth pomyślała, że jeśli nawet hrabia nie należy do aniołków i lubi prowokować, nieładnie jest plotkować na ten temat.

- Zarządzanie taką dużą posiadłością nie jest łatwe, a to zapewne nie jedyne zobowiązanie pana hrabiego. Ma tyle

spraw na głowie, że żyje w ciągłym napięciu - pozwoliła sobie na uwagę.

- Masz rację, moja droga. Ten dom jest najmniejszy ze wszystkich, ale też i najwygodniejszy. Reszta to kompletna ruina. Moim zadaniem, powinno się zrównać te wszystkie budynki z ziemią. Ale mój mąż nigdy nie wyraził na to zgody. Daniel robi, co może. Czuję, że ma jakieś plany co do posiadłości w Devonshire.

Przeszli do sąsiedniego, słonecznego pokoju. Lady Isadora usiadła wygodnie na kanapie, a Elizabeth odnalazła stronę, na której uprzednio skończyła czytanie, i podjęła obowiązki lektorki. W pewnej chwili do pokoju wszedł Cavendish.

- O, jesteś Danielu - stwierdziła lady Isadora na widok syna. - Przyszedłeś na sam koniec i nam przeszkodziłeś. Myślałam, że jesteś zajęty.

- Skończyłem wcześniej, niż przypuszczałem. Przepraszam. Chciałbym porozmawiać na osobności z Johnem, chyba że masz ochotę odpocząć?

- Wspaniale pani czytała, panno Travers - powiedział John, wstając. - Porozmawiajmy, a później pójde się położyć - zwrócił się do przyjaciela.

Lady Isadora odprowadziła mężczyzn wzrokiem.

- Szkoda, że Daniel przerwał nam w kulminacyjnym momencie - powiedziała. - Ach, ten Daniel...

Przypomniawszy sobie spojrzenie, jakim obdarzył ją hrabia po wejściu do pokoju, Elizabeth poczuła, że robi się jej gorąco. Czyżby po prostu dobrze bawił się jej kosztem?

- Co będziemy czytać jutro? - szybko zmieniła temat. - Czy też nie czyta pani dla rozrywki w niedzielę?

- Mój ojciec tego nie popierał - przypomniała sobie lady Isadora. - Kiedy byłem dzieckiem, w niedzielę mogliśmy czytać jedynie Biblię... Może popracujemy jutro nad bieźni-

kiem? Zaczęłam go tak dawno temu, dobrze byłoby go wreszcie skończyć.

- Myślę, że jeśli będziemy pracować regularnie, powinniśmy zdążyć jeszcze przed świętami.

- Byłoby wspaniale - ucieszyła się lady Isadora. - Wielebny Bell będzie zachwycony takim prezentem.

Zacząły rozmawiać o kościele i o zasługach pastora dla parafii. Czas mijał szybko i nim się spostrzegły, musiały wrócić do swych pokoi, by przygotować się do obiadu.

Elizabeth szybko przebrała się w szarą suknię, chociaż miała ochotę włożyć żółtą jedwabną od lady Isadory. Obiecała sobie, że zacznie ją nosić, gdy tylko żałoba dobiegnie końca.

Zdecydowała się pójść do biblioteki, by zwrócić przeczytaną książkę i znaleźć nową lekturę do poduszki. Na wszelki wypadek zapukała do drzwi w obawie, że spotka tam Daniela. Nikt jej nie odpowiedział, weszła więc do środka. Zaczęła przeglądać książki, gdy nagle drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wkroczył hrabia.

- Co za niespodziewane spotkanie, panno Travers - powiedział. - Czy mogłaby mi pani pokazać, do której książki włożyła list ojca?

Nie dostrzegłszy w jego spojrzeniu poprzedniej intensywności, odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście. - Podeszła do regału stojącego na końcu pokoju, sięgnęła na środkową półkę i spomiędzy kart jednego z roczników wyjęła złożoną na pół kartkę papieru. - Proszę bardzo. - Podała list.

- Dziękuję - odpowiedział hrabia i zaczął go czytać. - Czy pani coś z tego rozumie? - Przekazał jej pożątkłą kartkę.

Elizabeth rozpoznała list. Postanowiła odczytać go na głos.

„Moim największym przewinieniem jest to, że znałem ich zamiary, a nie zrobiłem nic, żeby ich powstrzymać. Niech Bóg mi wybaczy moje milczenie. Dziewczyna była młoda, niewinna i dobrze urodzona. To, co jej zrobili, było straszne. Nie uczestniczyłem w zdarzeniu, ale stałem z boku i przyglądałem się, a to przecież wielki grzech. Wiedziałem, że dzieje się zło. Powinienem być coś zrobić....”

Odrzuciła kartkę, poszukując dalszej części tekstu, ale na odwrocie nic już nie było.

- Jakby brakowało zakończenia - stwierdził Daniel. - Czy to wszystko, co pani znalazła?

- Tak, tylko tę jedną stronę. Ale to chyba tylko fragment listu. Myśli pan, że... - Pokręciła głową. - Nie, to niemożliwe. Być może ponosi mnie wyobraźnia, ale przyszło mi do głowy, że ten, kto szukał tego listu, sądził, że...

- Że będzie w nim jego nazwisko? - dokończył hrabia.

- Właśnie. Ale dlaczego dopiero teraz przypomniał sobie o tym dowodzie? List wygląda na napisany wiele lat temu. Co prawda, nie ma daty, ale był w książce sprzed dwudziestu lat i atrament zdążył już spłowić; poza tym pański ojciec nie żyje od kilku lat.

Daniel pokiwał głową.

- Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś chciał ukraść ten list dopiero teraz, po tylu latach. Nie wiem, co widział mój ojciec, ale łatwo się tego domyślić. Skrzywdzono przyzwoitą dziewczynę, a ojciec nie zrobił nic, by powstrzymać złoczyńców. Jak pani myśli, dlaczego tak się stało?

- Być może ci ludzie byli jego przyjaciółmi.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Daniel. - W pewnym momencie przestał jeździć do miasta. Najczęściej był w Londynie sam, bo mama nigdy nie przepadała za sto-

licą. Mógł tam popaść w złe towarzystwo. Zaniedbał majątek i ostatnie lata swego życia spędził, żyjąc bardzo skromnie.

- Ale to niczego nie wyjaśnia. - Elizabeth spojrzała na niego podejrzliwie. - Czy jest pan uwikłany w jakąś niebezpieczną grę? Ostrzegał mnie pan przed sir Forsythe'em... Czy to o niego chodzi?

- Miałem zamiar nic pani o tym nie mówić, ale skoro sama zaczęła pani coś podejrzewać, to pewnie lepiej będzie, jeśli uchylę rąbka tajemnicy. Prowadzę śledztwo w sprawie pewnego człowieka i jeśli to, o co go podejrzewam, okaże się prawdą...

- Wiem, że Forsythe oszukał mojego ojca i jest odpowiedzialny za jego śmierć, ale jeśli to jedyny powód, dla którego naraża pan swoje życie, to...

- Podejrzewam go o coś znacznie gorszego niż oszustwa. Nie mogę powiedzieć pani wszystkiego. Przypuszczam, że mój ojciec wiedział coś o występkach Forsythe'a. A to dowodzi, że sir Montague i jego banda działają od bardzo dawna i są niezwykle niebezpieczni.

- Handel białymi niewolnicami. - Elizabeth pokiwała głową. - Niech pan nie myśli, że nic mi o tym nie wiadomo. Mój ojciec wielokrotnie i stanowczo się temu sprzeciwiał. Nigdy nie rozmawiał o tym bezpośrednio ze mną, ale wiem, że wielokrotnie poruszał ten temat. Córka jego kuzyna została uprowadzona przed laty. Pisał w tej sprawie do magazynu „Times”. Potem nasza młoda służąca została zwabiona do Londynu i przepadła bez śladu. Mój ojciec bardzo zaangażował się w śledztwo i przez wiele lat próbował ją odnaleźć, ale bez skutku.

Daniel spojrzął na nią z powagą.

- To by wyjaśniało, dlaczego sir Montague doprowadził pa-

ni ojca do ruiny. Widocznie sir Edwin odkrył coś, co obciążało Forsythe'a i jego współników.

- Jeśli to prawda, mój ojciec mógł zostać zamordowany. Nigdy nie wierzyłam, że popełnił samobójstwo. Tak zachowują się ludzie tchórzliwi, a ojciec z pewnością tchórzem nie był. Odważnie stawiał czoło temu, co niesło życie. Nawet po utracie całego majątku nie poddałby się tak łatwo. Nie zostawiłby nas samych.

- Jestem przekonany, że nie był tchórzem. W przeciwnym razie nie miałyby tak wspaniałej i odważnej córki jak pani. Wygląda na to, że za dużo wiedział i zagrażał Forsythe owi. Dlatego postanowił go zabić. A że niełatwo jest uniknąć odpowiedzialności za zabójstwo szlachetnie urodzonego, to sir Montague zrujnował pani ojca i upozorował samobójstwo.

- Biedny ojciec - wyszeptła Elizabeth.

Zakreśliła jej się w głowie; miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Próbowwała jeszcze złapać się regału, ale gdyby nie pomoc Daniela, upadłaby na podłogę. Gdy ocknęła się w silnych męskich ramionach, miała ochotę pozostać w nich na zawsze. Zaniepokojona odczuciami, na które nie powinna sobie pozwalać dobrze wychowana dama, poruszyła się niespokojnie. Cavendish natychmiast ją puścił.

- Dziękuję, już mi lepiej. Podejrzewałam, że ojciec został zabity, ale teraz dopiero zaczynam rozumieć dlaczego.

- Brakuje nam dowodów - przypomniał jej Daniel. Trzymając ją w ramionach zrozumiał, że nigdy nie pozwoli nikomu skrzywdzić tej cudownej, kruchej istoty. Pragnął ją chronić i osłaniać. - List jest praktycznie bezużyteczny. Co innego, gdyby ojciec wymienił jakieś nazwisko, podał imię dziewczyny albo ludzi, którzy ją skrzywdzili.

- Być może zrobił to kiedyś indziej - zasugerowała Eliza-

beth. - Pański ojciec mógł umieścić ciąg dalszy listu w innym tomie.

- Albo zdradził komuś swą tajemnicę. Ale to tylko nasze domysły.

- Jeśli dalsza część listu została w skradzionej książce, to nigdy nie dowiemy się prawdy. Całkiem możliwe, że w którejś z książek znajdziemy jakiś trop.

- Mogłoby nam to pomóc - rzekł Cavendish. - W Londynie spotkam się z pewnym człowiekiem, który, jak sądzę, będzie miał dla mnie informacje dotyczące tej sprawy.

- Czy gdybym znalazła coś ważnego w bibliotece, mam pana niezwłocznie o tym powiadomić?

- Byłbym pani wdzięczny. Proszę posłuchać uważnie: dom jest pod stałą obserwacją. Ani matce, ani pani nic tu nie grozi. Żaden nieproszony gość nie zakłóci waszego spokoju.

- Tak myślałam. To dlatego nie chciał pan, żeby lady Isadora opuszczała majątek?

- Kiedy uda się do Brighton, o wiele trudniej będzie ją chronić - przyznał. - Mam nadzieję, że sprawa rozwiąże się do czasu jej wyjazdu w czerwcu.

- To znaczy, że ma pan jakieś poszlaki?

- Wiem, że przez krótki okres mój ojciec należał do klubu „Ogień piekielny”. Jeden z moich szpiegów dotarł do członków klubu. Jutro mam spotkanie z jednym z nich. To właśnie dlatego muszę wyjechać z Cavendish. Może ten człowiek dostarczy mi jakichś nowych informacji.

- Rozumiem. - Elizabeth słyszała o tej tajnej satanistycznej organizacji. - Jestem ciekawa wyników tej rozmowy i życzę panu powodzenia. Mam nadzieję, że powie mi pan, co zdołał ustalić.

- Powtórzę pani wszystko, czego się dowiem. A teraz nie będę pani dłużej zatrzymywał; na pewno chce się pani przygotować do obiadu.

Musiał się z nią rozstać, gdyż powściągliwość przychodziła mu z coraz większym trudem. Miał ochotę porwać Elizabeth w ramiona i całować do utraty tchu.

- Już idę - odpowiedziała szybko.

Wprawdzie nigdzie się nie spieszyła, ale widocznie Daniel chciał zostać sam.

Podsumowała, czego się dowiedziała. Była pewna, że hrabiemu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zapewne próbował schwycić człowieka, który zniszczył jej rodzinę. Ogarnął ją niepokój. Daniel był prowokującym, nieprzyzwoicie przystojnym mężczyzną, który najprawdopodobniej chciał ją uwieść, lecz truchłała na samą myśl o tym, że mogłoby mu stać się coś złego.

Następnego dnia rano Daniel wyjechał z Cavendish. Elizabeth patrzyła, jak rozmawia ze stajennym, zajmuje miejsce stangreta w powozie i strzelając batem nad głowami pięknych wierzchowców, rusza do Londynu.

Z westchnieniem odeszła od okna. Całą noc myślała o trudnym zadaniu, które przed nim stoi. Lady Isadorze powiedział, że wyjeżdża zaledwie na parę dni, jednak mógł zostać w Londynie nawet kilka tygodni, jeśli zaszłaby taka konieczność. Nie należało jednak tym się zamartwiać; nie wolno jej przyzwyczajając się do obecności Daniela w Cavendish. Nie powinna tęsknić za mężczyzną, który nie odwzajemnia jej uczuć! Musiała pamiętać o tym, że hrabia lubi spędzać czas w towarzystwie kobiet, i nie ma najmniejszego zamiaru zrezygnować ze swych przyzwyczajień dla skromnej pracownicy

matki. Zresztą w Londynie na pewno zapomni o Elizabeth i powróci do dawnego stylu życia.

Lady Isadora wstała wcześniej niż zwykle, by zdążyć na nabożeństwo. Wraz z Elizabeth pojechały do kościoła wygodnym powozem. W kazaniu wielebny Bell powstrzymał się od gromienia wiernych za egoizm i skąpstwo, a potem dziękował Bogu za powrót do zdrowia jednego z mieszkańców parafii.

Po nabożeństwie ociągały się nieco z powrotem do domu, rozmawiając ze znajomymi i ciesząc się ciepłym, słonecznym dniem. Elizabeth gawędziła z Julią Giles, która pięknie wyglądała w swej biało-niebieskiej sukni z bufiastymi rękawkami i szalem zarzuconym na ramiona.

- Zgodzi się pani ze mną, że pastor ma wspaniały głos? - zapytała Julia, wodząc rozplómnionym wzrokiem za wielebny Bellem. - To wspaniały człowiek.

- Całkowicie się z panią zgadzam, panno Giles. Bardzo troszczy się o wszystkich potrzebujących.

- Jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam - kontynuowała Julia z rozmarzeniem w głosie. - Bardzo dobrze się o pani wyraża, panno Travers.

- Naprawdę? - zdziwiła się Elizabeth. - To zaskakujące, przecież właściwie mnie nie zna. No proszę, rozmawialiśmy dwa razy, a już zdążył wyrobić sobie o mnie opinię.

- Twierdzi, że jest pani ideałem kobiety i że wiele mogą się od pani nauczyć. - Julia powtórzyła słowa pastora.

- Nie powinien był tak mówić - zachnęła się Elizabeth. - To nieprawda. Jest pani wspaniałą młodą damą i nie musi się niczego ode mnie uczyć.

- Właśnie udowodniła pani, że to, co powiedział wielebny Bell, jest prawdą. Jest pani taka skromna! Kwiaty, które pani

przyniosła do kościoła, wyglądały wspaniale. Ja nie potrafię tak pięknie układać bukietów.

- To nasz ogrodnik, pan Browning wyhodował takie cudowne okazy, ja tylko wstawiłam je do wody.

- Nigdy wcześniej nie mieliśmy tak pięknej dekoracji w kościele.

- Zwłaszcza lilie są urodziwe - przyznała Elizabeth. - A wszystko to zawdzięczamy panu Browningowi. Lubi pani kwiaty, panno Giles?

- Kocham! Proszę zwracać się do mnie po imieniu - zaproponowała Julia.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że ty będziesz do mnie mówić Elizabeth, zgoda?

- Dobrze. - Julia poczuła się wyróżniona.

- Wiem, że jesteś teraz zajęta przygotowaniem do debiutu, ale może któregoś dnia zechciałabyś obejrzeć szklarnię pana Browninga? Trzyma tam prawdziwe skarby. Większość z nich kwitnie właśnie teraz.

- Chętnie przyjdę! Czy jutrzejsze przedpołudnie to odpowiednia pora na wizytę?

- Jak najbardziej. Może dasz się potem skusić i zjesz z nami lunch? Lady Isadora będzie zachwycona.

- Z przyjemnością zostanę na lunchu. Bardzo lubię lady Dorę - przyznała Julia. - Jest przemiła. Najchętniej przyszedłbym już dziś wieczorem, ale ojciec zaprosił gości i będzie chciał, żebym uczestniczyła w obiedzie. Wolałabym wyjść z domu, bo nie lubię jednego ze znajomych taty, ale... - Julia posmutniała.

- Nie powinnaś się sprzeciwiać ojcu. Jeśli zaprosił na kolację swoich przyjaciół, to i ty powinnaś ich przywitać.

- Wiem, ale... - Julia wzdrygnęła się. - Ten mężczyzna

przygląda mi się lubieżnym wzrokiem. To leciwy dżentelmen, a jednak odnoszę wrażenie, że miałby ochotę... Nie, co ja mówię, ojciec nigdy by mu na to nie pozwolił.

Elizabeth nie zdążyła zapytać o nic więcej, gdyż matka Julii zapragnęła wrócić do domu. Elizabeth dołączyła do lady Isadory.

- Cieszę się, że zaprzyjaźniłaś się z Julią - powiedziała lady Isadora. - To miła dziewczyna, choć jeszcze płocha. Myślę, że z czasem jej to minie.

- Bardzo ją lubię - wyznała Elizabeth. - To delikatna, wrażliwa dziewczyna. Jest podekscytowana podróżą do Londynu, ale przecież trudno ją za to winić.

- A czy ja za coś ją winię?

- Zaprosiłam ją do nas na jutro. Podziwiała kwiaty w kościele, więc powiedziałam, że pan Browning chętnie oprowadzi ją po szklarni. Zgodziła się zostać na lunch.

- Bardzo się cieszę, wiesz jak lubię towarzystwo młodych ludzi. Miło spędzimy czas, zwłaszcza jeśli dołączy do nas pan Elworthy.

- Dziś rano czułem się nie najlepiej, ale to pewnie dlatego, że wczoraj długo rozmawiał z panem hrabią. Myślę, że do jutra nabierze sił.

Okazało się, że Elworthy postanowił tego dnia nie opuszczać pokoju, więc lady Isadora i Elizabeth miały całe popołudnie dla siebie. Zaczęły pracować nad bieżnikiem. Lady Isadora ograniczyła swój udział do doborowania kolorów i kibicowania Elizabeth.

Z każdym dniem Elizabeth czuła się w Cavendish lepiej i bezpieczniej. Wieczorem napisała do brata, że poznała Joh-

na Elworthy'ego i że nie powinien nalegać na spotkanie z tym dżentelmenem.

„Pan Elworthy jest gotów spotkać się z tobą, Simon, ale nie powinieneś oczekiwać po tym spotkaniu zbyt wiele. Bądź cierpliwy, mój drogi, a problemy same się rozwiążą. Zobaczysz. Nic więcej nie mogę Ci teraz wyjawić, ale jest nadzieja, że zagadka zakładu pomiędzy naszym ojcem a Forsythe'em zostanie wreszcie rozwiązana”.

Opisała jeszcze, jak świetnie radzi sobie w Cavendish i jakich wspaniałych poznała tu ludzi. Zapieczętowała list, zdecydowała, że rano zostawi go w holu, by został wysłany wraz z resztą korespondencji. Gdy udawała się na spoczynek, jej myśli stanowczo zbyt często wędrowały ku mężczyźnie, który - była tego pewna - nie poświęcał jej najmniejszej uwagi.

- Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknych roślin - zachwycała się Julia Giles, oglądając egzotyczne kwiaty Able'a Browninga. - Ojciec ma szklarnię, ale naszemu ogrodnikowi nawet nie śniło się o takich cudach.

- Dziękuję panience za komplement - powiedział mile po-techtany Able Browning. - Orchidee to kapryśne kwiaty, wymagają dużo uwagi i cierpliwości. Nie kwitłyby tak pięknie, gdybym ich starannie nie pielęgnował.

- Są naprawdę wyjątkowe, prawda, Elizabeth?.,

- Już wcześniej mówiłam panu Browningowi, że nie jest ogrodnikiem, a czarodziejem. Tylko magik może wyczarować takie okazy.

Browning uśmiechnął się.

- Panno Travers, kiedy przyszła tu pani po raz pierwszy, to

przede wszystkim lilie zwróciły pani uwagę. A dziś orchidee przyćmiły swą urodą wszystkie inne kwiaty.

Julia zaśmiała się dźwięcznie.

- Jakie pięknie! - zachwyciła się nieustannie. - Dziękuję, że pozwolił mi pan obejrzeć swoje dzieła.

- Jest panienka równie piękna, jak one. A piękne rzeczy powinny być razem. Proszę, to dla panienki. Tylko niech panienka nie zabije go nadmiarem dobroci. Uwaga z wodą! A jakby zaczął chorować, to proszę go przynieść z powrotem, na pewno zdołamy go uzdrowić.

To powiedziawszy, wręczył Julii doniczkę z malutkim kwitnącym na różowo kaktusem, otrzymując w zamian uroczy uśmiech.

- Dziękuję panie Browning. Jest pan bardzo miły, obiecuję zadbać o tę śliczną roślinę.

Elizabeth z trudem ukryła rozbawienie. Julia niezwykle szybko podbiła serce Able'a Browninga. Może jej pochwały sprawią, że częściej będzie pokazywał ludziom swoje kwiaty.

- Wracajmy już, lady Isadora z pewnością nas oczekuje - zwróciła się do Julii.

- Zapomniałam tu o bożym świecie. - Julia roześmiała się i raz jeszcze spojrzała na ogrodnika. - Serdecznie dziękuję za prezent. Jeśli pan pozwoli, chętnie odwiedzę jeszcze kiedyś szklarnię.

Elizabeth była zadowolona z wizyty. Julia wykazała się dobrymi manierami i była szczerze zachwycona kwiatami.

- Pan Browning bardzo cię polubił - powiedziała swej nowej przyjaciółce w drodze do domu. - Zazwyczaj nie rozstaje się tak łatwo ze swoimi roślinami.

- Okazał się taki miły i dowcipny... W ogóle się go nie bałam.

Elizabeth zwołała kroku.

- Julio, czy czasami boisz się mężczyzn?
- Nie lubię niektórych znajomych ojca. - Julia spuściła wzrok. - Pan Palmer przeraża mnie, kiedy tak długo się we mnie wpatruje. - Wzdrygnęła się - Czuję się wtedy okropnie, zupełnie jakby...
- Jakby co? - dopytywała się Elizabeth. - Nie bój się powiedzieć mi prawdy, Julio. Nie zamierzam cię krytykować.
- Mam wrażenie, że rozbiera mnie wzrokiem. - Julia oblała się rumieńcem. - Robi mi się gorąco i niedobrze, czuję ściskanie w żołądku. Nie lubię obok niego siedzieć, dotyk jego ręki sprawia, że mam ochotę uciekać.
- Czy twój ojciec o tym wie?
- Nie mogłabym mu o tym powiedzieć. Próbowалаm rozmawiać o tym z mamą, ale skrzyczała mnie i ostrzegła, żebym nie okazywała niechęci zbyt otwarcie. Tata prowadzi ważne interesy z panem Palmerem. Zresztą może przesadzam. Pan Palmer na pewno nie ma nic złego na myśli; zawsze prawi mi takie miłe komplementy.
- Uważaj na niego, Julio - ostrzegła ją Elizabeth. - Jeśli coś ci mówi, że to zły człowiek, to pewnie masz rację. Bądź uprzejma, jak radzi ci matka, ale pod żadnym pozorem nie zostawaj z nim sama.
- Podobno opuszcza nas na jakiś czas - rzekła Julia. - Mam nadzieję, że go szybko nie zobaczę, chociaż mogę natknąć się na niego w Londynie.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Pod koniec przyszłego tygodnia - odpowiedziała Julia. - Jeszcze do niedawna nie mogłam doczekać się wyjazdu.
- Dlaczego zmieniłaś zdanie?
- Och... - Julia spochmurniała. - Po prostu nie chciałabym poślubić takiego mężczyzny jak pan Palmer.

- Czy ojciec kazał ci go poślubić?
 - Nie, tata nigdy nie zmusiłby mnie do czegoś, na co nie mam ochoty. Tylko mama mówiła, że ojcu kiepsko idą interesy z panem Palmerem i pomyślałam, że... - Urwała i potrząsnęła głową.
 - Nie bój się. Na pewno w Londynie spotkasz wielu interesujących mężczyzn i zakochasz się w którymś z nich.
 - Możliwe... Mama mówi, że powinnam poślubić mającego szlachcica.
 - A ty czego byś chciała?
 - Sama już nie wiem, Elizabeth - odpowiedziała z rozbrajającą szczerością Julia. - Cieszę się z wyjazdu, a jednocześnie chciałabym poślubić mężczyznę, którego podziwiam. Nie zależy mi na pieniądzach, ale mama na pewno nie pozwoli mi wyjść za kogoś... - Słowa ugrzęzły jej w gardle.
 - Kogoś takiego jak wielbny Bell? - dokończyła za nią Elizabeth.
 - Och... - Julia spłonęła rumieńcem. - Czy to jest aż tak widoczne? Bardzo lubię pastora, ale on nie odwzajemnia chyba moich uczuć. Uważa, że jestem głupiutka. Całkiem możliwe, że ma rację. Liczę na to, że ludzie nie domyślają się prawdy.
 - Oczywiście, że nie - uspokoiła ją Elizabeth, - Ledwo sama się domyśliłam. Pastor rzeczywiście jest wspaniałym człowiekiem, choć podejrzewam, że twoi rodzice woleliby kogoś bardziej zamożnego.
 - Mam trochę własnych pieniędzy, odziedziczonych po dziadku - wyznała Julia. - Moglibyśmy żyć skromnie, ale spokojnie. Mama jednak ma duże ambicje i uważa, że powinnam wydać się co najmniej za hrabiego.
- Elizabeth zamyśliła się. Trudno było się dziwić, że

lady Giles chciała dla córki jak najlepiej. Julia była śliczną i miłą dziewczyną. Prawdopodobnie zakocha się w niej jakiś bogaty i utytułowany mężczyzna, ale czy uczyni ją to szczęśliwą?

- Rozumiem cię, ale sądzę, że za tydzień lub dwa będziesz się zastanawiać, dlaczego w ogóle żywiłaś wątpliwości co do tego wyjazdu. Coś mi mówi, że będziesz wspaniale bawić się w Londynie.

- Być może. Chciałabym, żebyś mogła pojechać ze mną, miałabym wtedy przy sobie zaufaną przyjaciółkę.

- Poznasz nowych przyjaciół w Londynie, jestem tego zupełnie pewna.

Młode damy zakończyły na tym szczerą rozmowę i weszły do salonu, gdzie czekała już na nie lady Isadora oraz pan Elworthy Chory czuł się znacznie lepiej i postanowił towarzyszyć paniom przy stole. Po lunchu przenieśli się do sąsiedniego pokoju, gdzie Elizabeth miała czytać na głos, jednak rozdzieliła role pomiędzy obecnych, by każdy miał swój wkład w popołudniową rozrywkę. Ponownie zdecydowała się na sztukę Szekspira, tym razem było to „Wiele hałasu o nic”. Wszyscy aktorzy doskonale się bawili, a czas mijał niepostrzeżenie.

Gdy Julia zorientowała się, która jest godzina, i stwierdziła, że musi już iść, lady Isadora powiedziała:

- Jeśli pójdziesz na piechotę, tak jak w tę stronę, spóźnisz się na obiad. Nalegam, żebyś wzięła powóz. Twój rodzice będą się o ciebie martwić, jeśli nie wrócisz na czas.

- Ma pani rację - odpowiedziała Julia. - Bardzo dziękuję za wspaniałą gościnę, lady Doro. Tobie, Elizabeth, również serdecznie dziękuję. Wszyscy państwo jesteście bardzo mili.
- Uśmiechnęła się nieśmiało do Johna.

- My także cieszymy się z twojej wizyty - zapewniła ją Elizabeth. - Pozwól, Julio, że odprowadzę cię do powozu.

Dziewczęta wyszły przed dom i pocałowały się na pożegnanie w policzek.

- Tak się cieszę, Elizabeth, że przeprowadziłaś się do Cavendish - powiedziała Julia. - Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółkami.

- Ja też mam taką nadzieję - odparła Elizabeth. Potem długo jeszcze stała na dziedzińcu, machając Julii na pożegnanie.

- Co za przeżył dzień! - odezwała się lady Isadora, gdy Elizabeth wróciła do salonu. - Cieszę się, że panna Giles zgodziła się wracać powozem. Niepokoiłabym się o nią, gdyby wybrała się na piechotę.

Elizabeth uśmiechnęła się. Co prawda, ich młoda przyjaciółka przyszła rano pieszo, jednak z pewnością była bardziej bezpieczna w powozie lady Isadory.



Rozdział szósty

- Doprawdy wyborne to wino - chwalił John Elworthy nieco później tego wieczoru, kiedy już skończyli deser. - Doskonałe pasuje do sera, lady Isadora. Nie wie pani przypadkiem, gdzie Daniel je znalazł?

- Wydaje mi się, że pochodzi z... - Odpowiedź lady Isadora przerwano odgłosy dobiegające z holu. Zaraz potem do jadalni wszedł sir Henry Giles, wyraźnie wzburzony. - Sir Henry...

- Proszę mi wybaczyć, że zakłócam państwu posiłek - zaczęła. - Lady Giles martwiła się, że Julia nie wróciła do domu przed obiadem. Uważałem, że przesadza, ponieważ sądziłem, że nadal jest tutaj, ale pani służący powiedzieli mi, że wyszła prawie dwie godziny temu.

- W istocie - potwierdziła lady Isadora, podnosząc się od stołu. - Chciała iść pieszo, ale nalegałam, żeby skorzystała z mojego powozu. O mój Boże... co mogło się stać?

- Miałem nadzieję, że dowiem się tego od pani - odparł sir Henry. - Zechce pani wezwać swojego stangreta, żeby wyjaśnił, gdzie się podziała moja córka?

- Tak, naturalnie. - Lady Isadora skierowała się do wyjścia,

jednak nim dotarła do drzwi, dało się słyszeć zamieszanie i do środka wpadł stajenny, bezskutecznie powstrzymywany przez lokaja, który usiłował zagrozić mu drogę. Stajenny miał na głowie prowizoryczny opatrunek poplamiony krwią.

- James! Wielkie nieba! Co się stało?

- Proszę mi wybaczyć, że się tu wdartem, proszę pani. Wiem, że nie powinienem, ale to ważna sprawa. Muszę pani coś powiedzieć! Przyszedłem najszybciej, jak mogłem - wyrzucił z siebie jednym tchem. - Stangret został postrzelony w ramię, a ja oberwałem po głowie pałką, kiedy próbowałem ich powstrzymać przed zabraniem młodej pani...

- Zabranie Julii? - Lady Isadora gwałtownie pobladła i pewnie by się osunęła na ziemię, gdyby stojąca obok Elizabeth jej nie podtrzymała. - Kto ją zabrał? Nie rozumiem...

- Było ich trzech, milady - mówił stajenny. - Ubrani od stóp do głów na czarno, z maskami na twarzach i w kapeluszach naciągniętych głęboko na oczy. Uzbrojeni po zęby w pistolety. Moim zdaniem, chcieli zabić woźnicę. Cud, że kula nie trafiła go w pierś. Gdyby nie to, że popchnąłem go na bok, już by nie żył.

- Boże zmiłuj się... - rzekł z trwogą sir Henry. - Moje biedne dziecko! Kto mógł zrobić coś tak strasznego?

- Została porwana! - Lady Isadora wypowiedziała na głos to, co dla wszystkich było oczywiste. Wiadomość wywarła na niej piorunujące wrażenie; cała się trzęsła. - Muszę usiąść, Elizabeth. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam takiego wstrząsu. To okropne! Kim mogli być ci ludzie?

- Nie wiem - odparła szybko Elizabeth. Natychmiast przyszło jej do głowy, że mógł to być Palmer, ale nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego. Wprawdzie Julia wspominała jej,

ze się go obawia, ale to nie znaczyło, że miał coś wspólnego z tą zbrodnią. - To straszne, co się stało. Nie przychodzi panu na myśl, kto mógłby chcieć ją porwać, sir Henry?

- Nie mam pojęcia. Był ktoś, kto chciał starać się o jej rękę... pewien mój znajomy, ale dałem mu jasno do zrozumienia, że musi zaczekać, aż Julia będzie gotowa. Nie zmuszałbym córki do wyjścia za niego ani za żadnego innego mężczyznę.

- Julia mówiła, że pan by jej do niczego nie zmuszał - odezwała się Elizabeth. - Odniosłam wrażenie, że nie bardzo jej się podobał ten dżentelmen... jego zachowanie wobec niej... ale była przekonana, że nie będzie pan naciskał, by za niego wyszła.

- To prawda, nie miałem takiego zamiaru. Wynikł problem długu, ale został spłacony i sprawa została zakończona. - Zmarszczył czoło. - Chyba pani nie sądzi, że on...

- Kim był ten dżentelmen? - włączył się do rozmowy John Elworthy. - Proszę mi wybaczyć, sir. To nie mój interes, ale mogę coś wiedzieć na ten temat. Ja także niedawno zostałem postrzelony i mogłem się wykrwawić na śmierć.

- To Palmer... Richard Palmer - odpowiedział sir Henry. - Poznałem go przez sir Montague'a Forsythe'a. Byłem na tyle głupi, by grać z nimi w karty o stawkę zbyt wysoką na moją kieszeń, i musiałem sprzedać część posiadłości, żeby się wypłacić... Wyciągnąłem wnioski z tej nauki i więcej nie będę taki lekkomyślny.

- Rozumiem... - John Elworthy spojrzął wymownie na Elizabeth. - Zaopiekuje się pani lady Isadorą, panno Travers? Muszę porozmawiać z sir Henrym na osobności.

- Tak, oczywiście, sir.

Lady Isadora siedziała przy stole, pokrzepiając się kieliskiem wina. Wciąż była blada i nie kryła zdenerwowania. Eli-

zabeth domyślała się, że niewiele słyszała z rozmowy Johna Elworthy'ego z sir Henrym.

- Chciałaby pani pójść na górę i się położyć?

- Jak to mogło się stać? - Lady Isadora popatrzyła na nią pytająco. - Porwali to niewinne dziecko... po tym, jak spędziłyśmy razem takie miłe popołudnie. To potworne, nie mogę tego pojąć. Czuję się winna. Powinnam była zadbać, by dotarła bezpiecznie do domu.

- To nie była pani wina - zapewniła ją Elizabeth. - Zrobiła pani wszystko, co mogła. Odesłała ją pani do domu własnym powozem... - Ściągnęła brwi, jakby nagle coś sobie uświadomiła. - To dziwne, nie sądzi pani? Skąd ci dranie mogli wiedzieć, że Julia jest w pani powozie? Czy już kiedyś wracała nim do domu?

- Nie, ponieważ nigdy wcześniej nie była cały dzień sama poza domem - odparła lady Isadora. - Przyjechała konno raz czy dwa z wiadomością od lady Giles, bywała też u nas wiele razy na herbacie, ale ze swoją mamą.

- Zatem... - zaczęła Elizabeth, ale natychmiast urwała, spojrzawszy na ściągniętą twarz lady Isadory. - Proszę pozwolić, bym zaprowadziła panią na górę. Sprawia pani wrażenie całkowicie wyczerpanej.

- Istotnie, czuję się fatalnie - przyznała lady Isadora. - Proszę, odprowadź mnie, Elizabeth, a potem wróć do pana Elworthy'ego i spróbuj się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Tak, oczywiście, proszę pani - zgodziła się Elizabeth skwapliwie, ponieważ sama miała ochotę porozmawiać z Johnem Elworthym.

Oddanie lady Isadory pod troskliwą opiekę pokojówki zajęło niespełna dziesięć minut, po których Elizabeth zeszała na

dół. Okazało się, że John Elworthy wrócił już do domu, odprowadziwszy sir Henry'ego.

- Panno Travers - zagadnął ją pierwszy. - Mógłbym porozmawiać z panią w cztery oczy?

- Oczywiście, sir. Właśnie miałam zamiar prosić pana o to samo.

Pokiwał głową, po czym zaprowadził ją do salonu lady Isadory.

- Nie wiem, co pani wiadomo na temat tej pożałowania godnej historii, panno Travers. Rozumiem, że rozmawiała pani z Danielem o pewnych sprawach?

- Owszem. Powiedział mi, że według niego sir Montague i jego znajomi mogą być zamieszani w skandal związany z porwaniem młodych dziewcząt.

- Nie mówił pani, że młodszą siostrą lady Elworthy omal nie została porwana w podobny sposób do tego, jaki miał miejsce dzisiejszego wieczoru?

- Nie, sir. Nic mi o tym nie mówił, choć nadmienił, że pewnych rzeczy nie może mi wyjawić.

John pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak, mogłem się tego spodziewać po Danielu. Siostra lady Elworthy to jeszcze dziecko, nie chcieliśmy, żeby wiadomość się rozniosła... ale była też inna młoda dziewczyna, która zniknęła i nie została odnaleziona.

- To straszne - wydukała Elizabeth, nawet nie próbując ukryć przerażenia. - A jak to się stało, że nie doszło do porwania siostry lady Elworthy, jeśli mogę spytać?

- Tak się złożyło, że akurat przejeżdżaliśmy tamtędy całkiem przypadkowo - wyjaśnił John. - Najgorsze, że znajdowała się na terenie należącym do mojego brata, gdy te łobuzy próbowały ją wciągnąć do powozu. Maria opierała im się

dzielnie i zdążyliśmy na czas przyjść z pomocą. Gdyby nie jej odwaga, niechybnie udałoby im się dokonać porwania. Daniel wystrzelił w powietrze, wtedy ją puścili i zaczęli uciekać. Złapaliśmy jednego z nich, ale nie chciał nic powiedzieć. Siedzi teraz w więzieniu, ale bardziej boi się swojego herszta niż aresztu czy nas. Nie wiem, może zacznie mówić, kiedy mu zagrozi szubienica...

- Rozumiem. Co do Julii, mogę tylko powiedzieć, że bała się Palmera, a skoro się okazuje, że należała do znajomych sir Montague'a...

- Właśnie, wygląda na to, że jedno pasuje do drugiego, prawda? - John Elworthy zmarszczył czoło, jakby się nad czymś głębokoboko zastanawiał. - Mogę tylko żałować, że Daniela tu nie ma. Sir Henry wziął kilku służących lady Isadory i udał się na miejsce porwania, ale nie wiem, czy to coś da. Porywacze mogą już być za daleko, żeby ich złapać, a jeśli do tego gdzieś się zaszli...

Pokręcił głową; zapewne przyszło mu na myśl, że Julia także może nigdy nie zostać odnaleziona.

- Jedno w tym wszystkim nie daje mi spokoju - odezwała się Elizabeth. - Skąd mogli wiedzieć, że Julia będzie w powozie lady Isadory?

- Mnie też to zastanawia - przyznał John. - Nie mogli tego wiedzieć. Chyba że mają tu szpiega.

- Wierzy pan, że któryś z ludzi lorda Cavendisha mógłby go zdradzić?

- Wiem, że zatrudnił kilku nowych - powiedział John z zadumą. - Wydaje mi się, że im ufa... ale nie rozumiem, w jaki inny sposób ci dranie mogli się dowiedzieć.

- Chyba że nie wiedzieli - podsunęła Elizabeth. - Może sądzili, że ktoś z nas będzie jechał tym powozem? Na drzwiach znajduje się herb Cavendishów, prawda?

- Mój Boże! - John spojrział na nią z wyraźnym przerażeniem. - Kiedy pani wspomniała o Palmerze, uznałem, że musiał w tym maczać palce, ale może nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

- Jeśli chciał się ożenić z Julią, to chyba raczej by poczekał i starał się ją namówić do małżeństwa, zamiast ją porwać. Nie znam tego człowieka i nie mam pojęcia, do czego jest zdolny, ale jeśli ją kocha, to co by przez to zyskał? Przecież z pewnością by go zniechęciła za takie potraktowanie.

- Owszem. Chyba, że on po prostu chce... - John urwał zmieszany. - Proszę mi wybaczyć. Trochę się zagalopowałem.

- Nie mam nic przeciwko mówieniu wprost - zapewniła go Elizabeth. - Zdaję sobie sprawę, że porwaczom niekoniecznie chodzi o małżeństwo, zwłaszcza że ojciec Julii odmówił Palmerowi jej ręki. Jeżeli to Julia była celem, musimy założyć, że mamy tu szpiega. Ale jeśli zasadzali się na kogoś z nas...

- Nie wiem, co powinienem zrobić - wyznał bezradnie John. - Daniel prosił mnie, żebym tu został, by chronić panią i jego matkę, ale czuję, że powinien się dowiedzieć, co się wydarzyło.

- Nie może mu pan wysłać wiadomości?

- Tak, pewnie tak by należało - zgodził się John. - Ale komu zaufać?

- Myślę, że może pan zaufać lokajowi Forrestowi - powiedziała Elizabeth. - Chyba że chce pan sam pojechać do Londynu?

- Porozmawiam z Forrestem - postanowił John. - Tymczasem czy mogę panią prosić, by nie opuszczała pani terenu posiadłości w pojedynkę, panno Travers?

- Będę bardzo uważać podczas spacerów - obiecała Eliza-

beth - Choć wydaje mi się, że lord Cavendish zadbał o to, byśmy byli tu dobrze chronieni. Pewnie dlatego porwanie miało miejsce poza wsią.

- Tak, ma pani rację - przyznał John. - Cieszę się, że jest pani taka rozsądna, panno Travers. Po namyśle doszedłem do wniosku, że ten lokaj, o którym pani mówiła, może się tu bardziej przydać. Jutro rano sam pojedę do Daniela.

- Zatem muszę pana prosić, żeby pan wziął jeden z powozów i co najmniej dwóch stajennych jako eskortę, sir. Nie tak dawno był pan ofiarą strzelaniny, w której równie dobrze mógł pan stracić życie.

- Dziękuję za troskę. Z całą pewnością skorzystam z pani rady, panno Travers. Jeszcze dziś wieczorem pošlę po kilku moich własnych stajennych, żeby zastąpili ludzi Daniela do czasu mojego powrotu.

- Mam nadzieję, że wkrótce pan do nas wróci cały i zdrowy - powiedziała Elizabeth. - Teraz muszę pójść na górę do lady Isadory. To nieszczęśliwe zajście mocno wytrąciło ją z równowagi.

- Tak, rzeczywiście, podobnie jak nas wszystkich - przytaknęła John. - Tym razem przynajmniej wiemy, od czego zacząć. Liczę na to, że odzyskamy pannę Giles, zanim... - Pokręcił głową. - Nie sposób nawet o tym myśleć!

Elizabeth w pełni się z nim zgadzała. Bardzo ją niepokoił los dziewczyny, z którą zdążyła się zaprzyjaźnić. Wolała sobie nie wyobrazać, co może spotkać Julię, jeśli istotnie wpadła w ręce bezwzględnych złoczyńców.

Daniel spojrział na stos weksli leżących na stole; dobrze wiedział, że człowiek, który tak nieroztropnie dorzucił je do puli, nie jest w stanie spłacić tego, co był winien. Daniel miał

tego świadomość, zanim zasiadł do kart z sir Fletcherem Hardingiem.

- Zatem znowu pan wygrał - stwierdził z westchnieniem nieszczęsny hazardzista. - Będę potrzebował trochę czasu, żeby zebrać gotówkę, Cavendish.

- Obawiam się, że więcej niż trochę - rzucił z uśmiechem Daniel. - Co pan powie na to, żeby podwoić stawkę albo opaść, Harding?

Rozmówca przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym stwierdził:

- Wie pan, że nie ma szans, bym zapłacił taką sumę, prawda?

- Och, chyba jest sposób, żeby mi pan bez trudu uregował należność - oświadczył Daniel. - Potrzebuję pewnej informacji.

Sir Fletcher rozejrzał się niespokojnie po pokoju. Orientował się, co Daniel może mieć na myśli, i zdawał sobie sprawę, że nie powinien być aż tak wysoko grać.

- I w zamian zwróci mi pan moje weksle?

- Te i parę innych, które wykupiłem - oznajmił Daniel. Lekki uśmieszek wciąż nie schodził mu z ust. - Niewiele żądam, Harding... kilka nazwisk, parę danych na temat tego, co się działo...

- Mówiło się, że klub „Ogień piekielny” jest własnością stowarzyszenia satanistów - zaczął z ociąganiem sir Fletcher. - Mój ojciec był jego członkiem i wprowadził mnie, kiedy miałem szesnaście lat. Widać już było wówczas symptomy uwiadu działalności. Po śmierci sir Francisa Dashwooda trwały to jeszcze przez jakiś czas, lecz w mocno okrojonej formie. Z tego, co pamiętam, pod koniec przynależność do klubu stanowiła jedynie pretekst do zakładania dziwnych kostiumów

i oddawania się pijaństwu. Były tam kobiety, które nazywano mniskami, ale wątpię, żeby któraś z nich miała stosowne powołanie, nie mówiąc już o dziewictwie niezbędnym do odprawiania rytuałów.

- Sir Montague Forsythe także był członkiem klubu?

- Pod sam koniec, kiedy działalność miała już niewiele wspólnego z tą pierwotną - powiedział sir Fletcher. - Był jeszcze młodszy ode mnie, kiedy go wprowadzono, i sądzę, że spodziewał się czegoś więcej. Wraz z kilkoma innymi odłączył się i kilka miesięcy później założyli własny klub... - Znów się rozejrzała, przybierając zalekniony wyraz twarzy. - Nie wydaje mi się, by czcili szatana. Są znacznie gorsi, bo uważają się za panów stworzenia i wierzą, że są ponad prawem.

- Wie pan może, jak się nazywają?

- Nie i nie powinien pan o to zbyt dociekliwie wypytywać - ostrzegł sir Fletcher. - Większość z tych, którzy na początku należeli do klubu „Ogień piekielny”, wkrótce miała dość i przestała uczestniczyć w spotkaniach, podobnie jak ja. Ale Forsythe i jego kompani z lekkomyślnych młodzieńców wyrosli na złych ludzi. Powinien pan zachować ostrożność, Cavendish. Gdyby wiedzieli, o czym tu dziś rozmawiamy, nie zawahaliby się nas zabić.

- Zgodziłby się pan zeznawać w sądzie, żeby mogli zostać skazani?

Sir Fletcher pokręcił głową przecząco.

- Za bardzo cenię życie. Wolę popaść w ruinę, niż trafić w ich ręce...

- Dłaczego pan tak się ich boi?

- Widziałem kiedyś coś, czego nie powinienem zobaczyć. To było w lesie, w posiadłości Forsythe'a. Myślę, że to właśnie tam odprawiają swoje diabelskie rytuały. Wracałem

do domu i w drodze koń mi okulał. Zamierzałem poprosić Forsythe'a o pomoc i skręciłem w ścieżkę, która, jak mi się zdawało, prowadziła na skróty przez las do jego domu. - Sir Fletcher wzdrygnął się, jakby przebiegł go dreszcz. - To, co zobaczyłem, będzie mnie prześladować do końca życia. - Daniel uniósł pytająco brwi, ale mu nie przerywał. - Zrobiło mi się niedobrze i uciekłem stamtąd najszybciej, jak mogłem... ale on i tak jakoś się dowiedział. Przyszedł do mojego domu i zagroził, że jeśli pisnę choć słowo o tym, co widziałem, to umrę w męczarniach. Niewiele lat mi zostało na tym świecie, ale wolałem trzymać się od niego z daleka, niż narażać się na to, że spełni groźbę.

- Czy to, czego był pan świadkiem, dotyczyło młodej kobiety? - Sir Fletcher przytaknął skinieniem, ale nie chciał powiedzieć nic więcej. - Rozumiem... Chyba potrafię sobie wyobrazić, co się tam działo. Od dawna miałem pewne podejrzenia, a pan je tylko potwierdził. Dziękuję panu za to i zwrócę wszystkie pańskie weksle.

Sir Fletcher sięgnął po kieliszek z winem i upił spory łyk.

- Pewnie uważa mnie pan za tchórza? Sumienie podpowiada mi, że powinienem położyć kres złu, jakie czynią, ale ich wpływy sięgają bardzo daleko.

- Jak dawno był pan świadkiem sceny, która tak panem wstrząsnęła?

- Mniej więcej rok temu - odpowiedział sir Fletcher, przymykając oczy. Kiedy znów je otworzył, napotkał uważne spojrzenie Daniela. - Zrobię dla pana jeszcze jedno, Cavendish. Napisałem list, który ma zostać otwarty po mojej śmierci. Wydam dyspozycję, by w razie, gdybym zszedł z tego świata nagle w niespodziewanych okolicznościach, wysłano go do pana.

- Dziękuję. Nie chcę, żeby pan opuszczał ten świat - zapew-

nił go Daniel z cierpkim uśmiechem - tylko żeby pan zebrał się na odwagę, by wykonać właściwy krok.

- Boję się nie tylko o siebie - wyznał sir Fletcher cicho. - Chodzi o moją wnuczkę. Ma dopiero piętnaście lat i jest taka śliczna...

- W takim razie rozumiem i nie będę na pana naciskał - zapewnił go Daniel. - To, co pan powiedział, potwierdziło moje podejrzenia i dało mi cenną wskazówkę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zdemaskować członków tego klubu i postawić ich przed sądem.

- Można powiedzieć, że to był sabat - dodał sir Fletcher. - Sir Montague jest ich najwyższym kapłanem, może nawet bogiem, a oni czczą złoto i czerpią dumę ze swego niegodziwego procederu.

- Dziękuję panu - zakończył spotkanie Daniel.

Z mroczną miną opuścił klub, *nie zdając* sobie sprawy, że jest obserwowany przez człowieka, którego nie znał i z pewnością nigdy nie chciałby poznać. Zastanawiał się, jak długo jeszcze przyjdzie mu pozostać w mieście, podczas gdy całą duszą tęsknił do powrotu na wieś.

- A niech mnie! - wykrzyknął Daniel, gdy następnego wieczoru do biblioteki jego londyńskiego domu, gdzie właśnie siedział, popijając wino przed wyjściem, niespodziewanie wszedł John Elworthy. - Skąd się tu wzięłeś? Wyglądasz jak trup, mój drogi!

- I prawdę mówiąc, właśnie tak się czuję. Podróż mnie wykończyła, bo gnałem bez tchu - powiedział John Elworthy. - Panna Travers uznała, że należy cię natychmiast powiadomić o tym, co się stało. Uparła się też, żeby wtajemniczyć w sprawę Forresta, który przysiągł, że będzie bronił jej i lady Isadory

z narażeniem życia. Myślę, że w tej chwili on jest im bardziej przydatny niż ja.

- Co cię tu przywiodło w takim pośpiechu?
- Mam złe wieści - wyznał bez ogródek John. - Dotyczy pewnej młodej kobiety i wiem, że srodze cię zmartwią...
- Nie przejmuj się moimi odczuciami - rzucił niecierpliwie Daniel, marszcząc brwi. Było jasne, że John nie oszczędzał się, by jak najszybciej przekazać wieści, więc musiało chodzić o coś ważnego. - Odsapnij chwilę, napij się wina, a potem opowiesz mi wszystko po kolei.

Elizabeth wyglądała tego ranka przez okno na półpiętrze, kiedy jakiś mężczyzna galopem zjechał przed dom i szybko zsiadł z konia. Widać było, że jest czymś mocno poruszony, więc zbiegła ze schodów, żeby się z nim spotkać w holu.

- Sir Henry! - wykrzyknęła, rozpoznawszy gościa. - Ma pan jakieś nowe wieści, sir?

- Panno Travers! Przyjechałem do pani w wielkim pośpiechu, ponieważ Julia błaga, żeby ją pani odwiedziła - wyrzucił z siebie gorączkowo. Z kącika jego oka wytoczyła się łza i spłynęła po policzku. - Wróciła do nas cała i zdrowa, dzięki Bogu. Jeden z moich ludzi znalazł ją wczoraj o zmroku, jak oszołomiona błąkała się w pewnej odległości od domu. Położyliśmy ją od razu do łóżka. Przespała wiele godzin, tak była wyczerpana, ale rano obudziła się w trochę lepszym stanie. Jest wstrząśnięta i lekko posiniaczona, ale poza tym nic jej się nie stało. Wygląda na to, że dokądś ją zabrano, ale na miejscu odkryto pomyłkę. Zawiazali jej oczy, wpełchnęli z powrotem do powozu, odwieźli na teren naszej posiadłości i tam porzucili.

- Och, to wspaniała wiadomość - ucieszyła się Elizabeth.

Ogarnęła ją nieopisana ulga; od momentu porwania bezustannie zamartwiała się o los przyjaciółki. - Biedna Julia, musiało to być dla niej okropne przeżycie. Aż trudno uwierzyć, że wypuścili ją, nie robiąc jej żadnej krzywdy. Jak pan sądzi, dlaczego tak się stało?

- Sam się temu dziwię - przyznał sir Henry głosem drżącym z emocji. - Bałem się, że porwano ją z jakiegoś strasznego powodu i że już nigdy jej nie zobaczymy.

- Widocznie czuwał nad nią Anioł Stróż - wydukała Elizabeth przez ściśnięte gardło. - Musi pan być mu bardzo wdzięczny, sir.

- Nigdy nie przestanę dziękować Bogu. - Sir Henry westchnął. - Rzecz jasna, Julia jest bardzo przestraszona i twierdzi, że musi koniecznie z panią porozmawiać... Zechce pani pojechać?

- Oczywiście, sir, że pojedę - obiecała Elizabeth. - Wezmę powóz i trzech stajennych, żeby nam towarzyszyli.

- Bardzo rozsądnie, że pomyślała pani o takiej eskorcie - pochwalił sir Henry. - Przyjechałem tu, nie zastanawiając się, jak pani wróci. Patrząc na Julię, nie mogę znieść myśli... - Potrząsnął głową. - Mam pistolety, panno Travers i nie zawaham się ich użyć w pani obronie.

- Sądzę, że nie będą potrzebne, ponieważ ci dranie, którzy porwali Julię, muszą wiedzieć, że mamy się na baczności - powiedziała spokojnie Elizabeth - ale mimo to, dla pewności, zabiorę stajennych.

Przeprószy na moment gościa, pobiegła na górę, by porozmawiać z lady Isadorą. Dama uroniła łzy ulgi na wieść o tym, że Julia wróciła bezpiecznie do domu, po czym nalegała, by Elizabeth natychmiast pojechała odwiedzić szczęśliwie ocalałą przyjaciółkę, nie zapominając przy tym o zachowaniu najwyższej ostrożności.

- Oczywiście, proszę pani - uspokoiła ją Elizabeth. - Będę sama powozić, ale pojedą ze mną sir Henry i trzech stajenych hrabiego Cavendisha. Zapewniam panią, że będę pod dobrą ochroną.

- Nie znam spokoju, dopóki szczęśliwie nie wrócisz - odparła lady Isadora. - Ale przecież musisz pocieszyć to biedne dziecko. Że też porwali ją akurat po wizycie u nas... Nie mogę tego zrozumieć.

Elizabeth natomiast miała wrażenie, że zaczyna rozumieć co nieco; wydawało jej się mało prawdopodobne, by wypuścili Julię, nie robiąc jej żadnej krzywdy, gdyby była ich upatrzoną ofiarą. Można było założyć, że mieli nadzieję pojmać lady Isadorę lub Elizabeth, ponieważ to by im dawało przewagę nad Danielem Cavendishem. Nie mogła jednak wyjawić swych podejrzeń przed matką Daniela, więc tylko pokiwała głową.

- Możemy jedynie dziękować Bogu, że Julii udało się wyjść z tego cało.

- To prawda - przyznała lady Isadora. - W takim razie jedź. Ona cię z pewnością potrzebuje, bo inaczej nie przysłałaby tu swojego ojca. Będę niecierpliwie czekać na twój powrót, moja droga.

- Nie musi pani o mnie się obawiać. Będę miała dobrą ochronę.

Opuściwszy lady Isadorę, Elizabeth wstąpiła do swego pokoju po podbitą futrem pelerynę i mały pistolet, który w swoim czasie dał jej ojciec.

- Nie sądzę, byś miała powody go używać - zastrzegł sir Erwin, ucząc ją strzelać jeszcze jako bardzo młodą dziewczynę. - Ale wszystko jest możliwe, Elizabeth. Lubisz spacerować samotnie i nie chcesz, żebyś się bała. Gdyby ktoś cię zaatakował, strzelaj, nie zważając na konsekwencje!

Elizabeth obiecała ojcu, że zastosuje się do jego rady, ale rzadko zabierała broń ze sobą na spacer, ponieważ na ziemiach ojca czuła się całkiem bezpiecznie. Jednakże teraz sytuacja się zmieniła, w okolicy grasowały groźne typy, które najwyraźniej nie cofnęłyby się przed niczym, byle dopiąć celu. A jednak... dlaczego pozwolili Julii wrócić do domu?

Wszystko to wydawało się bardzo dziwne. Może Julia usłyszała lub zauważyła coś, co mogło doprowadzić do wykrycia sprawców. Elizabeth zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, ale do głowy przychodziło jej tylko jedno wyjaśnienie.

Dotarła bez przeszkód do domu Gilesów i natychmiast zaprowadzono ją do Julii. Ofiara porwania siedziała w fotelu. Obok niej na stoliku stał jakiś wzmacniający napój, na kolanach trzymała książkę, której nawet nie próbowała czytać.

- Och, Elizabeth! - wykrzyknęła, podrywając się z radością na widok gościa. Książka ześliznęła się na podłogę. - Prosiłam, żebyś przyjechała, bo muszę ci powiedzieć... Oni myśleli, że to ty jedziesz tym powozem, nie ja. Musisz być ostrożna i nigdy nie wychodzić z domu sama.

- Julio, moja droga, jak się czujesz? Wszyscy tak się o ciebie martwiliśmy.

- Słyszałaś, co powiedziałam?! - Podniesiony głos Julii zabrzmiał niemal piskliwie. Było jasne, że jest bardzo zdenerwowana. - Oni myśleli, że ja to ty... a potem ktoś im powiedział, że się mylą, więc odwieźli mnie z powrotem i wypuścili.

- Dokąd cię zabrali?

- Do jakiegoś domu, nie wiem gdzie. Byłam zamknięta na górze, w okropnym pokoju. Było zupełnie ciemno, bo nie zo-

stawili mi świece. A potem, rano, usłyszałam krzyki na dole. Trwało to jakiś czas, wydawało mi się, że całą wieczność, aż w końcu przyszli dwaj mężczyźni i mnie stamtąd wyprowadzili. Próbowалам im się wyrwać, ale byli bardzo silni. Zawiazali mi oczy i powiedzieli, żebym się nie rzucała, bo jadę do domu. Z początku im nie wierzyłam, ale rozmawiali między sobą o tym, że każdy może się pomylić i skąd mogli wiedzieć, że chodziło o tę drugą. - Julia spojrzała na Elizabeth z powagą. - Mówili o tobie.

- Tak, sama się zastanawiałam, czy to przypadkiem nie była pomyłka - wyznała Elizabeth z zadumą. - Skąd mogli wiedzieć, że będziesz w powozie Cavendishów? Musieli się zaciąć i czekać na ten pojazd... a mogli się spodziewać, że w środku będę raczej ja albo lady Isadora.

- Ale dlaczego mieliby porywać którąkolwiek z was? - dociekała Julia. Opanowanie przyjaciółki działało na nią kojąco; wybuch hysterii, jakim matka przywitała jej powrót, całkowicie ją rozstroił i przywiódł do płaczu. - Najpierw myślałam, że to Palmer mnie porwał, bo ojciec odrzucił jego oświadczenia, ale... - Pokręciła głową. - Wiem, że to brzmi głupio, lecz wydaje mi się, że słyszałam jego głos, kiedy się kłócili w tamtym domu. I później, gdy mnie stamtąd zabierali. Mówił, że mają zrobić dokładnie to, co im kazał, bo inaczej pożałują.

- To by mnie wcale nie dziwiło - odezwała się Elizabeth. Słowa przyjaciółki potwierdzały jej przypuszczenia. - Sądzę, że Palmerowi naprawdę na tobie zależy, Julio... i właśnie dlatego teraz tu jesteś, cała i zdrowa. Popełnili błąd, porywając cię, ale to dziwne, że kiedy mieli cię w rękach, pozwolili ci odejść. Z pewnością ktoś im kazał cię wypuścić.

- Och... - Julia zakryła usta drżącą dłońią. - Kim są ci ludzie, Elizabeth? Wydaje mi się, że muszą być bardzo źli.

- Ja też tak uważam. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej, bo nie jestem do tego upoważniona, ale masz dużo szczęścia, że wyszłaś z tego cało.

- Chyba nigdy więcej nie odważę się sama wyjść na spacer - wyznała Julia ze łzami w oczach. - Powiedziałam mamie, że nie mogę jechać do Londynu. Czuję... Nie potrafię tego wyjaśnić, Elizabeth, ale jestem przekonana, że groziło mi wielkie niebezpieczeństwo.

- Tak, Julio. Jestem tego pewna, ale pamiętaj, że to jednak była pomyłka. Nie ty miałas zostać ofiarą. Nie możesz pozwolić, żeby strach zmienił twoje życie.

- Wiem, że masz rację, ale to było straszne. - Julia wciąż miała łzy w oczach. - Myślałam, że zginę albo... - Chlipnęła żałośnie. - Nie mogę uwierzyć, że mnie wypuścili.

- Miałaś wiele szczęścia - przyznała Elizabeth. - Myślę, że przez jakiś czas rzeczywiście nie powinnaś wychodzić sama, ale może wkrótce wszystko się wyjaśni i znów będziesz bezpieczna.

- Dlaczego tak się dzieje? - spytała Julia wyraźnie zaniepokojona. - Ty coś wiesz na ten temat, prawda?

- Owszem, wiem trochę, ale nie mogę ci powiedzieć - potwierdziła Elizabeth. - Mogę tylko przeprosić, ponieważ zostałaś zamieszana w coś, co tak naprawdę cię nie dotyczy.

- Jeśli pan Palmer tam był, to on mnie uratował... - Julia na moment popadła w zadumę. - Naprawdę dzięki niemu mnie wypuścili? Czyżby miał jakiś wpływ na ludzi, którzy stali za porwaniem?

- Nie wiem tego na pewno, ale to możliwe - powiedziała Elizabeth.

Julia aż się wzdrygnęła.

- Wolałabym raczej umrzeć, niż poślubić takiego człowieka! Musi być niegodziwy, skoro zadaje się z takimi łotrami.

- Może tak... a może wplątał się w coś, co wcale mu się nie podoba, ale nie jest w stanie się z tego wydobyć - podsunęła Elizabeth. - Jesteś bezpieczna, Julio. Daj sobie trochę czasu, zanim pomyślisz o przyszłości.

- Masz rację. Czuję się znacznie lepiej dzięki temu, że mogłam z tobą porozmawiać, Elizabeth. Tak się bałam, że przydarzy ci się coś strasznego. Jak tu przyjechałaś?

- Sama powoziłam, ale towarzyszyło mi kilku stajennych hrabiego Cavendisha. - Tak naprawdę mężczyźni służący jej za eskortę wyglądali na doświadczonych w boju żołnierzy. Elizabeth podejrzewała, że Daniel Cavendish specjalnie ich wynajął, żeby chronili jego dom i przyjaciół. Uśmiechnęła się na widok niepewnej miny przyjaciółki, po czym wyciągnęła z kieszeni pistolet. - A gdyby ktoś mnie próbował porwać, użyję tego.

- Och! - Julia nie kryła przestachu. - Miałabyś odwagę strzelać?

- Tak, gdyby zaszła potrzeba - zapewniła ją Elizabeth. - Ale jestem pod dobrą opieką, a poza tym sądzę, że minie trochę czasu, nim ci zbroje znów dadzą o sobie znać. W twoim przypadku zadziałał element zaskoczenia, o którym teraz trudno mówić. Ponadto twój ojciec zawiadomił odpowiednie służby. Na rogatek zostaną roztawione stráže.

- Tak, rozumiem. - Julia uśmiechnęła się niepewnie. - Żałuję, że nie jestem taka odważna jak ty, Elizabeth. Nie sądzę, żebym się odważyła użyć pistoletu.

- Myślę, że umiałabyś się posługiwać bronią, gdyby cię te-

go nauczone - stwierdziła łagodnie Elizabeth. - Może się nad tym zastanowisz, bo w ten sposób mogłabyś się czuć pewniejsza, wychodząc sama.

- Nie! Nie mogę... - Otrząsnęła się z odrazą. - Mama uważa, że powinniśmy na jakiś czas wyjechać do mojej ciotki do Bath. Może za parę dni będę gotowa do wyjazdu. Teraz, po rozmowie z tobą, czuję się trochę lepiej.

- To było okropne przeżycie - powiedziała ze współczuciem Elizabeth - ale jesteś dzielną dziewczyną, Julio, i jestem przekonana, że pokonasz lęk. Dlaczego ci ludzie mieliby z tobą wygrać? A wygrają, jeśli przez nich będziesz się bała żyć tak, jakbyś chciała.

- Tak, wiem, że masz rację. Dziękuję, że do mnie przyjechałaś. Może kiedyś znowu mnie odwiedzisz?

- Oczywiście, chętnie - odpowiedziała Elizabeth z uśmiechem. - Nie pozwolę, żeby ci ludzie mnie ograniczali... z czasem ty też dojdiesz do tego wniosku.

Uściskały się na pożegnanie. Elizabeth wracała pogrążona w myślach; trzej stajenni trzymali się blisko powozu.

Była przekonana, że skoro Palmer starał się o rękę panny Giles, to musiało znaczyć, że nie jest ani tak zdeprawowany, ani tak zły jak jego kompani. Miała zamiar porozmawiać z lordem Cavendishem od razu po jego powrocie z Londynu. Mogło się okazać, że Palmer jest słabym ogniwem tego łańcucha. Gdyby udało się nakłonić go do zeznawania przeciwko reszcie, nastąpiłby koniec zbrodniczego procederu.

Spacerując po ogrodzie, Elizabeth przez cały czas czuła, że jest pilnie obserwowana. Świadomość, że obie z lady Isadora są dobrze strzeżone, była krępująca, jakkolwiek te wyjątkowe

środki ostrożności nie wydawały jej się konieczne. Była pewna, że lotry, które omyłkowo porwały Julię, nie odważą się ponownie zaatakować.

Ostatnie kilka dni minęło względnie spokojnie. Elizabeth nadal zajmowała się porządkiem dokumentacji dotyczącej posiadłości; wyjęła z półek wszystkie pozostałe tomy, odkurzyła je i poukładała w kolejności chronologicznej. Sporządziła też listę na osobnej kartce oraz sprawdziła, czy między stronami nie ma jakichś luźnych listów, czy innych ważnych papierów. Było ich trochę, lecz wszystkie dotyczyły spraw bezpośrednio związanych z majątkiem. Wyglądało na to, że albo znaleziony przez nią fragment był jedynym zapisanym na papierze, albo intruzowi udało się zabrać to, czego potrzebował.

Daniel Cavendish przebywał poza domem już od sześciu dni, a John Elworthy od czterech. Elizabeth w tym czasie dwukrotnie odwiedziła Julię, a następnego dnia planowała zawieźć kwiaty do kościoła. Omówiła ten zamiar w panem Browningiem i właśnie wracała do domu z piękną orchideą, którą jej podarował, rumieniąc się przy tym z zakłopotania. Zbliżywszy się do domu, dostrzegła bryczkę na podjeździe przed gankiem i serce zabiło jej szybciej. Pomyślała, że to musi być hrabia Cavendish. Jednak przyjrawszy się pojazdowi dokładniej, z rozczarowaniem stwierdziła, że się pomyliła. Wchodząc do domu, usłyszała męski głos, dobiegający z salonu.

Zawahała się na moment, po czym zastukała do drzwi, wciąż trzymając w dłoni otrzymaną od Browninga orchideę.

- Elizabeth, moja droga - powitała ją lady Isadora tonem, który wskazywał, że coś jest nie w porządku. - Mamy gości. Lord Barton z Barton Hall, położonego jakieś dwadzieścia mil

na wschód od Cavendish, i jego kuzyn... sir Montague Forsythe.

- Panna Travers, jak się domyślam? - Lord Burton skierował na nią czujne spojrzenie spod lekko opuszczonych powiek. - Właśnie pytałem lady Isadorę, czy moglibyśmy skorzystać z jej gościnności przez jedną noc. Wie pani, jesteśmy w drodze do Londynu, a wszystko wskazuje na to, że się przeziębilem... - Kichnął w chusteczkę, jakby dla zilustrowania swej marnej kondycji. - Mam słabe płuca i gdybym w tym stanie kontynuował podróż, mógłbym poważnie zapaść na zdrowiu.

Elizabeth przebiegł lodowaty dreszcz. Nie mogła wprost uwierzyć w to, co usłyszała. Wiedziała, że lady Isadorę postawiono w niezręcznej sytuacji. Jak miałyby odmówić noclegu sąsiadowi, człowiekowi, którego najwidoczniej znała, skoro twierdził, że niedomaga i dalsza podróż może mu zaszkodzić?

- Przykro mi to słyszeć, sir - odparła chłodno Elizabeth. Nie potrafiła zmusić się do spojrzenia na sir Montague'a.

- Muszę panu zaproponować, żeby u nas przenocował - powiedziała lady Isadora, dzwoniąc na pokojówkę. - Jednakże nie chcę zatrzymywać sir Montague'a. Rozumiem, że będzie wolał bez zwłoki wyruszyć w dalszą drogę.

- W istocie - przyznał sir Montague, przenosząc zimny wzrok z gospodyni domu na Elizabeth. - Nie ma powodu, bym nadużywał pani gościnności. Pojadę dalej wierzchem, jako że mogę wynająć konia w miejscowym zajeździe.

- Och, jestem pewna, że może pan pożyczyć jednego z naszych koni - zapewniła szybko lady Isadora. Nie udało jej się ukryć ulgi, choć bardzo się starała. - Może zechce pan czegoś napić się przed odjazdem, sir?

- Nie, dziękuję. Wstąpiłem tylko po to, by się upewnić, że mój kuzyn spędzi noc w odpowiednich warunkach. Gdyby mu się przypadkiem pogorszyło, bardzo proszę o wezwanie lekarza.

Po tych słowach lord Barton kichnął trzy razy z rzędu.

Elizabeth odsunęła się pod okno. Z trudem znosiła obecność sir Montague'a w tym samym pokoju. Podejrzewała, że za jego przybyciem do Cavendish Hall stoją nieczne powody, nie miała jednak władzy, by odprawić niepożądanych gości.

- Panno Travers... - Zesztywniała, usłyszawszy jego głos tuż za sobą. - Czy może mi pani poświęcić chwilę, bardzo proszę.

- Tak?

- Wydaje mi się, że pani mnie nie lubi, panno Travers. Przykro mi z tego powodu i chciałbym panią zapewnić, że żałuję tego, co spotkało pani ojca.

- Doprawdy? - rzuciła z niedowierzaniem.

- Nie chciałem, żeby odszedł w taki sposób. Gdyby do mnie przyszedł, moglibyśmy znaleźć jakieś rozwiązanie dla jego kłopotów.

- Wątpię, sir.

- Proszę mi wierzyć, że nie mam nic przeciwko pani, panno Travers. - Przeniósł wzrok na orchideę. - Lubi pani kwiaty?

- Czyż każda kobieta ich nie lubi?

- Moja zmarła żona bardzo lubiła swój ogród - powiedział z dziwnym uśmiechem. - Pozostanę w Londynie tylko przez kilka dni. Byłbym bardzo rad po powrocie pokazać pani i lady Isadorze ogrody w Forsythe Towers.

Elizabeth skinęła głową, ale nie udzieliła żadnej odpowiedzi na tę propozycję. Sir Montague przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym skłonił się szybko i opuścił salon. Lord Barton wydał z siebie kolejną serię kichnięć, przerwana na-

dejęciem ochmistrzyni, która zabrała go do jednego z najlepszych pokoi gościnnych.

- O mój Boże. - Lady Isadora westchnęła, kiedy zostały same. - Przykro mi, moja droga. Wolałabym ci zaoszczędzić spotkania z tymi ludźmi, ale byłoby grubiaństwem odmówić lordowi Bartonowi noclegu. W przeszłości bywałam gościem w jego domu, więc nie mogłam mu teraz pokazać drzwi, skoro rzeczywiście jest chory.

- Oczywiście, że nie - przyznała Elizabeth. - Poza tym, sir Montague wyjechał, a lord Barton mi nie przeszkadza.

- Na swój sposób jest całkiem znośny - powiedziała lady Isadora. - Wiesz, on i mój mąż bardzo się przyjaźnili w młodości - dodała tonem usprawiedliwienia. Ściągnęła brwi. - Potem coś ich poróżniło... nie wiem co... i od tamtej pory nawzajem się nie odwiedzaliśmy. Gdyby Daniel był na miejscu, poprosiłabym go o zajęcie się tą sprawą. Pewnie odesłałby ich bez najmniejszych skrupułów, ale ja tak nie potrafię. Poza tym, jeśli lord Barton pozostanie w swoim pokoju, to prawie nie odczujemy jego obecności.

- To prawda - przyznała ochoczo Elizabeth, chcąc uspokoić lady Isadorę. Czy jednak mogły liczyć na to, że rzeczywiście tak będzie? Postanowiła tej nocy dokładnie zamknąć okno i drzwi w swoim pokoju. Lord Barton nie zatrzymał się w ich domu z powodu przeziębienia... Dlaczego wymusił na lady Isadorze nocleg? - Musimy mieć nadzieję, że do rana wydobrzeje na tyle, by podjąć dalszą podróż.

Wyszła z salonu, żeby wstawić orchideę do wody, myśląc o tym, że powinna porozmawiać z młodym lokajem Forrestem. Doszła do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli on i kilku innych zaufanych Daniela będą tej nocy trzymać straż.

Lord Barton przez cały wieczór nie wychodził ze swego pokoju. Sprawiał wrażenie naprawdę chorego: ochmistrzyni musiała mu kilka razy donosić ziołowe napary, wymówił się też złym samopoczuciem od zejścia do jadalni na obiad, choć z apetytem zjadł to, co mu przyniesiono do łóżka na tacy.

Elizabeth ucieszyła się, że nie będą musiały znosić jego towarzystwa przy stole. Przekonana, że jego kuzyn dopuścił się różnego rodzaju niegodziwości, nie mogła wykluczyć, że i lord Barton wprosił się do ich domu z jakiegoś niecnego powodu. Dlatego też zamknęła na klucz drzwi swojej sypialni, udając się na spoczynek, wcześniej zadbawszy o to, by jeden ze służących czuwał przez całą noc pod drzwiami apartamentu lady Isadory. Nie chcąc jej niepotrzebnie denerwować, Elizabeth uznała, że najlepiej będzie chronić lady Isadorę bez jej wiedzy.

Próbowała czytać w łóżku, ponieważ zdenerwowanie nie pozwoliło jej od razu zasnąć. Leżała w pościeli podświadomie wyczekując na jakiś odgłos – skrzyknięcie drzwi, szmer kroków, dźwięk obracanej klamki. Nic takiego jednak nie nastąpiło i w końcu zapadła w sen.

Rano obudziła się o wpół do siódmej i po pół godzinie zeszła na dół. Jak to miała w zwyczaju, wstąpiła do biblioteki i natychmiast wyczuła, że ktoś tam był na krótko przed nią.

Jedno spojrzenie na okna wystarczyło, by się upewnić, że wciąż są zamknięte, więc nikt nie mógł wejść do środka tą drogą. Od razu podeszła do półki z dokumentami dotyczącymi posiadłości i odkryła, że trzy tomy zostały wyjęte, a potem odstawione na miejsce w pośpiechu; poznała to, bo niedawno sama ustawiła je w idealnie równym rzędzie. Zawierały zapisy następujące bezpośrednio po tych ze skradzionego tomu, co

dało jej pewność, że osoba, która wdarła się do biblioteki, szukała drugiej części listu.

Wiedziała przynajmniej tyle, że intruz nie znalazł tego, czego szukał, ponieważ go uprzedziła. Rozejrzała się za sporządzonym przez siebie spisem, ale nigdzie go nie dostrzegła. Kto, u licha, mógł go zabrać? Elizabeth nie rozumiała, dlaczego jej spis zniknął, bo przecież nie mógł być przydatny nikomu poza hrabią Cavendishem.

Jeszcze raz omiotła wzrokiem półkę z dokumentami, by się upewnić, że żadnego nie brakuje. Wszystkie stały tam, gdzie wcześniej, tyle że już nie tak równo ułożone. Poza tym w pomieszczeniu nic nie zostało naruszone.

Elizabeth podeszła do półki pod przeciwną ścianą. Postanowiła ją uprzątnąć, umieszczając książki na stole w odległym kącie pokoju. Chciała zgrupować poważniejsze dzieła na jednym regale, żeby hrabia Cavendish mógł znajdować swe ulubione tytuły bez konieczności przeszukiwania całej biblioteki.

Przeniosła kilka stosów książek na stół i zorientowała się, że jest tam wszystko, począwszy od poezji, przez kazania po lekkie powieści i nowele. Kładła jeden egzemplarz przy drugim, odczytując tytuły. Czy powinna je poukładać według tytułów właśnie, czy raczej według autorów? Wszystkie książki były pięknie oprawione w skórę, choć różniły się kolorami okładek: jedne były czerwone, inne ciemnozielone. Doszła do wniosku, że ładnie by się prezentowały, gdyby ustawiła razem te w jednym kolorze i zaraz potem odkryła, że zielone okładki kryły w sobie dzieła Szekspira i innych dramatopisarzy, podczas gdy w czerwone oprawiono powieści. Zdejmując z półki ostatnie tomy dostrzegła poskładany arkusz papieru, zalepiony woskową

pieczęcią z herbem Cavendishów. Kiedy sięgała po niespodziewane znalezisko, drzwi nagle się otwały i do biblioteki wszedł lord Barton, odziany w elegancki szlafrok.

Elizabeth odruchowo ukryła arkusz za plecami. Zaskoczona, potrzebowała chwili czasu, by znaleźć w myślach odpowiednie słowa.

- Żle się pan czuje, sir? - zapytała w końcu. - Mam poprosić panią Bates, żeby panu coś podała?

- Już prawie wyzdrowiałem, panno Travers - odpowiedział. - Zamierzam wyjechać zaraz po śniadaniu. Ziołowe napary ochmistrzyni bardzo mi posłużyły, poproszę ją o przepis na ich przyrządzanie... - Po krótkim wahaniu dodał: - Zszedłem tak wcześnie, żeby ją odszukać. Pomyślałem, że nie powinienem budzić całego domu, skoro mogę poprosić, by przyniesiono mi jedzenie na górę.

- Aha. - Elizabeth uśmiechnęła się do niego. - Obawiam się, że pan pobłądził, szukając kuchni, sir. Musi pan stąd wyjść... poza tym jestem pewna, że wystarczy użyć dzwonka, by pani Bates przyniosła panu, co trzeba.

- Tak, zapewne ma pani rację - przyznał, wyraźnie zły, że znalazł się w tak niezręcznej sytuacji. - Nie spodziewałem się, że zastanę panią na nogach tak wcześnie, panno Travers.

- Rzeczywiście, wierzę, że pan się nie spodziewał. Mam zwyczaj wstawać wcześniej i jak pan widzi, pracuję nad skatalogowaniem biblioteki lorda Cavendisha. Zgromadziłem sporo dobrych książek, ale poustawianych całkiem przypadkowo. Staram się wprowadzić nieco porządku na tych półkach.

- Podziwiam, że wystarczy pani na to cierpliwości. Domyślam się, że te książki były kupowane na jardy, żeby zapełnić półki, dlatego mają jednolite okładki.

- Przymiarkuję, że dzieła Szekspira mogły być zakupione

w ten sposób - przyznała Elizabeth. - Czy nie sądzi pan, że książki powinny być uporządkowane według tytułów lub autorów, żeby łatwo było znaleźć szukaną pozycję?

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparł. Było jasne, że coś go wytrąciło z równowagi. - Proszę mi wybaczyć, ale wróć już do swojego pokoju i wezwę ochmistrzynię.

Elizabeth odczekała, aż drzwi się za nim zamkną, po czym, wsunąwszy list do kieszeni spódnicy, podjęła przerwane zajęcie. Zaczęła po kolei odkurzać tomy zgromadzone na stole.

Była niemal pewna, że lord Barton tego ranka dwukrotnie odwiedził bibliotekę. Jego pierwsze poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Dlaczego więc wrócił? Pewnie przyszło mu do głowy, gdzie w innym miejscu mógłby znaleźć dokument o który mu chodziło.

Lady Isadora mówiła Elizabeth, że jej mąż był kiedyś bliskim znajomym tego człowieka. Zatem istniała możliwość, że lord Barton wiedział o tym, że mąż lady Isadory miał zwyczaj wtykać różne rzeczy pomiędzy karty książek. Może nieproszony gość postanowił zajrzeć do kilku innych tomów? Bez wątpienia musiał być rozczarowany, zastając Elizabeth przy pracy.

Czy widział list, który trzymała za plecami? Nie mogła być pewna, czy przypadkiem nie dostrzegł złożonej kartki, którą starała się ukryć. Szkoda, że od razu gdzieś jej nie odłożyła, bo jeśli powziął podejrzenia, istniała możliwość, że będzie się starał przed wyjazdem doprowadzić plan do końca. Przez moment rozważała pomysł, by schować list w swoim pokoju, ale natychmiast sobie uświadomiła, że byłoby to pierwsze miejsce do przeszukania, gdyby wyszło na jaw, że list jest w jej posiadaniu. A ponieważ lordowi Bartonowi nie udało się znaleźć tego, czego szukał, nale-

żało się spodziewać, że ktoś może próbować włamać się do domu.

Elizabeth pracowała wytrwale przez następne dwie godziny, grupując książki tematycznie, a potem układając je według autorów. Postanowiła sporządzić spis dla hrabiego Cavendisha, ale tym razem porządnie, używając do tego celu pustego zeszytu zamiast luźnej kartki papieru.

Kiedy już wykonała zadanie, które sobie wyznaczyła na ten poranek, wróciła na górę do swojego pokoju. Wychodząc, nie zamknęła drzwi, żeby Amy mogła posprzątać.

- Jest pani gotowa na śniadanie? - zagadnęła ją z uśmiechem pokojówka, kończąc swoją pracę.

- Nie, dziękuję ci, Amy - odpowiedziała Elizabeth. - Ale mam do ciebie małą prośbę... jeśli mogę...

- Oczywiście, panno Elizabeth. - Twarz dziewczyny ożywił wyraz zaciekawienia.

- Chodzi o to - powiedziała Elizabeth, wyjmując z kieszeni list. - Należy do jego lordowskiej mości i chcę, żebyś go bezpiecznie przechowała.

Amy nie kryła zaskoczenia.

- Czy ja aby jestem odpowiednią osobą, panienko?

- Tak sądzę - odparła Elizabeth z uśmiechem. - Ten list może być bardzo ważny. Nie czytałam go i ty też nie powinnaś... ale obawiam się, że ktoś może go ukraść, jeśli zostanie ukryty w tym pokoju...

- Tak, panienko, teraz rozumiem - powiedziała Amy. Wzięła od Elizabeth zapieczętowany pakiecik i wsunęła za staniak sukni. - Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać w moim pokoju. Przechowam go dla pani.

- Tylko do powrotu pana hrabiego - zapewniła ją Elizabeth.

- Ale w tym czasie musimy zachować największą ostrożność i nie powinnaś nikomu mówić, że powierzyłam ci ten list.

- Nie pisnę ani słówka - obiecała Amy. - A teraz przyniosę pani tacę ze śniadaniem.

- To miło z twojej strony.

- Żaden kłopot, panienko. Powie mi pani, kiedy mam zwrócić list?

- Tak, dziękuję ci.

Po wyjściu Amy, Elizabeth zamyśliła się nad dziwnymi wydarzeniami, jakie miały miejsce w ostatnich dniach. Wyszła za parawan, żeby zmienić prostą domową suknię na coś bardziej eleganckiego. Ranek był pogodny, więc postanowiła wpaść z krótką wizytą do Julii.



Rozdział siódmy

Po śniadaniu Elizabeth wybrała się do posiadłości sir Henry'ego Gilesa. Miała wprawdzie poczucie, że specjalna eskorta kilku stajennych tak naprawdę wcale nie jest jej potrzebna, ale chcąc uniknąć wszelkiego ryzyka, pozwoliła, by jej towarzyszyli.

Julia ucieszyła się z wizyty i wylewnie dziękowała Elizabeth za przybycie. Ostatnie dni zbliżyły je do siebie, a poza tym spokój przyjaciółki miał korzystny wpływ na Julię, ponieważ na co dzień musiała znosić histeryczne zachowanie matki.

- Mama jest w okropnym stanie po tym, co się stało - zwierzyła się. - Tłumaczyłam jej, że porwano mnie przez pomyłkę i dlatego potem wypuszczono do domu, ale ona nie chce w to uwierzyć i boi się, że coś podobnego może się powtórzyć. Biedny tata musi każdego wieczoru co najmniej dwukrotnie sprawdzać cały dom i upewniać się, że nikt nie próbuje mnie wykraść z łóżka.

- Myślę, że to bardzo mało prawdopodobne - zapewniła ją Elizabeth z uśmiechem. - Wyglądasz dziś znacznie pogodniej, Julio. Lepiej się czujesz?

- Tak, czuję się spokojniejsza. Pastor Bell odwiedził mnie

wczoraj po południu i był bardzo miły. Potępił tych łobuzów, którzy mnie porwali, i powiedział, że od tamtej pory codziennie się za mnie modli. Rozmawialiśmy dość długo, a wychodząc, obiecał, że wkrótce znów mnie odwiedzi. Powiedział też, że muszę być dzielna i ufać Bogu, i razem odmówiliśmy modlitwę.

- Jestem pewna, że to ci bardzo pomogło - orzekła z przekonaniem Elizabeth, widząc, że przyjaciółka prawie całkiem wróciła do siebie. - Tak się cieszę, Julio. To dobrze, że cię odwiedził.

- Tak - potwierdziła skwapliwie Julia. - Powiedziałam mu, że mam jechać do Bath zamiast do Londynu i że spędzę trochę czasu z moją ciotką. Pochwalił ten zamiar i dodał, że powinienem starać się trochę rozerwać, żeby zapomnieć o tym, co przeszłam.

- To miło z jego strony. Jestem pewna, że nic cię nie powstrzyma przed bywaniem w zaprzyjaźnionych domach, a atrakcji towarzyskich tam nie brakuje. Na pewno będziesz całkiem bezpieczna, Julio.

- Wydaje mi się, że tu też jestem bezpieczna - stwierdziła rozsądnie Julia. - Gdyby chcieli mi zrobić krzywdę, to nie puściliby mnie do domu.

- To prawda - przyznała Elizabeth. - Poza tym do twojego powrotu z Bath może być już po wszystkim.

- Mam nadzieję, że sprawcy porwania zostaną schwytani i ukarani - oświadczyła z powagą Julia. Trudne chwile, jakie niedawno przeżyła, sprawiły, że nagle wydorosła. - To ciebie chcieli skrzywdzić, Elizabeth. Nie rozumiem dlaczego, ale grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Jestem dobrze strzeżona. Zapewniam cię, że moi strażnicy cały czas mają mnie na oku, kiedy opuszczam dom.

Widząc figlarny uśmiech przyjaciółki, Julia pokręciła głową.

- To wcale nie jest zabawne. Ci ludzie są naprawdę źli... jeśli wpadniesz w ich ręce, nie wypuszczą cię tak łatwo.

- Nie sądzę, żeby próbowali mnie porwać, skoro jestem tak dobrze chroniona.

- Musisz uważać - upierała się Julia. - Byłabym niepokieszona, gdyby coś ci się stało.

- Dziękuję ci za troskę. - Elizabeth czuła, że najwyższy czas zmienić temat rozmowy. - Powiedz mi, Julio, uszyłaś sobie nowe suknie na wyjazd czy zamierzasz kupić je w Bath?

Elizabeth wróciła do domu po miłym poranku spędzonym na pogawędce o strojach i kobiecych błyskotkach. Wchodząc do holu, odniosła wrażenie, że coś się zmieniło, a kiedy z salonu lady Isadory dobiegł śmiech, aż się wzdrygnęła. Domyśliła się, że znów przyjechali jacyś goście, bo z bliska oprócz śmiechu usłyszała także szmer głosów, a kiedy weszła do środka, zobaczyła, że salon wypełniony jest ludźmi.

- O, jesteś, moja droga - powitała ją lady Isadora. - Mieliśmy już zasiadać do lunchu i zastanawialiśmy się, gdzie się podziewasz, Elizabeth.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli przeze mnie państwo czekali. - Rozejrzała się po pokoju, wypatrując człowieka, który szczególnie ją interesował. Wstrzymała oddech, napotkawszy jego spojrzenie. Patrzył na nią tak, jak spragniony wędrowiec musi patrzeć na oazę na pustyni. - Spędziłam trochę czasu z Julią... Zabawiłam dłużej, niż planowałam, ale czuje się o wiele lepiej i po prostu się zagadałyśmy.

- Panna Giles ma szczęście - odezwał się Daniel z nieprzeknionym wyrazem twarzy. - Czy mogę przedstawić pani

moich przyjaciół, panno Travers? Charles Hunter, Hilary Matthews i Robert Young, który w istocie jest lordem Young, ale nie dba ó tytuły. Panowie, panna Elizabeth Travers.

- Panowie... - Elizabeth dygnęła z gracją. Wszyscy trzej zaprezentowani jej mężczyźni byli przystojni, bez wątplenia pochodzili ze znakomych domów i, sądząc po strojach, bogaci. Elizabeth zauważyła jednak, że Charles Hunter ma podkrążone oczy i ściągnięte rysy, jakby był chory lub dręczyły go poważne troski. - Bardzo mi miło poznać przyjaciół lorda Cavendisha.

- Panno Travers. - Hilary Matthews skinął głową z lekkim uśmiechem.

Charles Hunter ledwie na nią spojrział; zaraz potem opadł na fotel pod oknem i melancholijnie zapatrzył się na park.

- Czy panna Giles bardzo się przeraziła? - spytał John Elworthy. - Jeszcze nigdy w życiu nie doznałem takiej ulgi, jak wówczas, gdy usłyszałem, że wróciła na łono rodziny cała i zdrowa.

- Z początku była wstrząśnięta i dużo płakała - odpowiedziała mu Elizabeth. Podeszła bliżej i stanęła obok niego przed kominkiem. - Ale chyba już do niej dotarło, że została porwana przez pomyłkę i teraz jest bezpieczna. Wczoraj odwiedził ją pastor, jego wizyta podniosła ją na duchu. Myślę, że całkowicie dojdzie do siebie po tym, jak w przyszłym tygodniu rodzice zabiorą ją do Bath.

- Do Bath? - wtrącił się do ich rozmowy Daniel. - Sądziłem, że ma jechać do Londynu?

- Nie czuła się na siłach włączyć w życie towarzyskie na takim poziomie. W Bath może spotykać się ze znajomymi swojej ciotki, ale nie będzie musiała tak często występować publicznie. W zaistniałych okolicznościach tak chyba jest lepiej.

- Być może - przyznał Daniel. - Muszę z panią później porozmawiać, panno Travers.

- Oczywiście - powiedziała Elizabeth, czując, jak mocno zabiło jej serce. - Może wieczorem, przed obiadem. Poczyniłam pewne zmiany w bibliotece, które może zechce pan ocenić.

- Tak, oczywiście - odparł Daniel, kiwając głową. - W takim razie przed obiadem, panno Travers.

Popatrzył na nią tak, że z wrażenia zaschło jej w gardle.

Kiedy poproszono ich do jadalni, Elizabeth milczała, przysłuchując się rozmowom, jakie panowie toczyli między sobą. Wyglądało na to, że tego popołudnia zamierzają udać się na małe polowanie w miejscowych lasach, i rzeczywiście wyszli zaraz po posiłku. John Elworthy pozostał w domu i dołączył do lady Isadory i Elizabeth.

- Pewnie pani ma wrażenie, że cały dom stanął na głowie przez taki najazd gości - zagadnęła lady Isadorę. - Nie dziwiłbym się, gdyby pani miała ochotę odesłać nas do diabła.

- Ależ nie - zaproponowała lady Isadora - uważam tylko, że Daniel mógł zaprosić mieszane towarzystwo. Wygląda jednak na to, że panowie zaplanowali tydzień raczej męskich rozrywek. Nie mam nic przeciwko temu. Przyjmowanie gości stanowi miłą odmianę... chociaż ten, który bawił u nas ostatniej nocy był nieproszony i niezbyt pożądanym.

- Doprawdy? - zainteresował się John. - Któż mógł być owym nieproszonym gościem? Chyba nie kolejny intruz? - Pojawszy swój błąd, szybko się poprawił: - To znaczy chciałem spytać, kto był tym intruzem, ma się rozumieć.

- Lord Barton - powiedziała lady Isadora, marszcząc nieznacznie brwi. - Przywiózł ze sobą sir Montague'a Forsythe'a. Sir Forsythe wprawdzie nie został na noc, a tylko pożyczzył ko-

nia z naszej stajni, ale lord Barton się przeziębził i nie był w stanie kontynuować podróży.

- Doprawdy? - powtórzył ze zdziwieniem John, spoglądając znacząco na Elizabeth. - Czy Daniel o tym wie?

- Nie chciałam mu o tym wspominać od razu, przy całym towarzystwie - wyjaśniła lady Isadora. - Muszę przyznać, że lord Barton nie sprawił wielkiego kłopotu. Cały czas pozostawał w swoim pokoju, tak że prawie go nie widywałyśmy.

- Ja go widziałam następnego ranka, zanim wyjechał - wtrąciła Elizabeth. - Wydaje mi się, że czuł się całkiem zdrowy.

- Och, lepiej zapomnijmy o tym okropnym człowieku i jego jeszcze gorszym kuzynie! - zawołała lady Isadora, chłodząc się wachlarzem, jakby na samo ich wspomnienie zrobiło jej się gorąco. - Co nam dziś poczytasz, Elizabeth?

Elizabeth zeszła do biblioteki zaraz po tym, jak przebrała się do obiadu. Odebrany od Amy list spoczywał bezpiecznie w jej kieszeni. Hrabia Cavendish już na nią czekał.

- Rozumiem, że miałyście gości? - powitała ją z ponurą miną. - Ma pani coś do powiedzenia na ich temat?

- Wydaje mi się, że lord Barton wcześniej rano był w bibliotece. Zeszłam na dół i zaczęłam wyjmować książki z półki przed siódmą, kiedy tu wszedł. Myślę, że to nie była jego pierwsza wizyta w tym miejscu, ponieważ zniknęła lista, na której spisałam tomy zapisków pańskiego ojca.

- Po co więc wrócił?

- Według mnie nie znalazł tego, czego szukał. - Po tych słowach Elizabeth wyjęła z kieszeni zapieczętowany list. - Nie mam pewności, ale zdaje mi się że tego... Znalazłam to na kil-

ka sekund przed jego wejściem, za książkami przy końcu pokoju, niedaleko stołu. Mógł widzieć ten list w mojej dłoni, ale nie próbował mi go odebrać.

Daniel przyjrzał się pieczęci.

- Nie otworzyła pani?

- Nie należy do mnie - odparła Elizabeth rzeczowo. - Jest zaadresowany do pana.

- Tak, widzę. - Pokiwał głową. - Atrament nie jest wyblakły, więc można przypuszczać, że został napisany później niż fragment, który znaleźliśmy wcześniej.

- Może nie mieć nic wspólnego ze sprawą, którą pan bada.

- Zaraz się o tym przekonamy. - Daniel złamał pieczęć.

Szybko przebiegł wzrokiem treść i zasepił się. - To nie jest dalszy ciąg tamtego wyznania, panno Travers, ale potwierdza moje podejrzenia. Ojciec napisał to zaraz po zerwaniu przyjaźni z lordem Bartonem i ostrzegł mnie, żebym się z nim nie zadawał. Przegrał pokazną sumę w karty i uważa, że został oszukany. Wspomina niegodziwy charakter kuzyna lorda Bartona i pisze, że powinien dawno zakończyć tę znajomość. Są tu też inne uwagi skierowane do mnie, ale nie dotyczą sprawy.

- Zatem list okazał się niezbyt pomocny w pańskim śledztwie.

- Nie bardzo, ale teraz wiem, że miałem rację, podejrzewając sir Montague'a i jego kompanów o podłość. Nie żywię żadnych wątpliwości, choć nadał brak mi niezbędnego dowodu.

- Sir Montague pojechał do Londynu, ale zaprosił mnie i lady Isadore, żebyśmy go odwiedzili, kiedy wróci. - Zamyśliła się na moment. - Uważa pan, że powinniśmy?

- W żadnym wypadku nie powinniście! - Daniel nie krył

przerażenia. - Chyba nie ma pani ochoty składać wizyty w jego domu?

- Ani trochę - zapewniła Elizabeth, odruchowo wzdrygając się z odrazy. - Może udało by mi się znaleźć jakąś wskazówkę, która by panu pomogła.

- Jeśli jakaś wskazówka rzeczywiście znajduje się w jego domu, to sam ją odnajdę - oznajmił stanowczo Daniel. - Mógłbym skorzystać z jego nieobecności...

- Czy to nie zbyt niebezpieczne?

- Mniej niebezpieczne dla mnie, niż dla pani, Elizabeth. Musi pani wiedzieć, że nigdy bym pani nie pozwolił ryzykować. Zrobię, co trzeba, sam... no, może z pomocą paru przyjaciół.

- Pańscy dawni żołnierze dobrze mi służyli jako ochrona - powiedziała z uśmiechem Elizabeth. - Chodzą za mną krok w krok, więc jestem dobrze pilnowana.

- Cieszę się - powiedział Daniel z uśmiechem. Niewiele brakowało, a zaczęłyby sobie wyobrażać, że mu na niej zależy, że nie chodzi tylko o uwiedzenie. - Byłbym niepokieszony, gdyby pani ucierpiała w związku z tą sprawą.

- Och... nie wolno panu... - bąknęła słabym głosem.

- Czego mi nie wolno, Elizabeth? - Słyszac wyraźną nutę troski w jego głosie, zacisnęła palce tak mocno, że paznokcie wbiły jej się boleśnie w skórę dłoni. - Nie powinienem pani podziwiać? Ma pani tyle zalet, że każdy rozsądny mężczyzna by je podziwiał, podobnie jak panią.

Elizabeth z całych sił usiłowała przywołać się w duchu do porządku. Przecież mówił tylko tyle, że ją ceni, nic więcej. Odetchnęła głęboko, starając się zapanować nad wieloma różnymi uczuciami, jakie naraz ją ogarnęły. Jednym z nich, musiała przyznać, było rozczarowanie.

- Bardzo pan łaskaw, że tak mówi, sir. Ale jestem zupełnie zwyczajna.

- Z tym nie mogę się zgodzić - zaoponował. - Uważam, że jest pani wręcz niezwykła... ale nie chcę pani denerwować. Dziękuję, że znalazła pani ten list, cenny dla mnie z wielu powodów. Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Nasi goście zaraz zjedzą na obiad.

- Czy pan Hunter źle się czuje? - spytała Elizabeth. - Wygląda, jakby mocno cierpiał.

- W istocie cierpi - przyznał Daniel - ale na razie nie mogę pani powiedzieć nic więcej.

- Tak, rozumiem. Proszę mi wybaczyć, ale muszę pójść sprawdzić, czy lady Isadora przypadkiem mnie nie potrzebuje.

Daniel bez słowa skinął głową. Sprawił wrażenie zamyślonego; kiedy już w progu obejrzała się, by na niego zerknąć, z uwagą ponownie czytał list. Zastanawiała się, czy może było tam coś jeszcze, o czym jej nie powiedział. Uznając, że nie powinna okazywać nadmiernej ciekawości, postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy. Gdyby jednak słyszała rozmowę, jaką Daniel odbył później tego wieczoru z kilkoma ze swych przyjaciół, z pewnością nie byłaby w stanie spokojnie zasnąć tej nocy.

- Skoro mamy to zrobić, ta noc jest tak samo dobra jak każda inna - oświadczył Daniel czwórce najbliższych przyjaciół. Wszyscy służyli razem z nim w wojsku, chroniąc się i czasami nawet ratując sobie nawzajem życie. Łączyła ich szczególna więź zrodzona w ogniu bitew i wiedział, że może liczyć na każdego z nich. Musiał doprowadzić tę sprawę do końca, ponieważ dopiero wówczas mógł skupić się na własnych życio-

wych planach. - Dobrze, zatem zrobimy to tej nocy. On podobno jest w Londynie, choć nie możemy być tego pewni, bo równie dobrze mógł kłamać, kiedy tu był.

- Musieli wiedzieć, że cię nie ma w domu, Danielu - odezwał się John Elworthy. - A może też i to, że ja również wyjechałem do Londynu.

- Mocno ryzykowali, zjawiając się tutaj - wtrącił Charles Hunter. Oczy płonęły mu niezdrowym żarem, włosy miał dawno nie przycinane, jakby w ogóle nie miał głowy do dbania o wygląd. Od wielu nocy sypiał nie dłużej niż godzinę. - To pozwala zakładać, że są gotowi na wszystko.

- Jestem przekonany, że mają paskudne sekrety, tak jak wam mówiłem - odparł Daniel. - Jesteś przygotowany na najgorsze, Charles?

- Jestem. - *Zacisnął* usta w gniewną linię. - Jeśli doprowadzili do jej zguby, chętnie oddam życie, byle zobaczyć, jak idą do piekła!

- Nie mam wątpliwości, że w końcu tam trafią - stwierdził Daniel. - Jednak lepiej byłoby ich postawić przed sądem, jako przestrogę dla innych, którzy mogliby chcieć pójść w ich ślady.

- Jesteś bardziej wyrozumiały ode mnie - przyznał Charles. - Według mnie należy się kulka w łeb... a jeśli niczego nie uda się dowieść, wyzwę Forsythe'a na pojedynek.

- Nie on jeden jest w to zaangażowany - wtrącił się John. - Co sądzisz o Palmerze, Danielu? Elizabeth uważa, że to pod jego wpływem Julię uwolniono, a ja jestem skłonny przyznać jej rację. Skoro już znalazła się w ich rękach, dlaczego ją wypuścili? Ktoś musiał ich do tego nakłonić.

- To prawda. Zastanawiałem się, jak moglibyśmy go wykozystać - powiedziała Daniel. - Jeśli zwrócił się przeciwko nim,

stając w jej obronie, to nie może do końca pochwalać tego, co robią. Jak sądzicie, może zgodzi się z nami współpracować?

- Elizabeth uważa, że to możliwe - stwierdził John. - Nie powiedziała tego wprawdzie, ale wiem, że tak myśli. Jest przekonana, że to do jego domu zabrali Julię.

- Ale czy Palmerowi starczy odwagi, żeby wystąpić przeciwko nim?

- Jeśli dobierzemy mu się do skóry, będzie musiał wybierać - powiedział Charles. - Zostawcie mnie z nim sam na sam na pół godziny, to mu odpowiednio przemówię do rozumu.

- Daj spokój, człowieku - osadził go Robert Young. - Wszyscy się martwimy o twoją siostrę i przysięgliśmy pomścić jej krzywdę. Zrobimy, co należy.

W milczeniu pokiwali głowami. Nie byli mordercami ani zwolennikami przemocy, ale walczyli na wojnie i udało im się przetrwać. A poza tym rzeczywiście przysięgali odnaleźć siostrę Charlesa i zemścić się na jej dręczycielach.

Elizabeth nie słyszała, kiedy czterej jeźdźcy odjechali - zasnęła prawie natychmiast po zdmuchnięciu świecy. Miała wprawdzie niespokojne sny, ale zapomniała o nich zaraz po przebudzeniu. Dochodziło wpół do ósmej, kiedy jak co rano zeszła do biblioteki, gotowa poświęcić godzinę na porządkowanie księgozbioru. W progu stanęła jak wryta, trafiwszy na szokującą scenę. Trzej mężczyźni pochylali się nad czwartym, który, co od razu zauważyła, miał obficie krwawiącą ranę na nodze.

- Proszę mi wybaczyć - odezwała się niepewnie. Ogarnęła ją nieopisana ulga, kiedy hrabia Cavendish odwrócił się do niej i przekonała się, że to nie on jest rannym. - Nie wiedziałam, że panów tu zastanę... ale może mogę w czymś pomóc?

- Dziękuję, panno Travers. Nie da się ukryć, Charles mocno ucierpiał i stracił dużo krwi, mimo iż staraliśmy się opatrzyć ranę.

- Przyniosę wodę i maść - zaproponowała bez wahania. - Chcecie się nim zająć tu czy na górę?

- Gdyby udało się założyć opatrunek i zatamować krwawienie tutaj, moglibyśmy potem zanieść go na górę. Jak pani widzi, stracił przytomność.

Elizabeth szybko wyszła z pokoju. W kuchni Amy i kilkoro innych służących krzątało się przy pracy. Skinęła na pokojówkę i kazała jej niezwłocznie przynieść potrzebne rzeczy.

- Słyszałam, jak panowie wyjeżdżali w nocy, panienko - powiedziała Amy. - Przyszło mi do głowy, że mogą z tego wyniknąć kłopoty.

Elizabeth wróciła do biblioteki zaopatrzona w nożyczki. Podeszła do rannego i zobaczyła, że obłożono mu nogę poduszkami, teraz mocno nasiąkniętymi krwią.

- Musimy mu rozciąć spodnie - stwierdziła. - Amy zaraz przyniesie wodę, bandaże i maść, ale im szybciej się za to zabierzemy, tym lepiej. Wydaje mi się, że ta rana jest poważniejsza od pańskiej, panie Elworthy.

- Dostał się w sam środek strzelaniny - wyjaśnił John. - Myślę, że czegoś się spodziewali... Forsythe wiedział, że jego wizyta w tym domu skłoni nas do działania.

- Tak, rozumiem. - Elizabeth bez zwłoki rozcięła obcisłą nogawkę spodni Charlesa. Zrobiła to tak sprawnie, że obserwujący ją mężczyźni popatrzyli po sobie zaskoczeni.

- Mogę w czymś pomóc? - odezwał się Daniel.

- O, tak. Proszę go podnieść, bo muszę przeciąć od spodu, jeśli mam uwolnić nogę bez powodowania dalszych obrażeń.

- Jestem już, panienko - usłyszała za plecami głos Amy. -

Przyniosłam też ręcznik, żeby hm... zakryć tego pana... - Pochyliwszy się, narzuciła ręcznik na biodra Charlesa.

- Jesteś bardzo zapobiegliwa - pochwaliła ją Elizabeth.
- Cavendish, proszę go teraz ostrożnie unieść... o tak, dobrze. Może niech ktoś rozetnie drugą nogawkę i ściągnie z niego spodnie, a ja z pomocą Amy obmyję ranę i założę opatrunek.

Przy oczyszczaniu poszarpanej skóry pacjent wydał z siebie przeciągły jęk. Rana była rozległa, wyglądała paskudnie i nadal krwawiła, ale po dokładniejszych oględzinach Elizabeth stwierdziła, że mimo wszystko nie jest najgorzej.

- Trzymaj się, stary - powiedział Robet Young, pochylając się nad cierpiącym przyjacielem. - Panna Travers dobrze się tobą opiekuje i załóż się, że wkrótce poczujesz się lepiej.

Charles Hunter popatrzył na niego półprzytomnie, po czym znów zemdlał.

- Krwawienie powinno ustać - oznajmiła Elizabeth, zakończywszy bandażowanie. - Zrobiliśmy z Amy wszystko, co możliwe. Gdyby wam udało się zanieść go na górę, byłoby mu wygodniej w łóżku. - Popatrzyła na Daniela. - Posłał pan po lekarza, Cavendish?

- Tak, Forrest pojechał zaraz po naszym powrocie, ale jeśli nie zastał go w domu, to może trochę potrwać, więc dobrze, że pani się nim zajęła. Myślałem o tym, żeby panią wezwać, ale skoro wstała pani tak wcześnie... Po raz kolejny stałem się pani dłużnikiem, panno Travers.

- To, co zrobiłam, do niczego pana nie zobowiązuje. Chciałabym zadać panu tylko jedno pytanie... Czy udało się osiągnąć to, co planowaliście?

- Częściowo - odparł Daniel. - Samego Forsythe'a nie zastaliśmy w domu, ale byli tam jego ludzie i to prawdopodob-

nie jego łowczy do nas strzelał. Tak czy inaczej, nie pojechaliśmy na próżno.

Elizabeth pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Przepraszam, ale muszę się ogarnąć.

Udała się do swego pokoju, żeby włożyć świeżą suknię, ponieważ ta, w której opatrywała rannego, została pochłapana krwią. Myjąc ręce, usłyszała cichy szmer przy drzwiach. Odwróciwszy się, ujrzała w progu hrabiego Cavendisha, a nie Amy, której się spodziewała.

- Sir?

- Wcześniej nazywała mnie pani Cavendishem - przypomniał z kwaśnym uśmiechem. - Proszę mi wybaczyć, wiem, że nie powinienem tu być, ale chciałem porozmawiać z panią na osobności.

Elizabeth nie potrafiła mieć mu za złe, że po raz kolejny wszedł do jej pokoju. Przeciwnie, myślała o nim i to, że przyszedł wydawało się w pewien sposób naturalne.

- Zapewne niepokoi się pan o przyjaciela? Rana trochę za mocno krwawiła, ale nie jest aż tak głęboka, jak by się mogło zdawać.

- Martwiłem się o Charlesa od wielu miesięcy i paradoksalnie ta rana może się okazać opatrznościowa - zaczął Daniel. Czuł ulgę, że może porozmawiać z Elizabeth tak, jak nigdy nie mógłby rozmawiać ze swoją matką czy żadną inną ze znanych mu kobiet. - Miał powód, żeby zniechęcić Forsythe'a i jego kompanów i mogły z tego wynikać różne kłopoty. Dlatego może dobrze, że będzie przykuty do łóżka, bo mógłby zrobić coś nieprzemyslanego.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem.

- Weszliśmy do domu Forsythe'a przez niedomknięte drzwi, zastaliśmy popijającego samotnie w bibliotece Palmera i poj-

maliśmy go. Trzymamy go teraz w jednym z nieużywanych pokoi gościnnych.

- Cavendish! - Elizabeth była wstrząśnięta. - Więzicie pana Palmera? Przecież to przestępstwo!

-W istocie, do tego, mówiąc pani o tym, czynię panią współwinną - przyznał Daniel. - Chociaż, gdyby coś się wydało, zaprzeczę, że pani o czymkolwiek wiedziała. Jednak jeśli mamy go tu potajemnie przetrzymywać, tylko parę osób może znać prawdę. Myślę, że można zaufać pani, Forrestowi i może Amy... chyba że zabroni mi pani wciągania jej w tę sprawę. Forrest już wie i chce być użyteczny. To inteligentny młodzieniec, marnuje się jako lokaj. Sądzę, że mógłby się przydać mojemu plenipotentowi i czasem nawet go zastąpić, ale na razie to zostawmy.

- Myślę, że dobrze pan wybrał - pochwaliła go Elizabeth. - Pomówię z Amy, ale musi być jakoś chroniona na wypadek, gdyby sprawa przyjęła fatalny obrót.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się do niej. - Chyba muszę podziękować mamie. Co byśmy bez pani zrobili, panno Travers?

- Przecenia pan moją rolę... - Urwała, widząc, że zbliża się; patrzył na nią w taki sposób, że domyśliła się jego zamiarów, jeszcze zanim wyciągnął do niej ręce. - Cavendish...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Z początku stała sztywno w jego objęciach, ale po chwili coś się w niej otworzyło; przylgnęła do niego całym ciałem i gorliwie odwzajemniła pocałunek. W jednej chwili zapomniała o rozsądku, przestrogach matki, o poczuciu przyzwoitości. W takim momencie bez wahania dałaby mu wszystko, o co by ją poprosił.

- Elizabeth... - Znów się do niej uśmiechnął. - Nie powi-

nieniem był tego robić, wiem, ale pragnąłem panią pocałować niemal od chwili, gdy się poznaliśmy.

- Sir...

Położył jej palec na ustach.

- Niech będzie Cavendish. Nie można się cofać, moja droga. Teraz już panią znam i nie pozwolę pani udawać.

- Jest pan nieuprzejmy, sir - obruszyła się Elizabeth, ale z uśmiechem.

- Możliwe, mam też inne wady, ale przy tym będę się upierał.

- Świetnie, Cavendish.

- Znacznie lepiej. Pewnego dnia może być Daniel, lecz jeszcze nie teraz. Wiele może się zdarzyć, ale zanim przystąpię do spełniania moich własnych życzeń, muszę uporać się z tamtą sprawą. - Położył na stoliku niewielki pakunek. - Mały dowód wdzięczności za pani pomoc, Elizabeth. Buteleczka perfum. Myślę, że się pani spodoba.

- Dziękuję - powiedziała trochę sztywno. - To bardzo miło z pana strony.

- To drobiazg. Proszę je przyjąć bez zobowiązań. Jestem pani dłużnikiem, proszę mi wierzyć.

- Rozumiem.

Powiedział coś o spełnianiu własnych życzeń. Nie wiedziała, co miał na myśli. Zamierzał poprosić ją o rękę, czy też zaproponować *carte blanche*? Z pewnością chodziło albo o jedno, albo o drugie, bo patrzył na nią wymownie, kiedy spotkali się w salonie lady Isadory. Nagle poczuła się nieswojo; mógł wziąć jej uległość podczas pocałunku za otwarte zaproszenie. Cóż, swoim zachowaniem dała mu do tego prawo. Na moment zapomniała, że jest jedynie damą do towarzystwa jego matki.

- Nie, nie, proszę tak na mnie nie patrzeć - powiedział

z przestraczem, dotykając delikatnie jej policzka. - Zna pani moje uczucia, Elizabeth. Proszę mi zaufać. Przysięgam, że pani nie skrzywdzę.

- Bardzo dobrze, Cavendish - odezwała się, odzyskując kontenans. - Proszę mi zdradzić, dlaczego sprowadziliście tu Palmera jako więźnia.

- Żeby się przekonać, czy powie nam wszystko, co wie, na temat Forsythe'a i jego przyjaciół.

- Według mnie to dzięki niemu Julia została wypuszczona. Może być ich najstarszym ogniwem, ale czy ośmieli się wyjawić cokolwiek, co by ich pogrążyło przed sądem?

- Mam nadzieję, że zechce podzielić się swoim ciężarem - powiedział Daniel. - Był pijany, kiedy go stamtąd zabieraliśmy i nawet nie próbował uciekać. Jak pani sądzi dlaczego?

- Może mieć zamęt w głowie. Może wplątał się w coś, od czego chciałby uciec, ale nie potrafił lub nie ma odwagi... Może czuje, że zasłużył na jakiś rodzaj kary.

- Dlaczego pani tak bardzo różni się od wszystkich innych kobiet, jakie znam? - spytał znieczeka Daniel. - Mama nie jest w stanie podążać za tokiem moich myśli, podobnie jak inne znane mi bliżej kobiety. Wydaje mi się, że spałam, Elizabeth, i dopiero pani mnie obudziła, pokazując, jakie może być życie. - Uśmiechnęła się tak, że oblała ją fala gorąca. - Gdybyśmy mu zapewnili bezpieczeństwo przed resztą tych drani, mógłby nam zaufać na tyle, by wyjawić to, co nas interesuje.

- Ale czy będzie zeznawał przed sądem? Żeby skazać wpływowe osoby, potrzeba niezbitych dowodów. Ludzie tacy jak lord Barton czy Forsythe mogą zmusić innych, by zeznali, że Palmer kłamie.

- To prawda - przyznał Daniel. - Jeśli dowód będzie na tyle

mocny, by przekonać nas czterech, nada się do przedstawienia w sądzie.

Elizabeth spojrzała mu w oczy i zimny dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie; wyczuła, że w razie potrzeby Daniel Cavendish potrafi być bezwzględny.

- Zrobi pan wszystko, co w pańskiej mocy, żeby postawić ich przed obliczem sprawiedliwości?

- Taki jest mój zamiar i życzenie - potwierdził. - Są tacy, którzy wolą bardziej brutalne rozwiązania.

Elizabeth pokiwała głową.

- Chyba rozumiem, co pan ma na myśli. A teraz, Cavendish, powinien pan wyjść, zanim przyjdzie Amy, bo inaczej moja reputacja legnie w gruzach.

Uśmiechnął się do niej nieco wyzywająco, ale opuścił pokój bez słowa. Elizabeth zeszała na dół, by dokończyć pracę, którą miała wykonać rano w bibliotece.

Hrabia znalazł się w trudnej sytuacji; nie miała wątpliwości, że to, co zrobili, musi wywołać konsekwencje. Nie wiedzieli jeszcze, jak zakończy się cała ta sprawa, więc rozsądek nakazywał zachować największą ostrożność. Teraz, kiedy Cavendish wystąpił przeciwko sir Montague'owi, rozpoczęła się prawdziwa bitwa.

- Czyżbym słyszała jakieś zamieszanie? - spytała lady Isadora, kiedy nieco później Elizabeth weszła do jej pokoju. - Wiem, że goszczą u nas znajomi panowie, ale było wcześniej, nawet jak na nich.

- Wydaje mi się, że zdarzył się wypadek - powiedziała Elizabeth, pamiętając o zaleceniu hrabiego Cavendisha żeby zachować ich przygodę w tajemnicy. - Chyba pan Hunter się zranił i potrzebował doktora.

Lady Isadora przyjrzała jej się uważnie, ale przyjęła tłumaczenie bez komentarza.

- Dziś po południu wybierzemy się z wizytą - oznajmiła. - Spotkałeś już niektórych moich przyjaciół, ale jest jeszcze paru, z którymi chciałabym cię zapoznać, moja droga.

- O, jak miło - ucieszyła się Elizabeth. - Przyjemnie znowu zacząć bywać. Mama kiedyś bardzo lubiła składać wizyty, lecz po śmierci ojca już jej to nie bawiło.

Lady Isadora pokiwała głową ze zrozumieniem.

- A tak w ogóle, czujesz się lepiej, dziecko? Wydaje mi się, że kiedy tu przyjechałaś, byłaś w kiepskim stanie.

Elizabeth uświadomiła sobie, że rzeczywiście znacznie lepiej się czuje.

- Zawsze będzie mi przykro, że mama i ojciec umarli w taki sposób - powiedziała. - I oczywiście, czasami dotkliwie mi ich brakuje. Ale ostatnio jestem zajęta tyłoma innymi sprawami, że nie myślę o swojej stracie. - Nadal czuła się bardzo samotna, ale minęło poczucie gorzkiego żalu.

- Znakomicie! - ucieszyła się lady Isadora. - Przeżyłaś wiele nieszczęść, ale jesteś młoda i wkrótce może przed tobą otworzyć się jaśniejsza przyszłość.

- Wystarczy mi to, co mam - zapewniła ją Elizabeth. - Jak to dobrze, że pozwoliła mi pani tu przyjechać. Jestem pewna, że znajdując zatrudnienie gdzie indziej, nie byłabym taka szczęśliwa.

Lady Isadora odwróciła się, żeby ukryć uśmiech. Wyglądało na to, że sprawy układają się po jej myśli. Miała pewne plany związane z losem córki przyjaciółki, choć nie była pewna, czy Daniel sprostą swojej roli. Przy tak wielu nieżonatych dżentelmenach, goszczących w ich domu, Elizabeth mogła wybierać do woli, a lady Isadora zauważyła, że przynajmniej

dwaj przyjaciele Daniela darzą dziewczynę widocznym zainteresowaniem. Odniosła wrażenie, że w domu dzieje się coś jeszcze i że Elizabeth bierze w tym czynny udział.

Wiedziała, że syn będzie starał się utrzymać to przed nią w tajemnicy, nie chcąc jej niepokoić, ale w takich przypadkach zawsze mogła liczyć na to, że dowie się wszystkiego od służby.

Tego samego popołudnia Daniel patrzył, jak powóz jego matki wyrusza z podjazdu przed domem. Chcąc zapewnić bezpieczeństwo lady Isadorze i Elizabeth, wydał dyspozycje kilku swoim ludziom, by im towarzyszyli, zachowując dyskretną odległość. Był zadowolony, że panie opuściły dom, bo to dawało mu sposobność przesłuchania więźnia.

Uprowadził przyjaciół, że mogą mu być potrzebni, zastrzegając jednocześnie, by nie pojawili się, dopóki nie pośle po nich Amy lub Forresta. W końcu udał się w pojedynkę do gościnnego pokoju.

- Dzień dobry, panie Palmer - powiedział, uśmiechając się do człowieka, którego tam przetrzymywał. - Pewnie pan się zastanawia, gdzie jest... i dlaczego się tu znalazł? - dodał, widząc jego niepewną minę.

- Teraz, kiedy pan przyszedł, znam już odpowiedź na oba pytania - odpowiedział Palmer. - Forsythe już od jakiegoś czasu wiedział, że wtyka pan nos w jego sprawy. Z pewnością domyślił się pan, że to lady Isadora albo panna Travers miała zostać porwana zamiast panny Giles.

- Owszem. Domyślałem się też, że to dzięki pana wstawieniu ta młoda dama powróciła do domu cała i zdrowa. - Jedynie pulsująca żyła na skroni zdradzała, że słowa Palmera wzbudziły w nim gniew.

- Oczywiście. Kazałem ją wypuścić. Gdyby coś jej się stało,

dogłębnie, żeby zostali powieszani. Ale ani Forsythe'a, ani lorda Bartona tam nie było, więc nie miałem trudności z wymuszeniem posłuchu na tych rzeźmieszkach.

- Jest pan bardzo szczerzy, sir.

- Nieważne, co się ze mną stanie - rzekł z rezygnacją Palmer. - Kobieta, na której mi zależy, i tak już nigdy na mnie nie zechce spojrzeć, wiedząc, kim jestem, a jeśli nawet pan mnie nie zabije, zrobi to Forsythe.

- Pomoże mi pan postawić ich przed sądem, jeśli zagwarantuję panu osobiste bezpieczeństwo?

- Niby w jaki sposób? - Palmer nie krył obaw. - Kiedy Forsythe się dowie, że z panem się kontaktuję, uzna, że go zdradziłem, i to będzie mój koniec.

- Najpierw musiały pana znaleźć - powiedział Daniel. - Świat jest duży, a z odpowiednią sumą w kieszeni mógłby pan wyjechać w dowolne miejsce.

- Uciec jak pies z podkulonym ogonem? Od tamtej nocy często o tym myślałem - przyznał Palmer pośpiesznie. - Forsythe ma mnie w ręku, jak pan się zapewne domyśla. Mam siostrę. Jest mężatką, zbyt dojrzałą, żeby mogła im się przydać w rytuałach, ale ma dziesięcioletnią córkę. Gdybym uciekł, dobraliby się do niej.

- Nie tkną jej, jeśli będą za kratami lub martwi. Można ochronić pańską siostrzenicę.

Palmer spojrzął na Daniela niepewnie.

- Gdyby nie żyli, rzeczywiście byłaby bezpieczna. O swój los nie dbam. Tamta noc mnie prześladowała, wiele razy myślałem o tym, żeby z tym skończyć.

- Jeśli ma pan prawdziwe dowody, to może wystarczyć, żeby ich powieszono - orzekł Daniel. - Wiem, że odprawiają jakieś pogańskie rytuały i w przeszłości zdarzało im się krzywdzić

dziewczeta z dobrych rodzin, ale potrzebuję zeznań świadka na temat ich świeższych wyczynów.

- No to go pan znalazł. - Palmer pokiwał głową. - Forsythe wiedział, że pański ojciec coś na nich ma, bo groził, że ich wyda. Ostrzegał, że napisał list, który może ich zrujnować i okryć hańbą, i że jeśli coś nagle mu się przytrafi, zostaną zdemaskowani. Dzięki temu był bezpieczny, bo trzymał ich w szachu. Kiedy zmarł i nic nie nastąpiło, uznali, że zagrożenie minęło, i podjęli na nowo niecny proceder...

- Rozumiem... - Daniel ściągnął brwi w wyrazie zadumy. - Twierdzi pan, że zaprzestali działalności pod wpływem mojego ojca?

- Och, rytuały odbywały się nadal - wyjaśnił Palmer - ale z udziałem dziewczyn, które godziły się na wszystko za pieniądze. Większość z nich była zastraszona przez Forsythe'a i po wszystkim wracała do pańców, z których je brał. Jednak po śmierci pańskiego ojca była jedna niewinna dziewczyna... - Głos mu się załamał; rysi ściągnął mu żal pomieszany z bólem. - Niech mi Bóg wybaczy! Miałem w tym swój udział i nigdy nie wyzbędę się wyrzutów sumienia za zło, jakiego się dopuściłem.

- Nie wydaje mi się, że jest pan taki jak oni - zauważył Daniel. - Dlaczego pan do nich przystał?

- To było wkrótce potem, jak pierwszy raz przyjechałem do Londynu, z pieniędzmi, żądny rozrywki. Forsythe wykorzystał moją naiwność i zabrał większość z tego, co miałem. Zachęcał mnie do pijarstwa i kusił, że pokaże mi rzeczy, o jakich mężczyzna marzy w najśmielszych snach. Obiecował, że zostanie członkiem ekskluzywnego klubu, a do tego podarł mi moje weksle, anulując długi. A ja, jak ostatni głupiec, poszedłem za nim.

Daniel pokiwał głową; sposób działania Forsythe'a był oczywisty: omamił lekkomyślnego młodzieńca pozorami życzliwości i sprowadził na złą drogę.

- A co sprawiło, że nabrał pan odrazy do niego i tego, co robił?

- Opowiedział mi co nieco o tych ich rytuałach. O eliksirach, które wzmagają męskie moce do tego stopnia, że człowiek staje się niestrudzony w miłości. Prawie cały czas byłem podпиты i muszę przyznać, że mnie to podniecało. Mówił o ofiarach z dziewic i o tym, że sam pełni rolę Najwyższego Kapłana, dzięki któremu można doznać tych cudownych przeżyć... - Palmer wzdrygnął się, jakby przebiegł go dreszcz.

- Tamtej nocy podał mi kieliszek wina, miało lekko gorzki smak, bo podobno rozpuszczono w nim jakiś afrykański korzeń, który sprawiał, że mężczyzna nabierał niesłychanych mocy...

- Proszę mówić dalej - zachęcił Daniel. - Słyszałem o takich rzeczach, ale uważam je za niebezpieczne.

- Wtedy o tym nie myślałem - przyznał Palmer. - Wszystko wydawało mi się jakieś nierealne. Miałem wyostrome zmysły, a jednocześnie jakby byłem kim innym, jakbym się poruszał we śnie. Pojechalśmy do lasu i tam się rozebraliśmy. Jakaś młoda kobieta leżała na jedwabnym pościeliu. Miała błądą skórę, niemal białą w świetle księżyca. Forsythe rozpoczął swoje rytuały... - Palmer urwał, kręcąc głową na boki, jakby nie mógł znieść tego wspomnienia. - Domyślałem się, że jej także podano jakiś środek, jednak nie dość mocny, bo nagle odzyskała świadomość i widząc nas, krążących wokół w groteskowym tańcu, zaczęła krzyczeć. Poderwała się, zaczęła uciekać, a my pobiegliśmy za nią. - Przeciagnał dłonią po twarzy. - Niech mi Bóg wybaczy...

- Co się stało potem? - ponaglił go Daniel, kiedy milczenie się przedłużało.

- Nie jestem pewien. - Palmer uniósł rękę, widząc błysk gniewu w oczach Daniela. - Nie, proszę mnie wysłuchać do końca, błagam pana.

- Dobrze. Jestem gotów słuchać, ale jeśli spróbuje pan kłamać, nie wyjdzie to panu na dobre.

- Pamiętam, że krzyczała, i zaczęliśmy ją gonić, ale... - Znów przetarł twarz dłonią. - Potem chyba zemdlałem. Pamiętam tylko tyle, że następnego dnia obudziłem się we własnym łóżku z bólem głowy.

- Pytał pan Forsythe'a albo Bartona o to, co się stało?

- Forsythe powiedział mi, że dziewczyna po prostu zniknęła, lecz... - Palmer przycisnęła dłoń do czoła. - Barton mówił mi później, że po kilku tygodniach znaleziono ciało jakiejś dziewczyny w pobliskim jeziorze. Zbyt długo leżało w wodzie, żeby dało się zidentyfikować, więc uznano, że to ofiara samobójstwa i pochowano ją anonimowo.

- Uważa pan, że to była dziewczyna, którą mieliście zgwałcić podczas tego chorego rytuału? Wie pan, jak się nazywała?

Palmer głośno wciągnął powietrze.

- To była Sara Hunter... siostra pańskiego znajomego Charlesa. Ale nie mogę stwierdzić na pewno, że to ona została pochowana jako samobójczyni.

- Mój Boże!

Przez chwilę Daniela ogarnęła taka furia, że przed oczyma widział jedynie czerwoną mgłę. Zaciśnął dłonie w pięści, z trudem powstrzymując się przed zaatakowaniem Palmera. Miał ochotę go zabić, ale kiedy mgła ustąpiła, przypomniał sobie o obietnicy zapewnienia więźniowi bezpieczeństwa.

- Dziękuję, że mi pan to wszystko wyjawiał - odezwał się zduszonym głosem. - Przysięgam odnaleźć Sarę i teraz przynajmniej wiem, gdzie spoczywa.

- Nie potępiałbym pana, gdyby mnie pan zostawił na łasce Forsythe'a - rzekł Palmer. - Z pewnością na to zasługuję za rolę, jaką odegrałem tamtej nocy... Gdyby się nie ocknęła, pewnie bym ją posiadał.

- Czy mam rozumieć, że pozostała nietknięta? Forsythe ani żaden z jego kompanów jej nie zgwałcili?

- Barton twierdził, że nic jej nie zrobili. Rytuał wymaga, by do momentu złożenia ofiary pozostała dziewicą, a potem wszyscy po kolei mieliśmy ją wykorzystać. Wiem, że to niewybaczalna podłość i tysiąc razy zadawałem sobie pytanie, co mnie opętało, że przyłączyłem się do zwyrodnialców.

- Był pan narzędziem w rękach złoczyńcy - wyjaśnił Daniel. - Nie mam wątpliwości, że on zeruje na takich jak pan. Przynajmniej odpokutował pan za swoją podłość.

- Przysięgam, Cavendish. Od tamtej nocy prześladują mnie koszmary. Wiem, że jestem winny jej śmierci tak samo jak reszta z nich. Stanąłbym przed sądem razem z nimi.

- Być może - przyznał Daniel. - Sądzę jednak, że moi przyjaciele okażą panu litość. Dostarczył nam pan dowodu, a poza tym został pan ogłupiony przez tego człowieka. Każę przynieść pióro i atrament. Spisze pan to wszystko, co mi powiedział, i potwierdzi podpisem w obecności nas wszystkich. Myślę, że takie zeznanie wystarczy, by postawić Forsythe'a i Bartona przed sądem. Czy tamtej nocy byliście tylko we trójkę?

- Próbuję sobie przypomnieć, ale nie mam jasności. Mógł być jeszcze jeden... ubrany w długą białą szatę. Tak, chyba był, choć nie znam jego tożsamości. Znałem tylko Forsythe'a

i Bartona. To lubieżnik, nie przepuści żadnej służącej w swoim domu, ale Forsythe'owi bardziej chodzi o władzę niż cielesne uciechy. On tym wszystkim kieruje, bez niego cały ten dziwny klub umarłby naturalną śmiercią.

- Tak, ja też tak sądzę - potwierdził Daniel. - Jest pan gotów dać mi podpisane zeznanie?

- A jeśli tak?

- Zostanie pan bezpiecznie odwieziony do portu i umieszczony na statku, płynącym w wybranym przez pana kierunku.

- Zatem chętnie je panu dam - obiecał Palmer. - Uwolnię się od tego szaleństwa... bo to jest szaleństwo. Jeśli znajdę życie lub śmierć za morzem, to przynajmniej z własnego wyboru.

- W takim razie dostanie pan papier, pióro i atrament. Kiedy już pan podpisze, co trzeba, może pan ruszać w drogę. Na razie jednak muszę zamknąć drzwi na klucz dla bezpieczeństwa zarówno pańskiego, jak i naszego.

Palmer zaśmiał się z ironią.

- Sądzi pan, że jestem na tyle głupi, by uciekać? Gdyby nie pańska obietnica wyjazdu, byłbym już trupem. Forsythe trzymał mnie na pasku, ale miałem świadomość, że niewiele czasu mi zostało. Za dużo wiem. A on poświęciłby każdego, byle ratować własną skórę.

- Mimo to drzwi pozostaną zamknięte, dopóki nie będę miał w ręku zeznania.

- Dostanie je pan - zapewnił Palmer. - Ma pan na to moje słowo.

- Zjawię się, kiedy pan będzie gotowy.

Daniel zamknął drzwi, schował klucz do kieszeni i wrócił do przyjaciół. Poza nim zapasowy klucz miał tylko Forrest.

Pomimo zapewnień Palmera Daniel nie do końca wierzył, że więzień nie będzie próbował uciec.

- Bardzo przyjemne popołudnie, nie uważasz, moja droga?
- zwróciła się lady Isadora do Elizabeth w drodze powrotnej z wizyty. - Podobało ci się u lady Roxborough? Wiem, że jej reputacja jest trochę nadszarpnięta; mąż był okropnym łobuzem i jego ciemne sprawy musiały się na niej odbić, ale bardzo ją lubię, bo ma poczucie humoru. Nie jesteśmy zbyt blisko, ale odwiedzamy się od czasu do czasu.

- Jest bardzo miła - przyznała Elizabeth szczerze, jako że lady Roxborough rzeczywiście miała przyjemne usposobienie i prawie całą wizytę zabawiała Elizabeth rozmową o poezji i książkach. - Ma oryginalny głos, prawda? Głęboki i nieco chrapliwy, z nutą wesołości. Zauważyłam to szczególnie, kiedy jadłyśmy razem podwieczorek. A gdy czytała nam ten wiersz, miałam wrażenie, że słowa nabierają prawdziwego znaczenia.

- To prawda. Skoro już o tym mowa, jej głos jest rzeczywiście niezwykły, jakby trochę męski, nie sądzisz?

- Owszem, ale ładny.

Lady Isadora przytaknęła.

- Ostatecznie jest tylko jedną z naszych sąsiadek, a wkrótce wybierzemy się nad morze. Zastanawiam się, czy biedna Julia wyjechała już z rodzicami do Bath.

- Wydaje mi się, że jadą jutro - powiedziała Elizabeth. - Julia nie może się doczekać. Chyba całkowicie doszła do siebie po tamtym przeżyciu i wielka w tym zasługa pana Bella.

- Ach, tak. Julia chyba go lubi, ale jej rodzice nie byłiby zachwyceni takim zamążpójściem córki.

- Pewnie nie - przyznała Elizabeth. - Szkoda, że nie jest

zamożny. Bo poza tym wierzę, że byłby dla niej dobrym mężem.

- A ty sama nie widziałabyś się u jego boku?

- Ja? - zdziwiła się Elizabeth. - Nie. Bardzo go lubię, ale nie chciałam za niego wyjść. Poza tym mimo iż potępia jej niemądre zachowanie, Julia podoba mu się bardziej, niż zdaje sobie z tego sprawę.

- Może i masz rację - przyznała lady Isadora, w myślach wykreślając wielebnego z listy potencjalnych kandydatów do ręki Elizabeth. - Cóż, chyba pójdę teraz na górę trochę odpocząć, moja droga. A co ty będziesz robić?

- Myślę, że zejdę do biblioteki na godzinę, zanim przyjdzie pora przebrać się do obiadu.

- Nie męcz się tak z tymi książkami - poradziła lady Isadora. - Cavendish mógłby zatrudnić bibliotekarza, skoro chce mieć skatalogowane zbiory.

- Ale ja lubię tę pracę.

- No dobrze. - Zostawiwszy Elizabeth w holu, lady Isadora zaczęła wchodzić po schodach na górę. Na podeście półpiętra czekała na nią pokojówka. - O co chodzi, Phipps?

- To trochę dziwna sprawa, proszę pani. Może powinniśmy wejść do pani pokoju?

- Dobrze - zgodziła się lady Isadora, zaintrygowana miną dziewczyny. - Może powinniśmy...

Elizabeth już miała opuścić bibliotekę, zakończywszy spisywanie książek, które odkurzyła i poukładała na półce tego ranka, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł hrabia Cavendish. Po jego minie od razu poznała, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało?

- Powiedziała pani mojej matce, że trzymamy Palmera jako więźnia?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła go Elizabeth, zaskoczona jego szorstkim, niemal oskarżycielskim tonem. - Powinien pan wiedzieć, że nigdy bym tego nie zrobiła. Uważałam, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

- W takim razie to musiała być ta pokojówka!

- Amy? Jestem pewna, że to nie ona. Czemu jest pan taki zły?

- Ponieważ mama się dowiedziała i zażądała klucza od Forresta. Musiał jej go dać, nie miał wyboru, ale od razu mnie odszukał. Niestety, byłem w stajni i nim wróciłem do domu, było już za późno.

- Za późno?

- Mama powiedziała Palmerowi, że może sobie pójść. Miałem jego obietnicę, że podpisze zeznanie, ale uciekł i zostałem z niczym.

- I co gorsza, zadba o to, żeby nie dać się znowu złapać.

- Głupio zrobił, uciekając. Nie mogę zrozumieć, dlaczego uciekł, skoro wie, co go czeka.

- A co go czeka? - podchwyciła Elizabeth. - Przypuszczam, że sir Montague Forsythe będzie go podejrzewał o zdradę i...

- Urwała przestraszona, bo wyraz twarzy Daniela potwierdzał jej najgorsze obawy. - Może zostać zabity?

- Z pewnością się go pozbędą - stwierdził ponuro Daniel.

- Wie, że podpisał na siebie wyrok śmierci. Nie rozumiem, dlaczego uciekł, skoro obiecałem mu pomoc ukryć się przed Forsythe'em.

- Może pomyślał, że pan zmienił zdanie i pozostawił go na łasce losu, kiedy lady Isadora pozwoliła mu odejść?

- Tak, to możliwe.

- Szkoda, że go wypuściła. Może byłoby lepiej, gdyby pan jej od razu powiedział, co się dzieje. Chyba by się nie wtrącała, gdyby wiedziała, o jaką stawkę toczy się gra.

Daniel był niepocieszony.

- Ma pani rację. Była na mnie zła, że jej nie wtajemniczyłem i przede wszystkim za to, że porwałem Palmera.

- Wyjaśnił jej pan, dlaczego pan go przetrzymywał?

- Nie. Byłem zbyt wściekły, że zniknął, a wraz z nim jego zeznanie.

- To poważny krok wstecz w pańskim śledztwie. Mógł być jedyną szansą na udowodnienie sir Montague'owi winy przed sądem.

- Wątpię, żeby się znów pojawił. - Daniel się zasepił. - Ale znamy prawdę i będziemy działać w oparciu o nią.

- Wymierzy pan sprawiedliwość na własną rękę? - przestraszyła się Elizabeth. - Przecież... tak nie można!

- Zrobimy to, co należy.

- Nie - sprzeciwiła się Elizabeth. - Niezależnie od tego, co zrobił sir Montague i jego wspólnicy, bez względu na to, jacy są podli... muszą być postawieni przed sądem zgodnie z prawem.

- Chyba zdaje sobie pani sprawę, że raczej nie ma na to szans? Każę mi pani puścić ich wolno?

- Nie wiem - odparła Elizabeth niepewnym tonem. - Nie może pan ich zdemaskować tak, żeby zostali wykluczeni z towarzystwa? Jestem pewna, że to da się zrobić...

- To ma być wystarczająca kara za porwanie Sary Hunter? Została uprowadzona sprzed własnego domu i poddana... Wycierpiała rzeczy, o jakich żadna młoda dziewczyna nie powinna nawet wiedzieć! Możliwe, że nie żyje. Proszę się zastanowić, czy kompromitacja to wystarczająca cena za zrujno-

wanie pani ojca? I za to, że został zamordowany... bo to było morderstwo, Elizabeth. Nie mam co do tego wątpliwości.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie, to nie jest wystarczająca cena - powiedziała zduszonym głosem. - Będę cieszyć się z ukarania Forsythe'a, jeśli kara zostanie wymierzona przez sąd, ale jeśli pan go zamorduje, to okaże się, że nic was nie różni...

- Skoro tak pani uważa, to nie ma o czym mówić.

Widziała, że złość aż w nim kipie. Obrócił się na pięcie i wyszedł z biblioteki. Miała ochotę pobiec za nim, prosić o wybaczenie, ale coś nie pozwoliło jej ruszyć się z miejsca. Kocha go. W głębi duszy wiedziała, że zawsze będzie go kochać, ale nie mogła pogodzić się z tym, co zamierzał zrobić...

Rozdział ósmy

- Uważam, że Cavendish postąpił bardzo nieładnie, opuszczając nas w taki sposób - oznajmiła lady Isadora tego wieczoru przy kolacji. - Nie wiem, co się z nim ostatnio dzieje. Żeby porwać człowieka i przetrzymywać go jako więźnia, a potem nagle wyjechać, nie mówiąc nikomu ani słowa!

- Niestosownie go pani osądza - próbował bronić przyjaciel John Elworthy. - Nie rozumie pani motywów, dla których Daniel przywiózł tu Palmera. Zapewniam panią, że miał po temu istotny powód.

- Czyżby? - Lady Isadora nie kryła, że zachowanie syna wyprowadziło ją z równowagi. - Może mi je pan wyjaśni, podobnie jak to, dlaczego pan Hunter leży na górze z okropną raną?

- Chętnie pani wszystko wytłumaczę - odezwała się Elizabeth. - Chyba że pan woli to zrobić, panie Elworthy?

- Nie, nie, panno Travers - rzekł pośpiesznie John. - Jestem pewien, że pani sobie lepiej z tym poradzi.

- Może zostawimy panów, żeby spokojnie napili się portu? - zasugerowała Elizabeth, starając się ukryć własne obawy i rozczarowanie. - Z przyjemnością pani wszystko wytłuma-

czę - powtórzyła - bo uważam, że byłoby lepiej, gdyby hrabia Cavendish od razu panią wtajemniczył.

Lady Isadora podniosła się zza stołu i przeszła do bawialni. Sadowiąc się w swoim ulubionym fotelu, spojrzała pytająco na Elizabeth.

- Może wreszcie mi powiesz, co tu się dzieje? Podejrzewałam, że wiedziałas o tym od początku, i wygląda na to, że miałam rację.

- Proszę się nie gniewać. Przyrzekłam hrabiemu Cavendishowi dochować tajemnicy, ale uważam, że powinna była pani o wszystkim wiedzieć. Chodzi o sir Montague'a i niektórych jego przyjaciół. Opowieść będzie przykra i pewnie panią zaszokuje.

Elizabeth niczego nie ukrywała przed swą chlebodawczynią. Powiedziała jej o znalezionym fragmencie listu napisanym przez jej męża i o podejrzaniach Daniela. Wyjaśniła, że ludziom, którzy porwali Julię, tak naprawdę chodziło o nią lub samą lady Isadorę, ponieważ chcieli zmusić Daniela do zaprzestania śledztwa.

- To pan Palmer nakłonił ich do uwolnienia Julii - wyjaśniła. - Gdyby nie on, mogłaby zniknąć bez śladu.

- Ale dlaczego kazał im ją wypuścić?

- Bo mu na niej zależy... i właśnie dlatego stanowi słabe ogniwo w tym zbrodniczym łańcuchu. Ma ważne dowody na ich działalność i miał podpisać zeznanie, które mogło doprowadzić sir Montague'a i jego współników przed sąd. Teraz to może się nie udać i dlatego hrabia Cavendish jest zły.

- I to przeze mnie - stwierdziła lady Isadora, niemile zaskoczona. - Ale skąd miałam wiedzieć? Myślałam, że to jakiś niewybredny kawał... z tych, jakie się czasami panom zdarzają po kieliszku. To naturalne, że od razu go wypuściłam.

- Nic dziwnego, że pani to zrobiła, bo i skąd mogła pani wiedzieć, dlaczego się tu znalazła.

- Nie wtrącałabym się, gdyby Daniel mi wyjaśnił, o co chodzi - powiedziała lady Isadora tonem, w którym wciąż dało się słyszeć złość. - Ciebie nie winię, moja droga, bo miałaś prawo znać prawdę... w końcu to dotyczy twojego ojca, a poza tym opatrywałaś rany pana Elworthy'ego i Charlesa Huntera. - W końcu się udobruchała, orientując się jak poważna jest sytuacja. - Co się stanie z panem Palmerem? Skoro chciał zdradzić swoich kompanów, żeby pomóc Danielowi, to pewnie mocno im się naraził?

- Hrabia obiecał, że zapewni mu bezpieczeństwo, być może za granicą. Z pewnością boi się, że prędzej go zabiją, niż pozwolą, by ponownie ich zdradził.

- Nie! - wykrzyknęła lady Isadora z przestraczeniem. - To będzie moja wina, jeśli ten człowiek zostanie zamordowany. Nie miałam pojęcia... to straszne.

- Hrabia Cavendish powinien być panią uprzedzić, przynajmniej z grubsza. Nie może się pani obwiniać.

- Może nie wiedziałam, co robię, wypuszczając Palmera, ale z pewnością ponoszę winę - nie dała się przekonać lady Isadora. - Żałuję, że Daniel mi nie zaufał, ale też po części go rozumiem. Uważa mnie za słabą istotę i chce mnie chronić za wszelką cenę.

- W takim razie musi panią lepiej poznać - stwierdziła Elizabeth z żartobliwym błyskiem w oku.

- Niestety, za późno, by naprawić szkodę.

- Może nie wszystko stracone. Domyślałam się, że lord Cavendish pojechał go szukać i może uda mu się sprowadzić go tu z powrotem.

- No tak... - Lady Isadora westchnęła, trochę spokojniej-

sza. - Przepraszę go za to, co zrobiłam, ale musi się nauczyć, że nie powinien ukrywać przede mną takich spraw.

- Przypuszczam, że już się tego nauczył.

- Miejmy taką nadzieję. - Lady Isadora spojrzała w stronę drzwi. - Myślisz, że panowie do nas dołączą, czy raczej mają inne plany?

Nim skończyła wypowiadać te słowa, drzwi się otwarły i do salonu wszedł nieco niepewnie John Elworthy.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkadzam...

- Ależ skąd - przerwała mu lady Isadora. - Cieszymy się z pańskiego towarzystwa. Czy pozostali panowie też przyjadą?

- Wydaje mi się, że poszli do sali bilardowej albo odwiedzić Charlesa.

- O, nie, panie Elworthy - odezwała się stanowczo Elizabeth. - Nic z tego. Wiem, że chce nas pan oszczędzić, ale wolimy poznać prawdę.

- No cóż, pojechali za Danielem - przyznał John. - Robert obawia się, że może wpaść w tarapaty. Wyjechał taki wzburzony!

Lady Isadora wydała z siebie okrzyk trwogi.

- Jeśli coś mu się stanie, to będzie moja wina!

- Proszę się nie martwić - próbowała ją uspokoić Elizabeth.

- Wierzę, że hrabia Cavendish potrafi o siebie zadbać. Poza tym był bardziej zły na mnie niż na panią, bo się pokłóciliśmy.

- Pokłóciliście się? - zdumiała się lady Isadora. - Nic o tym nie wiedziałam.

- To było raczej nieporozumienie - sprostowała Elizabeth.

- Pewnie już o nim zapomniał.

- Chciałem jechać razem z nim - wtrącił John - ale w końcu doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jak tu zostanę, na

wszelki wypadek. Po tym, co zaszło, Forsythe może szukać odwetu, choć z tego, co mi wiadomo, nadal przebywa w Londynie. Ale z pewnością wróci, jak tylko się o wszystkim dowie.

- Cieszę się, że pan tu jest - wyznała lady Isadora. - I do brze, że wiem, co się dzieje, jakkolwiek bardzo się martwię.
- Uśmiechnęła się cierpko. - Wiem, że wolały mi pan oszczędzić prawdy, gdybym panu na to pozwoliła, ale wtedy wyobrażałabym sobie jeszcze gorsze rzeczy.

- Może zagramy w karty - zaproponował John. - Skoro jest nas tylko troje...

- Doskonały pomysł - ożywiła się lady Isadora. Spojrzała w kierunku okna. - Czas nam szybciej minie, a nie ma sensu, bym się wcześniej kładła, bo i tak nie zmruję oka.

Po północy lady Isadora dała się w końcu namówić do pójścia na górę. Elizabeth chciała podążyć jej śladem, ale John ją zatrzymał, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy.

- Daniel planował jechać do domu Bartona - powiedział.
- Zakładał, że Palmer uda się tam szukać pomocy. Barton jest głupcem i lubieżnikiem, ale według mnie to Forsythe'a powinniśmy najbardziej się obawiać.

- Z pewnością ma pan rację - przyznała Elizabeth. - Ale czy Palmer ośmieli się tam pokazać... w ogóle gdziekolwiek, gdzie jest znany?

- Tego nie wiem, ale z pewnością nie zbliży się do domu Forsythe'a.

Elizabeth pokiwała głową ze zrozumieniem. Rozstali się i poszła na górę do swojego pokoju. Przebrawszy się do snu, usiadła przy oknie i zamyślona patrzyła przez szybę. Minęło zaledwie dziesięć minut, gdy nagle jej uwagę przy-

kuł jakiś ruch w ogrodzie. Z początku widziała jedynie niewyraźny cień pośród krzewów, lecz po chwili, gdy księżyc wynurzył się zza chmur, dostrzegła człowieka skradającego się w stronę domu. Sądząc po sposobie poruszania, nie chciał zostać zauważony. Po momencie wahania Elizabeth zeszła na dół i odnalazła Forresta, drzemiącego na krześle przy drzwiach wejściowych. Kiedy się do niego zbliżyła, otworzył oczy.

- Panno Travers... szuka pani czegoś?

- Wydaje mi się, że będziemy mieli gościa, Forrest.

- Zgadza się, panienko. Jestem gotowy odpowiednio go przywitać. ... - Oboje usłyszeli brzęk tłuczonego szkła i spojrzeli na siebie w milczeniu. - Biblioteka... Proszę tu zaczekać, panienko. Ja się nim zajmę. - Wyciągnął zza pazuchy pistolet otrzymany od Daniela i z groźnym błyskiem w oku ruszył w głąb holu. Jednak nim dotarł do drzwi biblioteki, ktoś stamtąd wyszedł.

- Stać! Bo będę strzelał - rzucił ostro Forrest.

Intruz natychmiast stanął, podnosząc ręce nad głową.

- Proszę nie strzelać! To ja - rozległ się przestraszony głos.

- Opuściłem dom, kiedy lady Isadora mi kazała, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić, ale czekałem na okazję, żeby wrócić...

- Pan Palmer? - odezwała się z niedowierzaniem Elizabeth, choć nie było wątpliwości, że to właśnie nieszczęsnego więźnia ma przed sobą. Wychyliła się zza pleców Forresta. - Wrócił pan, żeby się poddać?

- Cavendish obiecał, że zapewni mi bezpieczeństwo - tłumaczył się Palmer. - Najpierw skorzystałem z okazji i uciekłem, ale potem uświadomiłem sobie własną głupotę i wróciłem, żeby prosić o łaskę. Prawdę mówiąc, nie mam dokąd pójść. Myślałem o tym, żeby zwrócić się do lorda Bartona...

on nie jest aż tak zły jak Forsythe, ale doszedłem do wniosku, że to bez sensu i wróciłem.

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła go Elizabeth z uśmiechem.
- Cieszymy się, że pan żyje, sir, ale obawiam się, że Forrest musi pana zamknąć. Nie dlatego, żeby pan znów nie uciekł, tylko dla pana własnego bezpieczeństwa.

- W porządku - zgodził się bez wahania. Następnie przyglądając jej się z dziwną miną, dodał: - Jeśli pani jest panną Travers, a chyba musi pani nią być, to powinienem panią przeprosić za to, co się stało z pani ojcem.

- Pan tam był?

Palmer przytaknął skinieniem.

- Sir Edwin dostał wino zaprawione narkotykiem i nie wiedział, co robi, panno Travers. Zasugerowano mu stawkę, a on się zgodził, nie wiedząc, co mówi, a potem, kiedy wytrzeźwiał i stwierdził, że został oszukany, Forsythe przyłożył mu pistolet do głowy i... Nie było mnie przy tym, ale słyszałem, jak później tego samego dnia chwalił się tym przed lordem Bartonem.

Elizabeth poczuła łzy pod powiekami.

- Zechce pan to dodać do swojego zeznania, sir? Nie mogę już pomóc ojcu, ale to ważne dla mojego brata.

- Chętnie - powiedział Palmer. - Nie przyłożyłem do tego ręki, choć jestem winien innych podłych czynów.

- Może popełnił je pan nie z własnej woli?

- Jest pani wielkoduszna, panno Travers. - Z jego oczu wycierał wstyd i ból, jakby żałował, że przekroczył granice przyzwoitości, zamykając sobie drogę do godnego życia.

- Zabiorę go na górę, panienko - odezwał się Forrest. - A potem naprawię to wybite okno. Myślałem, że ktoś będzie na zewnątrz strzegł domu przed intruzami.

- Przypuszczam, że hrabia Cavendish wyznaczył swoim ludziom inne zadania - powiedziała Elizabeth. - Zaczekam w bibliotece. Daj mi swój pistolet, Forrest. Użyj go, jeśli ktoś będzie próbował wykorzystać naszą bezbronność.

- Jest pani pewna, panienko?

- Zapewniam cię, że umiem posługiwać się bronią.

Przejawszy pistolet z rąk Forresta, Elizabeth udała się do biblioteki, żeby obejrzeć zniszczenia. Przyszło jej do głowy, że można by założyć dodatkową zasuwę. Zdążyła zapalić trzy świece i szykowała się do zapalenia kolejnych, gdy usłyszała szmer za plecami. Odwróciwszy się, zobaczyła, że drzwi powoli się otwierają. Bez namysłu uniosła broń i wymierzyła w tamtą stronę.

- Elizabeth! Do licha! - wykrzyknął Daniel na widok wycelowanej lufy. - Proszę, niech pani to natychmiast odłoży. Nie wiedziałem, że panią tu zastanę. Śledziłem kogoś i wydawało mi się, że tu wszedł.

- Jeśli ma pan na myśli Palmera, to się zgadza - powiedziała Elizabeth, z ulgą opuszczając ramię obciążone pistoletem. - Proszę mi wybaczyć. Przez moment pomyślałam, że mamy następnego intruza. Forrest zamyka Palmera w pokoju na górze, a ja obiecałam, że popilnuję biblioteki, dopóki nie naprawi okna.

- Niewiele brakowało, żeby mnie pani zastrzeliła - stwierdził Daniel z kwaśnym uśmiechem. Elizabeth sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej i gotowej w razie potrzeby rzeczywiście użyć broni. Nie potrafił zdecydować, co mu się najbardziej spodobało: jej spokój, słodczy uśmiech czy cięty język. - Zatem Palmer zrozumiał, że tylko tu jest bezpieczny?

- Owszem. Obawiam się, że niepotrzebnie trudził się pan pościgiem, sir.

- Niezupełnie. Odkryłem coś ważnego. Lord Barton nie żyje. Pojechałem tam, bo sądziłem, że Palmer może się do niego zwrócić. Według mnie Barton nie był aż tak zdeprawowany jak Forsythe, ale żył w strachu przed swym kuzynem. Kiedy tam dotarłem, okazało się, że Barton palnął sobie w łeb. Wszystko zostało zaaranżowane tak, żeby upozorować samobójstwo, ale oboje wiemy, kto jest odpowiedzialny za jego śmierć. Nawet jeśli sam odebrał sobie życie, musiał to zrobić ze strachu. Musiał być przekonany, że Palmer będzie zeznawał i że w najlepszym razie będzie zrujnowany, a niewykluczone, że czeka go stryżek.

- Ma pan na myśli sir Montague'a Forsythe'a? Nie pierwszy raz zabił kogoś w taki sposób. Mój ojciec...

- Palmer to pani powiedziała? - przerwał jej Daniel, unosząc brwi.

- Tak. Podobno Forsythe się tym przechwalał. Pan Palmer obiecał to dodać do swego zeznania.

- To dobra wiadomość. Wygląda na to, że mamy go w garści, Elizabeth.

- Tak, sir. Na to wygląda.

- Nie Cavendish?

- Nie byłem pewna... - Urwała, widząc, że zaczyna się do niej zbliżać. - Cavendish?

- Chyba pani wie, co do pani czuję?

- Wcześniej był pan na mnie zły - przypomniawszy mu. - Odniosłam wrażenie, że pana obraziłam.

- Nie spodobało mi się to, co pani powiedziała - przyznał otwarcie - ale miała pani słuszność. Forsythe powinien stanąć przed sądem, tak jak należy.

- Cieszę się - odparła z uśmiechem. - Dobrze, że pan Palmer zdecydował się wrócić.

- Owszem, dobrze. Ze względu na niego samego i na nas. Jego zeznanie ostatecznie pograży Forsythe'a. Jak tylko będę miał je w ręku, doprowadzę do aresztowania tego łotra. Najpierw muszę bezpiecznie wyprawić w świat Palmera. Obiecałem, że dam mu pieniądze i wsadzę go na statek. Może jechać, dokąd chce. Nie życzę mu źle, chociaż nie jest bez winy.

- Myślę, że nie on jeden został zdeprawowany przez sir Montague'a Forsythe'a - powiedziała z zadumą Elizabeth. - Co pan teraz zrobi?

- Hilary i Robert odstawią Palmera do portu. Kiedy już znajdzie się na pokładzie wybranego przez siebie statku, dołączą do mnie w Londynie. Wszyscy podpiszemy się na tym dokumencie jako świadkowie, że zeznanie nie zostało złożone pod przymusem... - Uśmiechnął się, widząc pytające spojrzenie Elizabeth. - Obyło się bez użycia siły... nie licząc tej, która była potrzebna, żeby go tu sprowadzić. Ostatecznie wyostał się stąd bez trudu i wrócił z własnej woli.

- Prawda - musiała przyznać. - To chyba wystarczy do aresztowania Forsythe'a i postawienia go przed sądem. Obawiam się jednak, że ma wpływowych przyjaciół, którzy mogą mu pomóc.

- Może trzymać w szachu niektórych swoich znajomych, więc musimy liczyć się z tym, że będą próbować doprowadzić do jego zwolnienia, ale inni z kolei będą zadowoleni z jego uwięzienia.

- Odetchną z ulgą, że już nie może nimi manipulować. Życzę panu powodzenia, Cavendish. Wszyscy poczujemy się bezpiecznie, kiedy ten człowiek wyładuje za kratami. Kiedy pan wyjeżdża?

- Jutro rano, Elizabeth... - Widząc, że zamierza odejść, dał tonem prośby: -Nie zostanie pani jeszcze chwilę?

- Lady Isadora nie wie o pańskim szczęśliwym powrocie - odparła z wahaniem. Wiedziała, że jeśli teraz weźmie ją w ramiona, nie będzie zdolna mu się oprzeć. - Pójdę do niej i... - Urwała gwałtownie, bo drzwi się otwały i do biblioteki wszedł Forrest, a za nim lord Young. - Pewnie macie wiele do omówienia. Muszę już panów opuścić. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział z żalem.

Wchodząc po schodach, Elizabeth myślała o tym, że teraz, kiedy sprawa sir Montague'a dobiega końca, powinna się zastanowić nad swoją przyszłością.

Następnego ranka Elizabeth wstała nieco później niż zwykle. Poprzedniego wieczoru przed pójściem do łóżka pół godziny rozmawiała z lady Isadorą, a potem długo jeszcze nie mogła zasnąć. Słyszała odgłosy kroków na dole, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, w końcu stukot końskich kopyt. Jeźdźców musiało być trzech lub czterech. Pomyślała, że to pewnie Palmer z eskortą odjeżdża na wybrzeże.

Kiedy rano w pokoju śniadaniowym zapytała Amy, czy panowie wyjechali, dowiedziała się, że pozostał tylko pan Elworthy.

- No i pan Hunter - uzupełniła Amy. - Doktor kazał mu wczoraj pozostać w łóżku jeszcze przez tydzień, choć mocno się buntował. Forrest przytapał go dziś, jak próbował wstawać. Do piero pan hrabia przemówił mu do rozsądku i kazał leżeć.

- Hrabia Cavendish też już wyjechał?

- Tak, zaledwie parę minut temu. Pytał o panią, ale powiedziała, że pani jeszcze nie wstała, i kazał pani nie przeszkadzać.

- Dziękuję, Amy. Wierzę, że ta dziwna sprawa się skończyła i znów możemy żyć normalnie.

- Tak, panienko - przytaknęła służąca z uśmiechem.

Jaśnie pan dał jej dwadzieścia gwinei za pomoc, która polegała tylko na tym, że parę razy zaniosła tacę na górę. Zamierzała dołożyć te pieniądze, równe sumie, jaką mogła zarobić przez rok, do oszczędności gromadzonych na wypadek zamążpójścia.

Elizabeth spędziła dzień wyjątkowo spokojnie; lady Isadora drzemała na sofie przez całe popołudnie, podczas gdy ona pracowała nad kościelnym obrusem. John Elworthy zajął się do nich na chwilę, ale zaraz się wycofał, widząc, że lady Isadora śpi.

Kiedy Elizabeth spotkała go ponownie przy herbacie, powiedział, że prawie cały czas przesiedział u Charlesa Huntera, który był niespokojny i rwał się do wstawania z łóżka.

- Kazał przekazać pani podziękowania za opatrzenie rany. Jutro rano ma nadzieję podziękować pani osobiście, panno Travers.

- Moja zasługa jest doprawdy niewielka. Doktor zrobił wszystko, co trzeba. Cieszę się, że mogłam pomóc i że pan Hunter czuje się lepiej.

- Chce jak najszybciej stanąć na nogach. - John popatrzył na nią niepewnie. - Chyba pani nie wie najgorszego, panno Travers, a ja nie mogę pani powiedzieć, bo jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy. Chodzi o Charlesa i jego siostrę.

- Proszę nic więcej nie mówić - przerwała mu Elizabeth. Trochę się orientuję, ale jak sam pan wie, nie powinniśmy o tym rozmawiać. Bardzo współczuję panu Hunterowi. Chyba rozumiem, co czuje.

- No tak... Pani ojciec. - John sposepniał. - Gdybym wówczas wiedział, co się dzieje, mógłbym mu może pomóc.

- To nie była pańska wina. Jestem zadowolona, że sir Montague poniesie zasłużoną karę.

- Tak. Wszystkim nam ulży. Sam nie mogę się doczekać kiedy Forsythe zostanie aresztowany.

- Zatem jesteśmy zgodni w tej kwestii.

- Mam wrażenie, że bylibyśmy zgodni w większości kwestii - powiedział John zmienionym głosem. - Rzadko spotykam kobiety, z którymi tak łatwo się porozumieć

Elizabeth poczuła ciepło rumieńca na policzkach, ale że w tym samym momencie zapowiedziano gościa, uniknęła kłopotliwej sytuacji. Do pokoju wszedł pastor Bell, wyraźnie czymś poruszony.

- Proszę mi wybaczyć to najście, panno Travers - zaczął od progu. - Lady Isadoro... Panie Elworthy... przynoszę szokującą wieści. Lord Barton nie żyje. Mówi się, że został zamordowany przez pana Palmera, który jest znajomym sir Henry'ego. Mówi się też, że to on próbował porwać pannę Giles, a teraz uciekł z kraju.

- Doprawdy? - Elizabeth zerknęła niespokojnie na Johna Elworthy. Skąd mogły wziąć się takie kłamliwe pogłoski?

- Gdzie pan to słyszał, sir?

- Och, cała wieść o tym huczy - odpowiedział pastor. - Byłem wstrząśnięty do głębi i mogłem tylko czuć ulgę, że biedna Julia pojechała do ciotki i nie musi słuchać tych wszystkich plotek. Sir Henry bardzo się zmartwi, kiedy mu o tym napiszę.

- Tak, pewnie się zmartwi - przyznała Elizabeth. - Ale jest pan pewien, że to prawda? Może to tylko zwykłe plotki i domysły?

Wielebny Bell nie krył zaskoczenia jej pytaniem.

- Cóż, podobno to potwierdzone fakty, ale może rzeczy-

wiecie lepiej zachować ostrożność. Tak, lepiej trochę odczekać, aż będziemy pewni, co właściwie się wydarzyło. Cieszę się, że tu przyszedłem, panno Travers. Podobno sir Montague kazał policji ścigać pana Palmera za morderstwo, ale to też może być tylko plotka.

- Myślę, że powinien pan powstrzymać się od rozpowszechniania tej wiadomości - włączyła się do rozmowy lady Isadora, obudziwszy się po raz pierwszy tego popołudnia. - Poza tym, oczekując kilka dni, może pan osobiście pojechać do Bath i przekazać lady Giles wiadomość ode mnie. Postanowiłam wynająć na lato dom w Brighton i byłabym rada, gdyby państwo Giles zechcieli mi dotrzymać towarzystwa, kiedy już się znużą Bath.

- To znacznie lepszy pomysł - przyznał pastor. - Opuścić już państwa, bo muszę złożyć jeszcze jedną wizytę. Mam nadzieję, że spotkamy się wszyscy w niedzielę w kościele.

- Nie zostanie pan na herbatę? - zdziwiła się lady Isadora. Mogę zadzwonić, żeby przyniesiono.

- Jest pani bardzo uprzejma, ale jeden z moich parafian nie domaga i obowiązek wzywa mnie do niego.

- W takim razie nie będziemy pana zatrzymywać - powiedziała lady Isadora.

- Odprowadzę pana do wyjścia, sir - zaproponowała Elizabeth, jako że chciała go o coś zapytać na osobności.

W holu poczekała, aż lokaj poda pastorowi kapelusz i rękawiczki i się oddali.

- Wiadomo panu, czy ostatnio widziano sir Montague'a w tej okolicy? - zapytała, kiedy zostali sami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Wielebny Bell zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał. - Dziwne rzeczy się tu dzieją. Słowo daję, nic z tego nie rozumiem. Całe to zamieszanie

nie wydaje mi się wysoce niepokojące, panno Travers. Miałem do pani przyjść już wcześniej, ale... - Zamilkł, po czym odetchnąwszy głęboko, wyrzucił z siebie: - Musi pani wiedzieć, że bardzo panią szanuję... - Urwał, jakby miał trudności z dobraniem odpowiednich słów.

- Miło, że pan mi to mówi, sir. Uważam pana za przyjaciela i liczę na to, że zawsze tak będzie. - Spojrzała mu prosto w oczy. Pastor otworzył usta, jakby chciał dokończyć wyznanie, ale nie dała mu dojść do głosu. - Proszę pozdrowić ode mnie Julię, jak pan ją zobaczy. Musi pan wiedzieć, że bardzo ją lubię i mam nadzieję, że będzie szczęśliwa... i wiem, że bardzo jej pan pomógł, dodając otuchy w tych ciężkich chwilach, panie Bell. Szczerze mówiąc, uważam, że pan ją uratował. Dobrze, że miała w panu wsparcie. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wracać do lady Isadory.

- Ach... tak, oczywiście... - wyrzucił, nakładając kapełusz na głowę. - Chyba panią rozumiem, panno Travers. - Skłonił się i szybko odszedł.

Elizabeth patrzyła za nim, uśmiechając się pod nosem. Była pewna, że zamierzał jej się oświadczyć, i cieszyła się, że temu zapobiegła. Wracając do salonu, usłyszała przejęty głos lady Isadory.

- Myślałam, że ta sprawa jest już zakończona?

-Będzie zakończona, kiedy Daniel przedstawi dowody - odezwał się John. - To sprytne posunięcie, typowe dla Forsythe'a. Gdyby udało mu się obwinić Palmera o zamordowanie lorda Bartona i porwanie panny Giles, mógłby sam uniknąć odpowiedzialności.

- W takim razie to on musiał rozpuścić te plotki, prawda? Pytałam pastora Bella, czy Forsythe'a widziano ostatnio w naszych stronach, ale nic na ten temat nie wiedział. Ale macie

dowody... Chociaż to jedynie słowo jednego człowieka przeciw słowu drugiego - dodała z zadumą.

- Tak, niestety - potwierdził John. - Wydawało nam się, że mamy wystarczający dowód w postaci podpisanego przez Palmera zeznania, ale Forsythe jest bardzo przebiegły, wręcz diabelsko przebiegły. Byłoby fatalnie, gdyby udało mu się z tego wywinąć.

- No tak... - Lady Isadora westchnęła. - Ubolewam, że zostałam uwikłana w tego rodzaju sprawę. To ponad moje siły. Chętnie wyjadę do Brighton pod koniec miesiąca. Trochę morskiego powietrza wszystkim nam dobrze zrobi.

Elizabeth domyślała się, że irytacja lady Isadory bierze się z niepokoju. Sir Montague Forsythe był niebezpiecznym wrogiem, nieraz zdarzyło mu się zabić. Gdyby uniknął aresztowania, zwalając winę na Palmera, co mogłoby go powstrzymać przed spiskowaniem przeciwko rodzinie hrabiego Cavendisha?

- Uważam, że powinniśmy zaufać hrabiemu - powiedziała stanowczo Elizabeth. Nie zamierzała tracić czasu na bezowocne spekulacje. - Wie, że Forsythe ma współników, i pewnie jest przygotowany na taką ewentualność. Martwimy się na zapas.

- Wiesz, jak mnie pocieszyć - zwróciła się do niej ciepło lady Isadora. - Kiedy tu przybyłaś, myślałam, że powinnam cię wydać za mąż, ale teraz wcale nie mam ochoty z tobą się rozstawać. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, moja droga.

- Na razie nie ma potrzeby o tym myśleć - oznajmiła Elizabeth z uśmiechem. - Jeszcze nikt nie poprosił mnie o rękę i nie wydaje mi się, żeby to miało nastąpić... - Zdumiona spojrzeniem Johna, szybko odwróciła wzrok. - Zostały mi jeszcze dwa tygodnie ścisłej żałoby po matce i nawet nie

rozważam możliwości wejścia w jakikolwiek związek, dopóki okres żałoby nie dobiegnie końca.

- Bardzo słusznie - pochwaliła lady Isadora. - Kiedy pojedziemy do Brighton, będzie po żałobie. Obie potrzebujemy nowych sukien. Każę jutro zaraz z rana przygotować powóz i wybierzemy się do Yorku. Możemy przemocować w gospodzie, a następnego dnia odwiedzimy pewną szwaczkę, z której usług od czasu do czasu korzystam. Na przymiarki będzie przyjeżdżała do nas, ale ma u siebie wielki wybór jedwabi, więc na początek lepiej będzie do niej zajrzeć. Poza tym dawno nie byłam w Yorku, a bardzo lubię to miasto.

- Przyjemna perspektywa - ucieszyła się Elizabeth - zwłaszcza jeżeli pogoda nam dopisze. - Spojrzała pytająco na Johna. - Zechce nam pan towarzyszyć?

- Chyba powinienem - odparł. - Muszę też zacząć myśleć o powrocie do własnego domu, panno Travers. Lady Isadora, goszczę tu już od wielu dni, podczas gdy miałem tylko zjeść obiad. Powinienem wracać do domu i zająć się swoimi sprawami, ale do pojutrze ostatecznie mogą poczekać.

- W takim razie jesteśmy umówieni - powiedziała lady Isadora nie kryjąc zadowolenia. - Pójdę teraz na górę, żeby się przebrać. Może zagrasz nam coś dzisiaj po obiedzie, Elizabeth?

- Bardzo chętnie. - Skierowała się do wyjścia za lady Isadorą, ale John zatrzymał ją chwytając za ramię. - Chciałby mi pan coś powiedzieć?

- Sprawa jest niepokojąca.

- Chodzi panu o plotki rozpuszczane przez sir Montague'a? Tak, istotnie. Jeśli zdoła uciec przed sprawiedliwością, stanie się poważnym zagrożeniem.

- Jeśli rzeczywiście je rozpущa, czy to nie znaczy, że jest

gdzieś w pobliżu? Nie sądzę, by naprawdę wybierał się do Londynu, kiedy pani o tym mówił.

- Tak, to pewnie było kłamstwo. Posłużył się nim, żeby ukryć prawdziwe zamiary - przyznała Elizabeth. - Dobrze, że Daniel kazał swoim ludziom nas ochraniać. Musimy nadal zachowywać ostrożność.

Tego wieczoru towarzystwo miało nieco zwarzone humory. Kiepski nastrój brał się po części stąd, że Charles Hunter dołączył do nich mimo słabej kondycji. Jego urodziwą twarz znaczyły ślady cierpienia, a znając jego sytuację, łatwo było odgadnąć, co go gnębi. Podczas posiłku prawie się nie odzywał, a potem przysiadł na sofie obok Elizabeth.

- Muszę pani podziękować, panno Travers. Chyba byłem trochę szorstki, może nawet nieuprzejmy, kiedy tu przyjechałem, ale znalazłem się w trudnym położeniu.

Elizabeth popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Rozumiem, że jest panu ciężko. Nie powiedziano mi wszystkiego, ale wiem, że cierpi pan po stracie bliskiej osoby.

- Mojej siostry Sary. Ten łotr Forsythe i jego kompani ją porwali... Bóg jeden wie, co jeszcze jej zrobili. Nie będę pani opowiadał przerażających szczegółów. Wierzę, że spoczywa w grobie samobójczyni, wpędzona tam przez tych potworów... - Głos mu się załamał. - Nie spocznę, dopóki nie sprowadzę jej do domu.

- Tak mi przykro. - Elizabeth mogła się domyślać, że Daniel podejrzewa, iż Sara Hunter nie żyje. - Chciałabym powiedzieć coś, co by ulżyło panu w bólu, panie Hunter, ale nie znajduję odpowiednich słów.

- Tylko czas może przynieść ulgę - odpowiedział ze smut-

kiem. - Czas i sprawiedliwość. Jeśli zobaczę, jak Forsythe'a wieszają za jego zbrodnie, dopiero wtedy poczuję, że pomścim Sarę.

- Wszyscy musimy mieć taką nadzieję. - Sama modliła się o to, by Forsythe i jego kompani już nikogo więcej nie skrzywdzili. Wcześniej, kiedy Daniel mówił o samodzielnym wymierzaniu sprawiedliwości, gwałtownie zaprotestowała, ale teraz, patrząc na mękę Charlesa, poczuła żądzę zemsty. Człowiek, który doprowadził go do takiego stanu musiał zostać ukarany! - Chciałabym panu pomóc, ale obawiam się, że niewiele mogę zrobić...

- Daniel przekonał mnie, że należy doprowadzić tych złoczyńców przed sąd - powiedział Charles z zimnym błyskiem w oku. - Jeśli sąd nie zmusi Forsythe'a, żeby zapłacił za swe zbrodnie, to osobiście go zabiję. Nie dbam o to, co się ze mną stanie, ale nie pozwolę mu żyć. Przysięgam to na pamięć mojej ukochanej siostry. Była takim miłym dzieckiem... Bardzo ją kochałem, a ona nawet o tym nie wiedziała.

- Jestem pewna, że wiedziała, sir. Musiała wiedzieć. Założyłem się, że był pan dobrym bratem.

- Starałem się. Dziękuję pani.

Elizabeth miała za złe Danielowi, że unosi się gniewem, ale Charlesowi nie potrafiła odmówić prawa do wyrównania krzywd. Sir Montague zasługiwał na to, by zawisnąć na szubienicy.

- Jestem pewna, że cokolwiek się stało, pańska miłość podtrzymała ją na duchu.

- Jest pani nie tylko piękna, ale i dobra. Gdybym panią poznał wcześniej, przed tym wszystkim... Ale teraz ma pani przed sobą wrak człowieka. Nie ma już we mnie miłości ani czułości, panno Travers. Jest tylko nienawiść. - Uśmiechnął

się gorzko. - Poza tym Daniel mnie uprzedził i nie mógłbym mieć nawet nadziei, że mu panią odbiorę.

Elizabeth pokręciła głową zakłopotana. Czyżby im wszystkim udało się przejrzeć jej uczucia?

- Nie powinien pan....

- Jeśli jeszcze się pani nie oświadczył, wkrótce to zrobi. Teraz muszę panią przeprosić. Wiele mnie kosztowało zejście na dół, ale zbyt długie leżenie w łóżku pozbawia sił, a ja muszę sprowadzić Sarę do domu.

- Jestem przekonana, że hrabia Cavendish robi wszystko, co w jego mocy, żeby panu pomóc.

- Nie myli się pani. Zawsze mogłem na niego liczyć. Daniel jest dobrym przyjacielem, panno Travers. Zasługuje na panią.

- Wstał i kłaniając się lady Isadorze rozmawiającej z Johnem, powiedział: -Przepraszam, ale jestem zmęczony. Życzę państwu dobrej nocy.

- Biedak - powiedziała lady Isadora, kiedy drzwi zamknęły się za Charlesem. - Takie nieszczęście... i do tego jeszcze został postrzelony! Boję się, że może kuleć przez resztę życia.

- Przeniosła wzrok na Johna. - A pan, panie Elworthy... Ramię nadal daje się panu we znaki?

- Prawie wcale. Miałem szczęście, że opatrywała mnie świetna pielęgniarka.

- Elizabeth rzeczywiście jest w tym dobra - przyznała lady Isadora. - No, ale ona we wszystkim jest dobra. Zagrasz nam coś, kochanie?

- Oczywiście.

Ochoczo podniosła się z sofy, zasiadła do fortepianu, otworzyła zeszyt z nutami i kilkakrotnie zgięła i rozprostowała palce. Już miała położyć dłonie na klawiaturze, gdy nagłe w ogrodzie rozległ się huk wystrzału. Zaskoczona wyjrzała

przez okno i zobaczyła przed domem mnóstwo ludzi; niektórzy trzymali zapalone pochodnie. Coś musiało się stać...

- Odsuń się od okna! - zawołała lady Isadora. - Jeśli zamierza pan sprawdzić, co się dzieje, błagam, proszę zachować ostrożność - zwróciła się do Johna, który, poderwawszy się z miejsca, zmierzał ku drzwiom.

- Nie musi się pani o mnie martwić - zapewnił. - Proszę tu zostać, z dala od okien, dopóki nie wrócę.

- O mój Boże! - załkała lady Isadora po jego wyjściu. - Czy to się nigdy nie skończy? Daniel mówił, że już po wszystkim.

- Hrabia Cavendish robi, co może, by doprowadzić tę sprawę do końca. - Elizabeth starała się bronić Daniela. - Proszę się nie martwić. Może to nic poważnego.

- Jak to nic poważnego? - zawodziła lady Isadora. - Przecież wszyscy słyszeliśmy wystrzał.

John wrócił po kilku minutach i powiedział im, że strzał został oddany przez pomyłkę.

- Jednemu z ludzi wydawało się, że widzi postać zbliżającą się do domu i strzelił na postrach, ale teraz uważa, że się pomylił i to był tylko pies buszujący w krzakach.

- Proszę mu powiedzieć, żeby bardziej uważał - poleciła lady Isadora cierpkim tonem. - I bez tego mam nerwy w strzępach. Jestem pewna, że przez całą noc nie zmruczę oka.

- Myślę, że możemy spać całkiem spokojnie, skoro jesteśmy tak dobrze strzeżeni - powiedziała Elizabeth. - Nie zamierzam przejmować się tym drobnym incydentem. A teraz coś zagram.

Podeszła do instrumentu i zaczęła grać przyjemny dla ucha, melodyjny utwór. Od momentu, gdy pastor Bell powiadomił ich o plotkach, wiedziała, że sir Montague jeszcze przysporzy im kłopotów. Będzie starał się za wszelką cenę uniknąć

aresztowania i, żeby ukarać hrabiego Cavendisha, zaatakuj najbliższe mu osoby.

Musieli zachować czujność, ale nie wolno im było wpaść w panikę, bo to mogłoby ich zgubić. Elizabeth postanowiła nie ulegać lękom. Ufała Danielowi i była pewna, że zrobi wszystko, co trzeba, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Przyjemnie było odwiedzić tętniące życiem miasto. York rozkwitał dzięki handlowi wełną i wszędzie można było zobaczyć eleganckie domy, świadczące o zamożności mieszkających w nich kupców. Elizabeth rozejrzała się z ciekawością, kiedy ich powóz zjechał przed wygodny zajazd niedaleko głównego placu. Zabudowania wyglądały bardzo schludnie, a gdy powóz wtoczył się na dziedziniec, natychmiast otoczyli ich usłużni stajenni.

Jeden z nich, młody chłopiec, omiótł ścieżkę prowadzącą do wejścia, żeby przypadkiem panie nie ubrudziły sobie sukien. John rzucił mu monetę, a Elizabeth podziękowała z wdzięcznym uśmiechem. Gospodarz zajazdu wyszedł na zewnątrz, żeby ich powitać.

- Lady Isadora, jakże miło znów panią gościć.

- Czy mój człowiek poinformował was o naszych potrzebach? - upewniła się. - Mam nadzieję, że trzymacie dla nas trzy najlepsze pokoje i osobną jadalnię, żebyśmy mogli spożywać posiłki tylko we własnym gronie?

- Oczywiście, proszę pani. Wczoraj nocował u nas pewien ważny dżentelmen, ale dziś rano się wyprowadził, więc najlepszy pokój jest wolny, dwa inne także są gotowe. Przez cały czas pobytu będą też państwo mogli korzystać z osobnej jadalni i saloniku.

- Dziękuję, panie Hanlon - powiedziała lady Isadora. -

Proszę nas zaprowadzić do naszych kwater, a ogarniemy się trochę i zjedziemy na kolację. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostaniemy na noc i wyjedziemy jutro po południu. Przyjechałyśmy zamówić nowe stroje.

- Pośle wiadomość do pani Barber, że odwiedzą ją panie jutro rano - zaoferował gospodarz. - Oczywiście, jeśli panie sobie tego życzą.

- To dobry pomysł, dziękuję. - Lady Isadora pokiwała głową. - Może tu do nas zajrzeć dziś wieczorem, jeśli ma ochotę, ustalimy wtedy dogodną dla wszystkich godzinę jutrzejszej wizyty.

Pojawiła się żona właściciela zajadu. Najwidoczniej znała lady Isadorę z poprzednich pobytów, bo z ożywieniem zaczęła jej opowiadać o tym, co się dzieje w mieście i o zamieszkach, jakie kilka dni wcześniej miały miejsce w okolicy.

- Ludzie opowiadają niestworzone rzeczy o pożarze w miejscowym młynie - mówiła. - Pracownicy już od pewnego czasu narzekali na panujące tam warunki i teraz obwiniają rządzącego, choć prawdę mówiąc, on tylko robił to, co mu kazał właściciel.

- Ktoś ucierpiał? - spytała Elizabeth.

- Tak, kilku robotników zostało poparzonych, a trzech zginęło - odparła pani Hanlon. - Pracownicy mieli dość i rozpoczęli protest, a inni się do nich przyłączyli. Przez kilka dni wyglądało to naprawdę niedobrze, aż władze interweniowały ale chyba już jest po wszystkim.

- Kto jest właścicielem młyna? - dociekała Elizabeth. - Da jakieś odszkodowania tym robotnikom, którzy ucierpieli?

- Mało prawdopodobne, panienko. Sir Montague Forsythe nie słynie w tych stronach ze szczodrości. Powiedziałabym raczej, że był wyjątkowo zniechęconym pracodawcą.

- Rozumiem - mruknęła Elizabeth. - To prawdziwe nie-szczęście.

Zamyślona udała się wraz z resztą towarzystwa na górę. Wszystko wskazywało na to, że sir Montague jest nie tylko mordercą i oszustem. Tym bardziej nie mógł wiecznie pozostawać poza prawem.

Zjedli smaczny obiad w zajeździe, po czym John Elworthy zaproponował krótki spacer po mieście, żeby panie mogły się rozerwać, oglądając witryny eleganckich sklepów. Elizabeth chętnie się zgodziła, natomiast lady Isadora oznajmiła, że woli posiedzieć wygodnie w przydzielonym im prywatnym saloniku.

- Zostanę i porozmawiam z panią Barber. Lepiej, żeby wiedziała, czego od niej oczekujemy, zanim odwiedzimy jej pracownię - wyjaśniła.

- Wolałaby pani, żebym została?

- Nie ma potrzeby, moja droga. Przejdź się z panem Elworthym. Doskonale dam sobie radę.

Ulice nie były już tak zatłoczone jak w chwili ich przyjazdu do miasta, ale w rejonie, gdzie mieściły się najlepsze sklepy, napotkali przechodniów.

- Bardzo tu przyjemnie - stwierdził John. - Rozumiem, że jest pani w Yorku po raz pierwszy, panno Travers?

- Owszem. Przejeżdżałam tędy w drodze do Cavendish Hall, ale nie miałam okazji zajrzeć do sklepów.

- Uważam, że niektóre z nich dorównują tym najlepszym w Londynie - powiedział John, kiedy przystanęli przed wystawą prezentującą wyroby ze srebra. - Życie w tej części kraju nie jest takie złe, choć oczywiście moja matka zawsze spędza kilka tygodni podczas sezonu w stolicy.

- Pewnie lubi się spotykać ze swymi londyńskimi znajomymi?

- Nawet bardzo... jakkolwiek mamy też paru miłych sąsiadów mieszkających niedaleko Elworthy. Trochę ich zaniedbałem, bo po powrocie z wojska byłem mocno zajęty, ale naprawię to, kiedy się ożenię.

- Nie wątpię. - Dotarli do końca zabudowań i stanęli. W oddali, przy końcu ulicy, rozpościerał się malowniczy park. - Byłam w Londynie tylko raz. Lubię życie na wsi, chociaż sezon w stolicy z pewnością ma swoje uroki.

- O, tak - potwierdził ochoczo John. - Sam lubię tam pobyc parę tygodni. Rozumiem, że lady Isadora planuje wyjazd do Brighton pod koniec miesiąca. Nie przepadam za tym miastem, ale na krótko mogę pojechać... - Urwał, kiedy Elizabeth znieacka położyła mu dłoń na ramieniu. - Coś panią zaniepokoiło?

- Wydaje mi się, że widziałam... Czy to nie hrabia Cavendish? Widzi go pan? Przy bramie parku. Powozi bryczką, w której... siedzi jakaś kobieta.

- Ach, tak, chyba ma pani rację, panno Travers. Chciałaby pani z nim pomówić?

- Nie, raczej nie - powiedziała szybko Elizabeth. - Sądziłam, że wyjechał do Londynu.

- Tak? Sam nie wiem... Ma przyjaciół w Yorku... Jeden z nich zajmuje wpływowe stanowisko, jest sędzią. Może postanowił podzielić się swymi ustaleniami z lordem Sawstonem.

- Może źle go zrozumiałam, bo rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Chyba powinniśmy wracać do gospody.

Zaskoczył ją widok Daniela Cavendisha w Yorku... w dodatku w towarzystwie urodziwej kobiety, która uśmiechała się do niego w sposób świadczący o dużej zażyłości. Eliza-

beth musiała w duchu przyznać, że poczuła ukłucie zazdrości. Wracła ze spaceru tak pogrążona w myślach, że kiedy mijali przeszkloną kawiarnię, nie zauważyła siedzącego w środku sir Montague'a Forsythe'a. Nie mogła więc też wiedzieć, że zaraz potem opuścił kawiarnię i śledził ich aż do gospody, w której się zatrzymali.

Scandalos

Rozdział dziewiąty

- O, jesteś już, moja droga - ucieszyła się lady Isadora, kiedy Elizabeth dołączyła do niej w saloniku. - Przyjemnie było na spacerze?

- Owszem, bardzo - odpowiedziała Elizabeth. Zastanawiała się, czy powiedzieć lady Isadorze o tym, że widziała jej syna, ale postanowiła tego nie robić. W końcu nie powinno jej obchodzić, czy przedstawił dowód przeciwko sir Montague'owi w Yorku, czy w Londynie... A co do towarzystwa tej pięknej damy... Nie miała prawa do żadnych oczekiwań w stosunku do hrabiego Cavendisha, mimo iż dał jej do zrozumienia, że mu się podoba.

Czy powiedział jej to otwarcie? Nie mogła sobie przypomnieć. Chwalił jej opanowanie w trudnych sytuacjach, ale nie zwracał się do niej tak, jak mężczyzna zwraca się do ukochanej kobiety. Oczywiście, że nie, ponieważ nie żywił do niej tego rodzaju uczuć. Rozbudzanie w sobie nieuzasadnionych nadziei nie miało sensu. Serce ścisnęło jej się z bólu, ale nie dała po sobie poznać, że cierpi.

- Pani Barber wstąpiła tu pod twoją nieobecność - oznajmiła wyraźnie zadowolona lady Isadora. - Powiedziałam

jej, że każda z nas potrzebuje co najmniej dwóch nowych sukien na dzień i dwóch wieczorowych. Na razie to chyba wystarczy. Możemy przecież dokonać dalszych zakupów w Brighton, zorientowawszy się w najświeższej modzie. Tu, w Yorku, nie zauważyłam nowych fasonów, ale gdzie indziej może być inaczej. Nie wiem, jakie kolory lubisz najbardziej, moja droga, ale chyba będzie ci do twarzy w zielonym i niebieskim?

- To moje ulubione - przyznała Elizabeth - chociaż od paru tygodni kusi mnie ta suknia z żółtego jedwabiu, którą pani dla mnie kupiła. Dotąd jeszcze jej nie nosiłam, ale chętnie wystąpię w niej w Brighton... o ile pani uważa, że jest stosowna dla mojej pozycji.

- Jesteś mi droga jak rodzona córka - zapewniła lady Isadora z uczuciem. - Zaproponowałam ci posadę damy do towarzysstwa tylko dlatego, żeby nie urazić twojej dumy, Elizabeth, ale stałaś się moją przyjaciółką. Chciałabym cię zatrzymać przy sobie na zawsze, moja droga.

- Jest pani dla mnie bardzo dobra. I jestem szczęśliwa w pańskim domu. Smutno byłoby mi go opuszczać...

Westchnęła, myśląc o niepewnej przyszłości. Może nie będzie w stanie zostać z lady Isadorą, choć wcale nie miała ochoty się z nią rozstawać. Jednak jak mogłaby przebywać w tym domu, kiedy hrabia Cavendish sprowadzi do niego piękną żonę?

Tego wieczoru zjadły kolację bez Johna Elworthy'ego, który nie mógł im towarzyszyć, zajęty własnymi interesami. Potem długo rozmawiały głównie o szczęśliwych czasach dziewczęcej przyjaźni lady Isadory z matką Elizabeth. O dziewiętej lady Isadora oświadczyła, że chce udać się na spoczynek i razem weszły na górę.

Elizabeth nie czuła się jeszcze senna, więc usiadła w swoim pokoju i wyglądała przez okno. Zatopiona w myślach o hrabim Cavendishu, nie miała pojęcia o tym, że ktoś ukryty w mroku obserwuje jej okno.

- Do licha, John! - zrywał się Daniel. - Nie mogłeś ich namówić, żeby odłożyły wyjazd o kilka dni... przynajmniej dopóki sprawa nie będzie zakończona?

- Lady Isadora była mocno poirytowana tym wszystkim, co się wydarzyło - próbował się tłumaczyć John. - Nie sądzę, że by dała się przekonać, nawet gdybym próbował. Pozostawo mi jedynie pojechać z nimi.

- No cóż, to nie twoja wina. To prawda, mama pewnie i tak by cię nie usłuchała. Mam nadzieję, że zabrałeś kilku naszych ludzi?

- Kazałem im jechać za nami w pewnej odległości, ale liczyłem na to, że już jest po wszystkim.

- Przetawiłem sprawę Sawstonowi, ale Forsythe mnie uprzedził, zwracając się wprawdzie nie do Sawstona, ale do innego sędziego. Zwalił na Palmera winę za zamordowanie Bartona, więc mamy słowo przeciw słowu. Sawston mi wierzy, oczywiście, ale twierdzi, że ma związane ręce. Nawet gdyby kazał aresztować Forsythe'a, ten łotr wkrótce by wyszedł za łapówkę.

- Co w takim razie powinniśmy zrobić?

- Forsythe jest w Yorku. Bywa w pewnym klubie hazardowym. Spróbuję się z nim spotkać dziś wieczorem i wyzwę go na pojedynek. Jeśli podejmie wyzwanie... problem tak czy inaczej będzie rozwiązany.

- Masz na myśli to, że jeden z was padnie trupem - rzekł ponuro John. - To honorowy sposób załatwienia sprawy, bez wątplenia, ale czy on na to zasługuje? Są tacy, którzy chętnie

poderżnęliby mu gardło za garść gwinej. To chyba wystarczy na takiego typa?

- Sam miałem taką pokusę - przyznał niechętnie Daniel. Od razu przypomniało mu się, jak Elizabeth oceniła jego zamiary. - Niewielu będzie po nim płakać, ale to by było morderstwo i zlecając je, okazałbym się niewiele lepszy od Forsythe'a.

- Raczej sprawiedliwe zabójstwo - zaproponował John. - Został uznany za winnego wielu zbrodni. Wierzę, że Palmer mówił prawdę o porwaniu Sary Hunter i o tym, że mieli ją wykorzystać do swoich pogańskich rytuałów. Nie wiemy na pewno, czy to ona spoczywa w tym samobójczym grobie, ale wydaje się to prawdopodobne. Wiemy, że był odpowiedzialny za zamordowanie ojca panny Travers, i już za to zasługuje na najsurowszą karę. Gdyby nie było innego wyjścia, wziąłbym na siebie winę za egzekucję Forsythe'a. Pozwól mi się tym zająć.

- Najpierw spróbuję się z nim spotkać - powiedział stanowczo Daniel. - Jeżeli nie uda mi się nakłonić go do pojedynku, to nie będziemy mieli innego wyjścia, jak zlecić egzekucję.

- Dobrze. Ale będziesz musiał go zabić. Żadne inne rozwiązanie nie wystarczy.

- Tak, wiem. Może będę musiał na jakiś czas opuścić kraj, dopóki skandal nie przycichnie, ale uważam, że warto zapłacić tę cenę.

- Jeśli ty go nie zabijesz, zrobi to Charles. W przeddzień naszego wyjazdu z Cavendish zwołkł się z łóżka, żeby zjeść z nami kolację. Chce jak najszybciej sprowadzić ciało Sary do domu. Kiedy tego dokona, zabierze się za Forsythe'a.

- Tak czy inaczej, wydaje mi się, że dni sir Montague'a są policzone - stwierdził Daniel. - Ale właściwie skąd wiedziałeś, że jestem w Yorku?

- Panna Travers zauważyła cię dziś po południu, jak jechałeś bryczką od strony parku. Wiedziałem, że zwykle tu się zatrzymujesz, więc przyszedłem w nadziei, że cię zastanę.

- Zatem widziała też Lucindę Sawston - zauważył z zadumą Daniel.

- Była zdziwiona twoją obecnością w Yorku, sądziła, że pojechałeś do Londynu.

- Bo taki miałem zamiar - przyznał Daniel - ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie porozmawiać ze Sawstonem. To wybitny prawnik, a chciałem się upewnić, czy zeznanie Palmera wystarczy. - Zaklął w duchu, wyobrażając sobie, co Elizabeth mogła pomyśleć, widząc go z piękną kobietą. Nie wiedziała, że Lucinda Sawston, siostra jego przyjaciela, wkrótce ma zostać szczęśliwą mężatką. - Jak długo moja matka zamierza pozostać w Yorku?

- Rano wybierają się do krawcowej, a potem chyba będą wracać do domu.

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, odwiedzę mamę jutro w południe.

- Pozwolisz mi być swoim sekundantem w tym pojedynku?

- Oczywiście, jeśli sobie życzysz.

- Będę z tobą w tej sprawie aż do końca - obiecał John. - Wolałbym, żebyś wybrał inne rozwiązanie, ale muszę uszanować twoją decyzję.

- W takim razie zjemy razem kolację, zanim udam się do tej jaskini hazardu.

Elizabeth spała całkiem nieźle, jako że łóżko było wygodne, a pokój dobrze wywietrzony. Mimo to o siódmej była już na nogach. Kiedy zjawiła się w saloniku na dole, właścicielka gospody powitała ją ze zdumieniem.

- Nie spodziewałam się panienki tak wcześnie - stropiła się.
- Jeśli pani chce, to za jakieś dwadzieścia minut mogę podać śniadanie.

Elizabeth podziękowała jej za dobre chęci, dodając:

- Wyjdę na krótki spacer. Jeśli to nie sprawi pani zbyt wiele kłopotu, chętnie zjem śniadanie za godzinę.
- Żaden kłopot, panienko - zapewniła gospodyni z życzliwym uśmiechem. - O tej porze na ulicach nie ma tłoku, trafiają się tylko mleczarki i ranne ptaszki.
- Spacer doda mi apetytu. Widziałam wczoraj na wystawie śliczny czepek i pomyślałam, że pójdę go jeszcze raz obejrzeć, zanim zdecyduję się na zakup.
- Słusznie, panienko - pochwaliła pani Hanlon. - Najlepiej samej obejrzeć na spokojnie. Panowie nie znają się na takich rzeczach.

Elizabeth uśmiechnęła się do sympatycznej kobiety i wyszła z gospody. W sakiewce przywieszonej do paska miała kilka gwinej, przyszło jej więc do głowy, że nim zacznie w Brighton nosić kolorowe stroje, mogłaby ożywić czerń żałoby niebieskim aksamitnym czepkiem. Lady Isadora wykazała wielkoduszność, kupując jej nowe suknie, jednak Elizabeth zależało na zachowaniu odrobiny niezależności.

Sklep modystki znajdował się po drugiej stronie główne-go placu, ale uznała, że może tam pójść sama; w środku miasta czuła się całkiem bezpieczna. Na ulicach rzeczywiście było niewielu ludzi: kilku przekupniów zajętych własnymi interesami, mleczarka obładowana konwiami. Jakaś kobieta zbierała do wiadra odchody zostawione na placu przez konia, dwójka dzieci bawiła się, tocząc drewnianą obręcz, straganiarz rozkładał swoje stoisko.

Elizabeth stanęła przed sklepem, zastanawiając się nad pla-

nowanym zakupem, gdy nagle podszedł do niej jakiś chłopiec i poprosił o drobny datek na chleb. Zawahała się, ale sięgnęła po monetę, lecz w tym samym momencie urwis wyrwał jej sakiewkę z dłoni i uciekł w boczną uliczkę. Elizabeth bez namysłu rzuciła się za nim w pościg.

Chłopiec nie odbiegł daleko, gdy jakiś elegancko odziany mężczyzna zastąpił mu drogę, odbierając skradziony łup. Następnie, natarłszy łobuziakowi uszu, puścił go wolno i odwrócił się z uśmiechem do Elizabeth.

- Dziękuję panu - wykrztusiła zdyszana po szybkim biegu. - Nie ma tam wiele pieniędzy, ale nie chciałam stracić sakiewki.

- Cieszę się, że mogłem się pani przysłużyć - powiedział, wyciągając do niej rękę z jej własnością.

Elizabeth zrobiła dwa kroki w jego stronę, z dziwnym przecuciem, że coś jest nie w porządku. Odzyskanie sakiewki nastąpiło podejrzanie łatwo, a do tego nie spodobał jej się wyraz oczu nieznanego. Zastygła w pół kroku, zastanawiając się gorączkowo, jak powinna postąpić, bo wiedziała już, że to pułapka. Jednak gdy próbowała się odwrócić, ktoś chwycił ją mocno od tyłu.

- Nie ruszaj się, to nic ci się nie stanie - usłyszała niski głos tuż przy uchu. - On chce cię mieć żywą...

Chciała krzyknąć, ale załonił jej usta dłońią, w której trzymał chustkę nasączoną jakimś cuchnącym płynem. Zakręciło jej się w głowie; wciąż jeszcze była przytomna, kiedy podjechał do nich powóz, ale zaraz potem otumaniły ją trujące opary.

- On wie, że go szukasz - powiedział John do Daniela tego ranka przy śniadaniu, które jedli razem w gospodzie, gdzie nocowali. Poprzedni wieczór spędzili, wędrując po różnych

klubach gier i bezskutecznie szukając sir Montague'a. - Zapadł się pod ziemię, bo wie, że nie zostawisz tej sprawy w spokoju.

- Być może... Był tu dwa dni temu, widziano go w tym klubie. Myślę, że chciał pokazać, że czuje się bezkarny, zagrać mi na nosie. Ale czuję, że coś się zmieniło.

- Po prostu uciekł - podsunął John. - Może bardziej obawia się twoich dowodów, niż sądziłeś.

- Chciałbym, żeby tak było. Niepokoję się, John. Powiniennem zaraz po śniadaniu odwiedzić mamę. - Zaczynał w nim narastać strach, że sir Montague znów go przechytrzył.

- Chyba nie sądzisz, że lady Isadorze lub pannie Travers może coś grozić?

- Biorę to pod uwagę - odparł poważnie Daniel. - Jeśli Forsythe odkrył, że są w Yorku, mógł uznać to za dobrą okazję, żeby uderzyć we mnie.

- W takim razie chodźmy tam natychmiast. I tak nie mam apetytu. Nie znam spokoju, dopóki się nie upewnię, że są bezpieczne.

Mniej więcej w tym samym momencie, gdy Daniel z Johnem opuszczali miejsce swego noclegu, lady Isadora po raz pierwszy zeszła do saloniku. Napotkawszy po drodze gospodynię z tacą, spytała o Elizabeth.

- Nie ma jej, proszę pani - odpowiedziała pani Hanlon. - Wcześniej rano wyszła na spacer i powiedziała, że za godzinę wróci na śniadanie, ale nie wróciła. Zabrałam tacę, bo czekałada całkiem wystygła.

- To bardzo dziwne. Wyszła sama?

- Tak, proszę pani. Ten dżentelmen, który paniom towarzyszy, nie nocował tutaj. Kiedy pokojówka poszła rano sprzątnąć jego pokój, pościel na łóżku była nietknięta.

- To tym bardziej niezwykle. - Lady Isadora zaczęła się niepokoić. - Czy panna Travers mówiła, dokąd się wybiera?

- Wydaje mi się, że chciała obejrzeć coś, co poprzedniego wieczoru widziała na wystawie sklepu modystki po drugiej stronie placu. Mówiła, że nie zabawi długo.

- Zaczekam na nią w saloniku. Proszę ją do mnie przysłać, jak tylko się zjawi. A gdyby wrócił pan Elworthy...

- Tak, oczywiście, proszę pani - wpadła jej w słowo gospodyni. - Jak tylko go zobaczę.

Lady Isadora weszła do saloniku i stanęła przy oknie. Wglądając na ulicę, zastanawiała się, czy powinna zacząć szukać Elizabeth. Dziewczyna w ogóle nie znała Yorku, mogła omyłkowo skrócić w złą przecznicę. Już miała wezwać pokojówkę, żeby ją wysłać na poszukiwania, gdy nagle drzwi się otwały i wszedł jej syn z Johnem Elworthym. Powitała ich okrzykiem ulgi.

- Dzięki Bogu, że jesteście! Elizabeth zaginęła... - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Wcześniej rano wyszła na spacer, ale nie wróciła po godzinie na śniadanie, jak obiecywała.

- Wielki Boże! - John spojrzął na Daniela z przerażeniem. - Sądziś, że wpadła w jego łapy?

- Co pan ma na myśli? - zawołała piskliwie lady Isadora. - W czym łapy? Chyba nie tego straszego człowieka? Myślałam, że już jest po wszystkim, Danielu. Dlaczego go nie aresztowano?

- Zeznanie Palmera nie wystarczyło. Sądziłem, że zostanie uznane przez sąd, ale Sawston powiedział, że potrzebujemy czegoś więcej. Prawdę mówiąc, mam, Forsythe okazał się sprytniejszy od nas. Ubiegł mnie, składając zeznania przeciw Palmerowi.

- Co teraz zrobimy? - Lady Isadora aż się trzęsała ze zdener-

wowania. - Po co w ogóle mieszałeś się w tę historię? Jeśli coś się stanie Elizabeth, ja będę za to odpowiedzialna.

- Nie bardziej ode mnie - powiedział grobowym głosem Daniel. Przepełniony żalem, wyrzutami sumienia i bolesną tęsknotą za Elizabeth ledwie był w stanie mówić. - Czy ktoś zaczął jej szukać?

- Nie, bo dopiero co usłyszałam, że jej nie ma.

- Zatem wybacz, mam, ale muszę natychmiast zorganizować poszukiwania. John, bierzemy się do roboty.

- A co ja mam rozbić? - spytała z rozpaczą lady Isadora.

- Na razie tu zostań - polecił jej syn. - Wezwij krawcową albo idź do niej, ale nie mogę ci zapewnić ochrony, jeśli zechcesz wracać do domu. Potrzebuję wszystkich ludzi, jakich mam, do szukania Elizabeth.

- Danielu...

Syn jeszcze nigdy nie zwracał się do niej tak ostrym tonem; odczuła to tym boleśniej, że bardzo potrzebowała pocieszenia.

- Proszę nam wybaczyć - wtrącił się John, widząc jej zmartwioną minę. - To poważna sprawa, bo jeśli jej nie znajdziemy. ..

Nie kończąc zdania, szybko podążył za Danielem.

Po ich wyjściu lady Isadora bezradnie patrzyła na zamknięte drzwi saloniku. Miała ochotę się rozpłakać, choć wiedziała, że to nie przyniesie żadnego pożytku. Siedzenie na miejscu i zamartwianie się także nikomu nie mogło pomóc. Postanowiła więc odwiedzić panią Barber i zamówić próbki jedwabi na nowe suknie, żeby Elizabeth po powrocie mogła wybrać odpowiednie kolory na swoje suknie.

Nie potrafiła myśleć o przyszłości, w której nie byłoby Elizabeth, ponieważ tak bardzo ją polubiła, podobnie jak Daniel.

Nagle uświadomiła sobie, że syn tak mocno przejął się zaginięciem Elizabeth, ponieważ zależało mu na niej bardziej, niż mogłaby się spodziewać.

- Proszę, niech nic złego jej się nie stanie - modliła się w duchu. - Proszę, niech Elizabeth wróci do nas cała i zdrowa.

W tym samym czasie Daniel wydawał komendy swoim ludziom, przerażony na myśl o tym, że Elizabeth mogła się znaleźć na łasce prawdziwego potwora.

Czuła ból głowy. Nie straciła przytomności do końca wrywała się, więc chustka trzymana przez napastnika nie zakryła całkowicie jej nosa i dzięki temu Elizabeth wchłonęła niewiele trującej substancji. Od pewnego czasu leżała z zamkniętymi oczami na siedzeniu powozu, walcząc ze słabością i nudnościami, w pełni świadoma tego, że została porwana.

Stopniowo, w miarę jak zaczynała czuć się lepiej, docierało do niej, co się stało. Sir Montague musiał być w Yorku. Zobaczył ją, rozpoznał i wiedząc o śledztwie hrabiego Cavendisha postanowił ją porwać w nadziei, że będzie mógł szantażować Daniela. A może porwanie było jedynie aktem zemsty?

Gdyby sir Montague po prostu chciał się zemścić, mógł ją od razu zabić. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że w trosce o własną skórę będzie próbował ubić interes z Danielem.

Starając się myśleć logicznie, Elizabeth zastanawiała się, co może zrobić, by sir Montague nie uniknął sprawiedliwej kary. Czy powinna próbować ucieczki? Dokąd ją zabierali? Pewnie do jakiegoś domu. Do posiadłości sir Montague'a albo gdzieś indziej, gdzie będzie uważnie pilnowana. Dlatego lepiej uciec

wyskakując z powozu przy pierwszej okazji. Może woźnica zatrzyma się z jakiegoś powodu i wówczas uda jej się zaskoczyć prześladowców...

Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że nie by w ten sposób nie zyskała. Nawet gdyby udało jej się zbiec, nie miała żadnego dowodu, że to sir Montague Forsythe kazał ją porwać; Natomiast udając oszołomienie i przerażenie sytuacją, mogła zdobyć dowód, którego Daniel tak bardzo potrzebował, by postawić swego wroga przed sądem.

Tylko czy wystarczy jej odwagi? Żałowała, że nie ma przy sobie pistoletu ojca. Mogła liczyć wyłącznie na swój rozum i spryt. Zdawała sobie sprawę, że może będzie żałować, iż jednak nie uciekła, lecz pocieszała się myślą, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, przyczyni się do upadku wyjątkowo podłego złoczyńcy. Wierzyła, że Daniel po nią przyjedzie.

Daniel i John zsiadli z koni na placu przed zajazdem i udali się do lady Isadory, która siedziała w saloniku, zapatrzona przed siebie niewidzącym wzrokiem. Na ich widok wyraźnie się ożywiła.

- Znaleźliście ją?
- Nie, mamó - odparł grobowym tonem Daniel. - Jakby zapadła się pod ziemię.
- Musiała zostać porwana jak biedna Julia - stwierdziła przerażona lady Isadora. - Myślicie, że ją też wypuszczą?
- Nie mogę... - Daniel urwał gwałtownie, bo do pokoju weszła gospodyni, trzymająca coś w ręce. - O co chodzi?
- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale właśnie nadszedł list do jaśnie pani.
- List? Proszę mi go dać! - Daniel wyciągnął rękę po koper-

te zalepioną woskiem, otworzył ją i przebiegł wzrokiem skąpa treść. - Czy to pismo Elizabeth, mamó?

Lady Isadora wzięła od niego list i szybko przeczytała nie-liczne linijki. Zmarszczyła czoło.

- Niby podobne, ale nie jestem pewna... Elizabeth by tego nie napisała, Danielu.

- A co jest tam napisane? - włączył się John.

- Że musiała nagle wyjechać do domu - odpowiedział Daniel. -Nie, John, mama ma rację. Elizabeth nie wyjechałaby tak niespodziewanie i nie przysłałaby takiego listu. Powiedziałyby mamie, gdyby się coś stało... Poza tym ona nie ma własnego domu. Można więc wnioskować, że Forsythe chce tym listem zyskać na czasie.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się lady Isadora. - Nie rozumiem. Jeśli chce okupu za Elizabeth, dlaczego od razu o tym nie napisał?

- Może to część tortury, którą chce zadać - odparł Daniel. - Chce, żebyśmy cierpieli, nie wiedząc, co się z nią stało, i martwiąc się jej zniknięciem.

- Żeby dojrzeć do zapłacenia każdej ceny, kiedy pojawi się możliwość odzyskania Elizabeth - dodał John. - Sprytne.

- Musicie coś zrobić! - zawołała lady Isadora. - Nie mogę znieść myśli, że tej dziewczynie znowu dzieje się krzywda. Biedactwo, musi być przerażona.

- Tak sądzisz? Elizabeth zwykle zachowuje zimną krew w trudnych sytuacjach. Może to przyczyni się do jego zguby. - Wiara w odwagę Elizabeth i jej inteligencję pomogła Danielowi się opanować.

- Co masz na myśli? - Lady Isadora była zbyt roztrzęsiona, by dać się ułagodzić. - Przecież ona znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie.

- Owszem, temu nie da się zaprzeczyć - przyznał. - Nie wiemy, dlaczego ją porwał, ale ona wie, co się stało, a ja mocno wierzę w jej pomysłowość.

- Nie rozumiem, jak możesz być tak spokojny! Czyżby w ogóle ci na niej nie zależało? - rzuciła oskarżycielskim tonem lady Isadora.

- Nie, nie, źle go pani ocenia - wtrącił John. - Daniel jest przejęty losem Elizabeth, podobnie jak pani i ja.

- Może nawet bardziej, niż sobie wyobrażasz - powiedziała ciicho Daniel - ale ten list upewnił mnie co do jednego. Forsythe nie ma zamiaru ukryć jej w żadnym przybytku rozpusty.

- Uważasz, że będzie ją trzymał przy sobie?

- To ma mnie zbić z tropu - wyjaśnił Daniel. - Wydaje mi się, że Forsythe zadziałała pod wpływem impulsu i teraz potrzebuje czasu, żeby wymyślić jakiś plan. Jestem pewien, iż zabrała ją do swojej posiadłości. Tam pojedę jej szukać.

- A co ja mam robić? - spytał John.

- Będę ci wdzięczny, jeśli odwieziesz mamę do domu. Zabiorę ze sobą dwóch ludzi, pozostali mogą jechać z wami. Proszę cię, żebyś pozostał w Cavendish, dopóki się nie odezwę. A gdyby wrócił Hilary lub Robert, powiedz im, że mogą być potrzebni.

Po tych słowach Daniel odwrócił się i wyszedł. Nawet szloch matki nie był w stanie go zatrzymać. I tak zbyt wiele czasu zostało zmarnowane. Starał się uspokoić matkę, ale tak naprawdę nie był pewien, co czeka Elizabeth.

Co ją opętało, żeby spacerować w pojedynkę? Z drugiej strony, skąd mogła wiedzieć, że Forsythe przebywa w Yorku? Nie ponosiła żadnej winy. Daniel rozpoczął to śledztwo, chcąc pomóc Charlesowi Hunterowi odnaleźć siostrę, ale powodowała nim także chęć przeżycia przygody. Znudzony

miałkością towarzyskich rozrywek, tęsknił za czasami spędzonymi w wojsku i wierzył, że warto podjąć odrobinę ryzyka. Wówczas nawet mu się nie śniło, że prowadzone przez nich śledztwo tak się rozwinie.

I nigdy nie powiedział panie Travers, co do niej czuje!

Elizabeth poczuła, że powóz zwalnia. Zaciśnęła dłonie, świadoma, że musi dobrze odegrać swoją rolę. Nie może pozwolić, by ci ludzie się domyślili, że już dawno doszła do siebie. Leżała bez ruchu. Usłyszała chrzęst żwiru pod kołami, a zaraz potem powóz się zatrzymał. Ściemniało się, więc musieli pokonać sporą odległość, ale w jakim kierunku?

Usłyszała głosy, potem skrzypnęły drzwi i poczuła, że ktoś na nią patrzy. Dla lepszego efektu wydała z siebie cichy jęk, ale nie otwierała oczu.

- Przespała całą drogę? - Natychmiast poznała ten głos. Sir Montague Forsythe! - Mam nadzieję, że nie dałeś jej tego za dużo, Syrius. Chcę, żeby żyła i była w dobrej formie, kiedy po nią przyjedzie.

Serce zabiło jej szybciej. Najwyraźniej sir Montague zamierzał ściągnąć do siebie Daniela. Ale po co? Czyżby planował się z nim targować o jej życie? Czy miał jakiś inny powód? Może chciał zabić swego wroga? Czy to znaczyło, że stanowiła przynętę, która zwabi Daniela w pułapkę?

Omam nie pożałowała, że jednak nie próbowała uciec. Miała jednak świadomość, że wówczas Daniel i jego przyjaciele nie byłiby bezpieczni. Musiała jakoś oszukać swego prześladowcę do czasu, aż uda jej się uciec lub ostrzec Daniela. Samo to, że Forsythe ją porwał, wystarczało, by został powieszony. Gdyby więc hrabia zdołał ją odnaleźć, jednocześnie sprowadzając ze sobą sędziego, żaden inny dowód nie byłby im po-

trzebny. Należało zatem wyżyć się wszelkich myśli o ucieczce i zaufać Danielowi, że przybędzie jej na ratunek.

- No dalej, wyładujcie ją, na co czekacie! - W głosie sir Montague'a słychać było wyraźną irytację. - Zaprowadźcie ją na górę i zamknijcie na klucz. Roxie się nią zajmie.

- Wątpię, czy będzie chciała się w to mieszać, Forsythe.

- Podobały jej się korzyści płynące z naszej umowy. Zrobi, co jej każe, albo pożałuje. Jeśli ja zawisnę, reszta pójdzie moim śladem.

- Do diabła, Forsythe! Przecież wiesz, że nie wystawiłbym cię do wiatru tak jak Palmer.

- On zawsze był głupcem. Powiniem być go uciszyć zaraz po tym, jak tamta dziewczyna utonęła. Trzymałem go przy sobie, bo mógł odziedziczyć fortunę w przypadku śmierci wuja, ale wiem, że miał wyrzuty sumienia z powodu tamtej nocy.

Człowiek nazwany Syriusem wszedł do powozu i pochylił się nad Elizabeth. Po mocnym zapachu wody kolońskiej poznała, że to ten sam, który zaaranżował incydent z sakiewką. Wiele ją kosztowało udawanie nieprzytomnej, kiedy ją podnosił do pozycji siedzącej, wzywając drugiego mężczyznę, że-
by mu pomógł wynieść ją z powozu.

Nie ułatwiła im zadania; specjalnie zwiesiła bezwładnie ramiona, tak że z trudem przeciągnęła ją przez drzwi i w końcu jeden z nich zarzucił ją sobie na plecy. Wniesiono ją po schodach i rzucono na łóżko, na szczęście miękkie.

- Coś jej dolega? - odezwał się kolejny głos, tym razem kobiecy. - Nie powinniście jej tu przywozić. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego...

- Robię tylko to, co on mi każe - odburknął mężczyzna. To nie był Syrius, lecz być może ten, który próbował ją uśpić cuchnącą substancją. - Jemu powiedz, że jej tu nie chcesz.

- Och, wynoś się - zniecierpliwiła się kobieta. - Skoro już Forsythe mnie w to wciągnął, trudno, ale jeśli myśli, że pójdę za niego na stryczek, to się grubo myli.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami; Elizabeth wiedziała, że została przy niej tylko kobieta. Poczuła dotyk miękkiej dłoni na czole. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie w stanie zachować pozory omdlenia.

- Przy mnie nie musi pani udawać - usłyszała niski, nieco zduszony głos. - Tych głupców już tu nie ma. Proszę otworzyć oczy i na mnie spojrzeć. Musimy coś omówić, jeśli mamy tu przeżyć.

Elizabeth z westchnieniem uniosła powieki.

- Lady Roxborough - powiedziała, rozpoznając natychmiast swą towarzyszkę, mimo iż widziała ją zaledwie dwa razy w życiu. - Gdzie ja jestem? Myślałam, że zabierają mnie do domu sir Montague'a... albo do jakiegoś podejrzanego przybytku.

Lady Roxborough zaśmiała się gardłowo.

- Niektórzy pewnie uważają, że mój dom jest podejrzanym przybytkiem, moja droga. Wielu ludzi miało zastrzeżenia do upodobań mojego męża, ale mnie one nie przeszkadzały. Wychodząc za niego, wiedziałam, że jest łobuzem. Jednak umierając, zostawił mi fortunę, więc nie żałuję, że byłam dla niego pobłażliwa. Forsythe wyobraża sobie, że nadal ma mnie w garści z powodu dawnych grzechów mojego nieżyjącego męża. Przywiózł panią tutaj, bo wierzy, że mnie zastraszy tak jak innych, a hrabia Cavendish bez wątpienia uda się prosto do jego domu. Forsythe jest sprytny i dlatego udawało mu się tak długo unikać zdemaskowania, ale ja się go nie boję. Ze względu na męża znosiłam jego obecność w naszym domu i dochowywałam tajemnicy, ale dłużej nie mam zamiaru. Sądzę, że możemy zawrzeć układ, panno Travers.

- Bardzo chętnie - powiedziała Elizabeth głosem niezdradzającym w pełni jej wewnętrzznego napięcia. - Co dokładnie mi pani proponuje?

- Będę panią chronić przed tymi jego osiłkami - odparła lady Roxborough. - Nic się pani nie stanie pod moim dachem, a potem spróbuję pani jakoś pomóc.

- Mówiąc „potem” ma pani na myśli, kiedy już uda im się tu zwabić hrabiego Cavendisha? Proszę mi powiedzieć, co sir Montague zamierza z nim zrobić... i ze mną?

- Domyślam się, że planuje zabić was oboje. Kiedy Cavendish otrzyma żądanie okupu, dopiero się zacznie... Jeśli Forsythe sądzi, że ubije dobry interes, to jest głębszy, niż myślałam, panno Travers. Z Cavendishem nie pójdzie mu tak łatwo. A gdyby go zabił... Naturalnie wówczas nie mógłby pani pozostawić przy życiu ze względu na ewentualne zeznania... Chyba że ja pani pomogę.

- Ale wie pani, że nie będę milczeć, prawda? A ceną za pomoc jest moja dyskrecja w sprawie pani udziału w tym wszystkim, zgadza się?

- Owszem, i coś jeszcze, pod warunkiem, że uda mi się zapobiec śmierci któregoś z was.

- Nie mam pieniędzy - zastrzegła Elizabeth. - Nie mogę mówić za hrabiego Cavendisha, ale ja dochowam tajemnicy, lady Roxborough.

- Mów mi Roxie, moja droga. Polubiłam cię, od razu, jak tylko się poznałyśmy, a kiedy lady Isadora przywiozła cię z wiytą, zdałam sobie sprawę, że chciałbym mieć córkę taką jak ty. Gdyby los był dla mnie łaskawszy... Forsythe mówił, że jesteś zbyt dumna, ale mnie się podobało, że dałaś mu się we znaki. Niewielu osobom się to udało, choć kiedy byłam młoda, leżałam u moich stóp. Jest zupełnie zdeprawowany, ale ja potrafiłam

zmusić go do uległości. Wprawdzie nie jestem już w stanie sprostać jego wymyślnym zachciankom, ale nadal mam na niego pewien wpływ. Mam rozumieć, że zawarłyśmy układ?

- Powiedziałaś, że zachowam dyskrecję na temat pani udziału.

- A reszta?

- Nie mogę składać obietnic w imieniu hrabiego Cavendisha.

- W takim razie i ja nie mogę niczego obiecywać. Zobaczymy, co będzie. Najlepiej, żebyś nie próbowała oszukiwać Forsythe'a, kiedy do ciebie przyjdzie. Bądź dumna i powściągliwa, to zrobi na nim większe wrażenie niż słabość.

- Dziękuję za radę, lady Roxie.

- Każę ci przysłać jedzenie i wino. Możesz jeść i pić do woli. Daję ci słowo, że nie będzie zatrute ani zaprawione niczym podejrzanym.

- Dziękuję. Chętnie się posilę, bo nie zdążyłam zjeść nawet śniadania.

- Umiesz zachować zimną krew - przyznała Roxie z uśmiechem. - Gdybyśmy się spotkały w innych okolicznościach, pewnie byśmy się zaprzyjaźniły.

Elizabeth nie odpowiedziała, jedynie skinęła głową. Natychmiast po wyjściu Roxie podniosła się z łóżka. Zostawiono jej tylko jedną świecę, ale to wystarczyło, by się zorientowała, że zamknęto ją w gościnnym pokoju dla mniej dostojnych gości. Choć mieścił wszystkie niezbędne sprzęty, nie był przesadnie wygodny czy elegancki. Nie brakowało w nim jednak toaletki z przyborami do pielęgnacji włosów, a za parawanem znalazła urządzenia toaletowe. Skorzystawszy z nich, usiadła na krawędzi łóżka i zaraz potem usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Jakiś mężczyzna wniósł do pokoju tacę z jedzeniem i kieliszkiem wina; popatrzył na Elizabeth, ale się nie odezwał.

Postawiwszy tacę na stole, od razu wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Bardzo uważali, żeby nie uciekła, ale ona i tak nie była jeszcze na to gotowa. Wiedziała od lady Roxborough, że za jej porwaniem stał sir Montague Forsythe, poza tym sama rozpoznała jego głos. Chciała się z nim spotkać twarzą w twarz. Nie obawiała się o własną skórę; wiedziała, że jest przynętą służącą do zwabienia w pułapkę Daniela. Musiała go jakoś ostrzec. Nie miała wątpliwości, że po nią przyjdzie, i musiała być przygotowana na ten moment.

Daniel zastał dom pogrążony w ciemnościach. Przez chwilę stał i obserwował najbliższe otoczenie, a potem ruszył na tyły zabudowań. Tamtej nocy, kiedy znaleźli Palmera pijącego samotnie w bibliotece, jedno z drzwi były otwarte, ale tym razem było inaczej. Daniel zastanawiał się, które z okien najłatwiej będzie wybić, kiedy zza rogu wyszedł jakiś człowiek. Daniel szybko ukrył się w cieniu. Uznał, że nieznajomy musi być jednym ze służących, wracającym po wolnym wieczorze spędzonym w miejscowej gospodzie. Mężczyzna pogwizdując pod nosem i lekko chwiejąc się na nogach, zapukał do drzwi, najwyraźniej oczekując, że zostanie wpuszczony. Daniel szybko dopadł do niego i chwycił go od tyłu za kołnierz dokładnie w chwili, gdy drzwi się otwarły i stanęła w nich młoda dziewczyna, trzymając świece.

- Nie krzycz - ostrzegł ją Daniel, wpychając swą zaskoczona ofiarę do środka. - Nic ci nie zrobię. Odpowiedz uczciwie na moje pytanie, a dostaniesz złotego suwerena za fatywę.

- Suwerena? - powtórzyła dziewczyna, oszołomiona sumą, która przewyższała jej miesięczny zarobek. - A co pan chce wiedzieć, sir?

- Czy twój pan miał dzisiaj gości? I czy przywieziono tu młodą kobietę?

- Nie, sir. Byłam na służbie cały dzień. Pani Raunds, nasza ochmistrzyni, powiedziała, że pana nie będzie przez kilka dni.

- To prawda?

- Tak, sir.

- Wiesz, dokąd wyjechał? Dwa dni temu był w Yorku... domyślasz się, dokąd mógł stamtąd pojechać?

- Nie, sir.

- Do tej całej Roxie... - rozległ się chrapliwy głos pijanego lokaja, którego Daniel chwilę wcześniej bezceremonialnie pchnął w kąć pomieszczenia. - Zabrali ją do Roxie...

- Kim jest Roxie? - zainteresował się Daniel. - Gdzie mieszka?

- Niestety, odpowiedział mu jedynie odgłos chrapania. - Myślę, że chodzi o lady Roxborough - odezwała się nieśmiało dziewczyna. - Nie wiem, kim pan jest, sir, i mogę za to stracić posadę, ale tu dzieją się niedobre rzeczy i sama myślałam o tym, żeby odejść. Wiem tylko, że lady Roxborough czasami brała udział w tych dziwnych obrzędach w lesie...

Daniel sięgnął do kieszeni i wyjął pięć złotych suwerenów.

- Proszę, podziel się ze swoim przyjacielem - polecił. - A jeśli będziesz potrzebować zatrudnienia, jedź do Cavendish Hall. Możesz tam znaleźć zajęcie.

- Dziękuję, sir. - Dziewczyna szybko wsunęła pieniądze do kieszeni fartucha. - Mam nadzieję, że znajdzie pan tę młodą kobietę, której pan szuka. Lepiej, żeby nie powtórzyło się to, co kiedyś, w tamtym lesie, prawda?

- Wiadomo ci coś na ten temat? - Nie odrywał wzroku od jej twarzy. - Wiesz, co się stało z tamtą dziewczyną?

- On wie - odparła, wskazując na mężczyznę leżącego na

podłódze, pogrążonego w pijackim śnie. - Fred wie, co tam się wydarzyło. Zmusili go do robienia rzeczy, których nie pochwalał... Będzie zeznawał, jeśli pan mu zapłaci, sir. Planujemy się pobrać, kiedy już uzbieramy dość pieniędzy na otwarcie małej gospody.

- Weź go ze sobą, kiedy będziesz się stąd wynosić, a jeśli zgodzi się zeznawać przed sędzią, będziecie mieli swoją gospodę - obiecał Daniel. - Proszę, powiedz, jak się nazywasz.

- Mary Meadows, sir - przedstawiła się z uśmiechem. - Będzie pan miał, czego chce, za jakiś dzień lub dwa. Muszę przekonać Freda, ale dam sobie radę.

- Jeżeli ci się uda, nie pożałujesz - obiecał ponownie Daniel. - Dziękuję ci za pomoc, Mary.

- Pan jest jednym z tych dżentelmenów, którzy zabrali pana Palmera - powiedziała znienacka. - On nie był taki jak reszta, sir. Chciałabym wiedzieć, co się z nim stało.

- Wyjechał za granicę, cały i zdrowy - odparł Daniel. - A teraz lepiej już pójdę, zanim kogoś obudzimy i narobimy kłopotów tobie i Fredowi.

- Och, w domu zostało niewiele służby - powiedziała Mary. - Większość wymówiła po tym, jak zniknął pan Palmer. Sir Montague strasznie się wściekał, kiedy odkrył, co się stało, i nawet kazał wychłostać jednego z chłopców. Po tym została nas tylko garstka. A pani Raunds też odchodzi pod koniec miesiąca.

Daniel pokiwał głową. Ludzie Forsythe'a opuszczali go niczym szczury tonący statek. Wyglądało na to, że świat sir Montague'a wali się w gruzy i tak czy inaczej czeka go to, na co zasłużył...

Wcale go nie zdziwiło, że lady Roxborough jest zamieszana w tę paskudną sprawę. Jej mąż słynął z rozpustnego sty-

lu życia i prawdopodobnie jako pierwszy przyłączył się do Forsythe'a. Zmarł w wieku czterdziestu lat na skutek swych występków, zostawiając żonie pokaźny majątek. Krazyły plotki, że Roxie zadawała się ze stajennymi i lokajami, a może nawet uczestniczyła w pogańskich rytuałach, odbywających się w lesie należącym do Forsythe'a.

Było jasne, dlaczego Forsythe właśnie tam zawiózł Elizabeth. Mając niewielu oddanych służących, nie mógł być pewien, czy zachowają w sekrecie jej obecność w jego domu i będą jej dobrze pilnować. Jednak zdaniem Daniela, popełnił błąd. Lady Roxborough nie była głupia. Wydawało się mało prawdopodobne, by zechciała mieszać się w coś, co mogło prowadzić na szubienicę. A to z kolei oznaczało, że Elizabeth na razie jest w miarę bezpieczna.



Rozdział dziesiąty

- Dzięki Bogu, że jesteśmy już w domu - powiedziała lady Isadora, sadowiac się w fotelu w swoim salonie. - Chyba jeszcze nie przeżyłam takiej podróży. Gdzie jest nasza droga Elizabeth? Co się z nią dzieje? Stanowczo dłużej nie zniosę tej niepewności.

- Nie może się pani tak zamartwiać - próbował ją pocieszyć John. Dla niego podróż także była ciężka, choć z innego powodu. Należał do osób wyjątkowo cierpliwych, ale niepokój lady Isadory objawiał się trudną do wytrzymania kapryśnością i marudzeniem. - Teraz może pani wreszcie odpocząć. Ja, jeśli pani pozwoli, pójdę na górę sprawdzić, jak miewa się Charles.

- Tak, tak, proszę robić, co pan uważa za stosowne. Wiem, że dałam się panu we znaki, ale tak bardzo martwi mnie los Elizabeth.

- Oczywiście. Wszyscy się o nią martwimy - zapewnił John, skwapliwie opuszczając salon. Już miał wejść na schody, gdy jego przyjaciel niespodziewanie wychynął z biblioteki. John z ulgą stwierdził, że choć Charles nadal mocno kuleje, wygląda znacznie lepiej. - Właśnie miałem cię odwiedzić.

- Cieszę się, że wróciłeś - odparł Charles. - Zamierzam niezwłocznie sprowadzić ciało Sary do domu, John. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś jutro ze mną pojechał na cmentarz w Little Marsh Meadows... - Urwał, zaskoczony wyrazem twarzy przyjaciela. - O co chodzi? Coś musiało się stać!

- Panna Travers została porwana.

- Przez Forsythe'a, bez wątpienia - domyślił się Charles. Oczywiście rozbiły mu gniewem. - Miałem nadzieję, że ten drań siedzi już w więzieniu.

- Niestety, okazał się sprytniejszy od nas - przyznał John. - Daniel pojechał jej szukać. Uważa, że Forsythe mógł ją wywieźć do swojej posiadłości.

- Mało prawdopodobne - rzekł w zamyśleniu Charles. - Wie, że deptemy mu po piętach, więc poszuka raczej miejsc, które nigdy nie przyszłoby nam do głowy.

Na dźwięk głośnego pukania do drzwi spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Było stanowczo za późno na gości. Forrest, zajmujący swą stałą pozycję w holu, zerknął na nich spod uniesionych brwi, w niemym pytaniu, czy ma otworzyć.

- Otwórz - polecił John, sięgając po pistolet. - Jestem przygotowany na każdą ewentualność.

Jednakże na to, co nastąpiło, nie był przygotowany. Na progu stał służący odziany w brązową pelerynę. Wręczywszy lokajowi lady Isadory zalakowaną paczuszkę, ukłonił się i szybko odszedł.

- Co to jest, Forrest?

- List... a raczej przesyłka dla hrabiego Cavendisha, sir.

- Przesyłka? - John nie krył zaciekawienia. - Pokaż... - Wziął do ręki niewielki pakiecik, wyraźnie miękki w dotyku. - Dość dziwna pora na doręczanie przesyłek...

- Otwórz - polecił Charles. - Myślę, że w tych okolicznościach Daniel zrozumie.

- Tak... - John szybko rozerwał papier i wyciągnął koronkową chusteczkę, nasączoną delikatnym, lecz wyraźnie wyczuwalnym zapachem perfum. - To należy do Elizabeth... - Przeszukał opakowanie, ale nie znalazł żadnej wiadomości.

- Co to ma znaczyć?

- Forsythe w ten sposób zawiadamia, że ją ma - wyjaśnił Charles. - Niech go diabli! Gdybyśmy wiedzieli, gdzie ją przetrzymuje...

- Może ja mógłbym pomóc - wtrącił się Forrest. - Ten człowiek, który to przyniósł... ja go znam. Mocowaliśmy się kiedyś ze sobą na jarmarku. Pracuje u lady Roxborough, u lady Roxie, jak ją nazywa. Przechwala się, że był jej kochankiem, sir, ale chyba zmyśla.

- Jesteś pewien? - spytał z ożywieniem Charles. Usłyszawszy z ust Forresta potwierdzenie, dodał: - Forsythe popełnił swój pierwszy błąd. Wiemy, gdzie jest Elizabeth. Chciał nas przestraszyć i wyprowadzić w pole, ale teraz mamy nad nim przewagę.

- Szkoda, że Daniela tu nie ma.

- We trójkę byłoby nam łatwiej - przyznał Charles. - Ale możemy wykorzystać element zaskoczenia, a poza tym możemy wziąć ze sobą kilku ludzi Daniela.

- Możecie na mnie liczyć, panowie - odezwał się Forrest.

- Zgadzam się, że powinniśmy działać szybko. Mam pistolet, który dostałem od hrabiego Cavendisha, i znam dwóch ludzi, gotowych ryzykować życie dla naszego hrabiego i panny Travers. Jeśli panowie pozwolą, każę im przygotować konie i czekać w gotowości za dwadzieścia minut.

- No cóż... - mruknął John. Wyruszenie na ratunek Eli-

zabeth bez żadnego planu wydawało się trochę ryzykowne, jednakże musiał przyznać, że element zaskoczenia mógł im wydatnie pomóc. - Może będziemy mieli szczęście i przytapiemy ich, kiedy nie będą się niczego spodziewać.

Elizabeth siedziała przy oknie zapatrzona w ciemność za szybą. Zjadła trochę z tego, co jej przyniesiono, ale wina nie tknęła, napiła się jedynie wody z dzbanka. Lady Roxborough zapewniała wprawdzie, że wino nie będzie niczym zaprawione, ale Elizabeth nie potrafiła jej bez reszty zaufać. Wcześniej zdmuchnęła świecę, żeby ją oszczędzać; poza tym nawet wolała posiedzieć w mroku.

Czas włókł się nieznośnie. Księżyc to wychylał się zza chmur, to za nimi chował, aż w końcu zniknął zupełnie. To oznaczało, że zbliża się świt, i wkrótce będzie mogła zobaczyć wyraźniej otoczenie domu. Odkryła już, że znajduje się na drugim piętrze i nie ma szans na ucieczkę przez okno.

Nagle zastygła w bezruchu. Dostrzegła jakiś ruch w pobliżu kępy krzewów. Wytężyła wzrok, ale akurat w tym momencie mrok zgęstniał i nie była pewna, czy rzeczywiście coś widziała, czy tylko jej się wydawało.

A może to Daniel? Skąd mógł tak szybko się dowiedzieć, gdzie ją zabrano? Jakkolwiek to było nieprawdopodobne, czuła, że znajduje się niedaleko. Już miała zapalić świecę, żeby dać mu znak, kiedy rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Elizabeth ledwie zdążyła odejść od okna i usiąść na łóżku, gdy do pokoju wszedł jakiś człowiek z zapalonym świecznikiem.

- Ach, więc pani nie śpi - odezwał się sir Montague głosem zdradzającym, że spędził noc, nie rozstając się z kieliszkiem.
- Roxie mówiła mi, że doszła pani do siebie po omdleniu. Bar-

dzo przepraszam, panno Travers, wolałbym, żeby pani nas odwiedziła z własnej woli.

- Nie sądzę, żeby pan naprawdę się tego spodziewał, sir. Dlatego użył pan podstępu, by mnie tu sprowadzić.

- Sprytnie, prawda? - rzucił zadowolony z siebie. - Odkąd tylko opuściła pani gospodę, wiedziałem, że będę panią miał.

- A teraz, kiedy pan mnie już ma, domagam się, żeby pan mnie niezwłocznie wypuścił - powiedziała Elizabeth, unosząc wysoko głowę. - Nie rozumiem, na co pan liczył, organizując tę głupią pułapkę, sir.

- Nie rozumie pani, panno Travers... a może mógłbym panią nazywać po imieniu, Elizabeth? Myślę, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić. - Wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu. - Nauczyłbym cię paru rzeczy. A poskramiałem już dziewczyny dziksze od ciebie, Elizabeth. Sara Hunter była głupia. Szkoda, że za wcześniej się ocknęła. Mógłbym za nią dostać niezłą sumę od moich znajomych po tym, jak już spełniłaby swoje zadanie. - Sprawiał wrażenie rozgniewanego. - Ta głupia dziewczucha nam uciekła; jeśli się utopiła tamtej nocy, to z własnej winy.

- Jeśli się utopiła? Zatem nie wie pan tego na pewno?

- Rozpłynęła się w ciemności. Gdybym ją wtedy znalazł, dostałaby solidną nauczkę...

- W jednym z przybytków rozpusty, do których pan uczęszcza - rzuciła oskarżycielskim tonem Elizabeth. - A może jest pan ich właścicielem? Nie sądzę, żeby panu wystarczała rozrywka, jaką oferują. Pana interesuje coś bardziej wymyślnego, prawda?

- Ależ z ciebie dumna ślicznotka - powiedział sir Montague. - Od razu zauważyłem, że masz charakter, ale nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś aż tak inteligentna, Elizabeth.

Wiesz, nigdy mi się nie podobały ograniczone kobiety, dlatego prostytutki wywodzące się z pospólstwa w ogóle mnie nie interesują. Lubię mądre kobiety. - Przyjrzał jej się z ukosa. - Z początku myślałem, że najlepiej będzie się ciebie pozbyć od razu, jak tylko spełnisz swoje zadanie, czyli zwabisz tu Cavendisha. Zaczął się wtrącać w moje sprawy i teraz musi za to zapłaci.

- Ma pan zamiar go zabić?

- Oczywiście. Po to tu jesteś, Elizabeth. Spodziewam się, że sir Galahad przybędzie ci na ratunek, kiedy już odkryje, gdzie jesteś, ma się rozumieć. Ale to nastąpi dopiero wówczas, kiedy ją zdecyduje, czyli nie wcześniej niż za kilka dni. Tyle mi wystarczy, żeby nacieszyć się twoimi wdziękami, Elizabeth. Kto wie, jeśli mnie zadowolisz, może cię na jakiś czas zatrzymam, zanim dołączysz do swoich sióstr w burdelu.

- Oczekuje pan, że te obelgi przywiodą mnie do łez, sir? Nie obchodzi mnie to, co pan myśli ani co pan mówi.

- Z czasem zaczniesz cię obchodzić - ostrzegł Forsythe. - Wiedziałaś, że są takie bicz, które sprawiają okropny ból, jednocześnie nie zostawiając śladów na ciele kobiety? Wiem, jak się nimi posługiwać... albo specyfikami, które mogą zniszczyć ten twój bystry umysł.

- I wówczas stanę się podobna do tych ograniczonych prostitutek, którymi pan pogardza - odpowiedziała hardo Elizabeth. - Gdzie tu sens, sir? Używając bicza, mógłby pan mnie rzucić na kolana. Mam powody pana nienawidzić, ale załóżę się, że nigdy nie poznał pan kobiecej miłości. Czy dlatego pan ich tak nienawidzi? A może to przez matkę jest pan taki zgorzkniały?, Czyżby zaniedbywała pana w kołysce?

Forsythe szybko uniósł rękę i wymierzył jej policzek.

- Zapłacisz mi za to. Tak, rzucę cię na kolana. Będziesz się czołgać u moich stóp, błagając mnie o łaskę.

- Zostaw ją w spokoju, Forsythe - odezwała się za jego plecami Roxie. - Mówiłam ci, że nie pozwolę jej skrzywdzić. Jeśli chciałeś ją złamać, powinieneś był ją zabrać do któregoś ze swoich domów. Oczekiwałeś, że będę spokojnie patrzeć, jak się zabawiasz? Niestety, grabo się pomyliłeś. Grałam w twoją grę, dopóki mi się to podobało, ale już koniec. Jeśli jeszcze raz jej dotkniesz, zabiję cię.

Forsythe odwrócił się gwałtownie i wówczas Elizabeth dostrzegła w dłoni lady Roxborough niewielki pistolet wycelowany w jego pierś.

- Niech cię diabli, Roxie! Mógłbym cię zrujnować równie łatwo, jak zabijam muchę! - ryknął. - To nie twój interes. Zajmij się lepiej swoimi ślicznymi chłoptasiami.

- To jest mój interes, od kiedy ją tu przywiozłeś. Głupi błąd. Nienawidzę cię od lat, a teraz dałeś mi okazję, żeby się zemścić. Zostaw ją w spokoju... i oddaj mi klucz do tych drzwi. Nie zniszczysz tej dziewczyny tak, jak zniszczyłeś wiele innych, Forsythe. Roxborough był zdeprawowany, ale to ty byłeś jego mentorem. Gdyby nie ty, może zdołałabym go uchronić przed nim samym.

- Nie możesz mnie winić za to, co spotkało tego nędznego pijaka. Niech cię diabli! - Znienacka rzucił się na Roxie, próbując jej odebrać broń.

Elizabeth patrzyła na nich z jakąś dziwną fascynacją. Miała świadomość, że powinna wykorzystać okazję do ucieczki, ale to wcale nie było łatwe, ponieważ znajdowali się pomiędzy nią a drzwiami. Nagle pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem, a zaraz potem usłyszała krzyk lady Roxborough. Roxie osunęła

ła się na ziemię, jej ciałem kilkakrotnie wstrząsnął dreszcz, aż w końcu znieruchomiała.

Elizabeth nie mogła oderwać wzroku od strużki krwi, wypływającej z brzucha leżącej kobiety. Wiedziała, że lady Roxborough nie żyje; nikt nie byłby w stanie przeżyć takiego postrzału.

- Zabił ją pan - odezwała się drętym głosem. Ogarnęły ją nudności, ale za wszelką cenę starała się nie poddawać słabości. Miała świadomość, że okazując bezbronność wydałaby na siebie wyrok. - Zamordował ją pan, widziałam...

- Ta kobieta oszalała - wydyszał, biały na twarzy. Na moment w jego oczach pojawił się strach. - Sama widziałaś, że mi groziła...

- Ale to pan ją zabił - powtórzyła Elizabeth. Miała ochotę krzyczeć i szlochać jednocześnie, ale wiedziała, że musi panować nad sobą za wszelką cenę. Nagle spojrzała ponad ramieniem Forsythe'a i ujrzała to, na co przez cały czas czekała z nadzieją. Przybyli jej wybawcy. - Teraz już nie może mnie pan pozostawić przy życiu, bo mogę wysłać pana na szubienicę. I to zrobię. Może pan ze mną zrobić, co zechce, ale...

- Do diabła z tobą! - zawołał sir Montague.

Uniósł rękę, żeby wymierzyć w Elizabeth, lecz w tym samym momencie, pchnięty od tyłu, upadł na podłogę. Wypuszczony z dłoni pistolet prześliznął się wprost pod stopy Elizabeth. Pochyliła się szybko, żeby podnieść broń, na wypadek, gdyby rozgrywająca się przed nią walka przybrała niekorzystny obrót.

- Mamy przeciwko niemu wszystkie dowody, jakich potrzebujemy! - zawołała do Daniela. Forsythe przygnieciony do ziemi przez siedzącego na nim hrabiego dyszał, ciężko

chwytając powietrze. - Chyba nie ma przy sobie innej broni. Weź go żywcem... zasługuje na stryczek!

Forsythe jeszcze przez chwilę próbował się wyrwać, lecz w końcu rozłożył ręce w geście poddania. Elizabeth odetchnęła z ulgą, choć nie żywiła wątpliwości, kto zwycięży. Daniel był młodszy i silniejszy od przeciwnika, a poza tym walczył o nią i o sprawiedliwość. Sir Montague bronił się jak osaczony zwierz, warcząc i kęsając, ale miał swoje lata, więc rezultat walki był z góry przesądzony.

- Jesteś skończony, Forsythe - oznajmił Daniel, spoglądając na niego z góry. - Są świadkowie, którzy chętnie będą zeznawać przeciwko tobie. Tym razem morderstwo nie ujdzie ci na sucho. Elizabeth widziała, jak zabiłeś lady Roxborough, a ja słyszałem, co mówiłeś. Są też inni, którzy zeznają, że doprowadziłeś Sarę Hunter do śmierci.

- Niech cię diabli! - warknął Forsythe z wściekłością. Otarł krew z rozciętej wargi, spoglądając na Daniela z nieskrywaną nienawiścią. - Myślisz, że jesteś taki mądry, ale ja jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa. - Pozbierał się z podłogi, chwycił podszedł do drzwi i opierając się o framugę, zawołał: - Syrius! Redfern! Chodźcie tu i zabierzcie ze sobą pistolety.

Daniel nie zwracając na niego uwagi, podszedł do Elizabeth. Przyjrzał jej się z niepokojem i czułością w oczach.

- Zrobił ci jakąś krzywdę? Dobrze się czujesz, najdroższa?

- Nic mi nie jest - zapewniła go z nieco wymuszonym uśmiechem. - Zjawił się pan w samą porę, Cavendish. Jeszcze godzina i... - Wzdrygnęła się, urywając w pół zdania. - Ale nie powinniśmy o tym myśleć... Biedna lady Roxborough. Próbowала mnie bronić, Cavendish. Należy jej się wdzięczność. Czy to ona panu powiedziała, że tu jestem?

- Nie, sam to odkryłem. - Odwrócił głowę, słysząc ciężkie kroki Forsythe'a na schodach. - Nie przejmuj się, na dole czekają moi ludzie. Nie ucieknie.

- Jestem pewna, że wszystko pan zaplanował. Wydawało mi się, że dostrzegłam kogoś w krzakach tuż przed tym, jak Forsythe wszedł do pokoju. Miałam zapalić świecę, żeby dać sygnał, gdzie jestem.

- Tak, to do pani podobne - odrzekł Daniel z uśmiechem. - Właściwie moja pomoc nie była potrzebna, mój ty słodki generale w spódnicy.

- No cóż, chyba mogłam uciec, zanim tu dojechalіśmy - przyznała Elizabeth z ożywieniem. - Próbowali mnie uspić jakąś cuchnącą substancją, ale niezbyt się do tego przyłożyli. Tylko udawałam, że straciłam przytomność. Gdybym wtedy uciekła, nadal byłibyśmy w tym samym punkcie. Teraz mamy wszelkie potrzebne dowody jego zbrodni. Widziałam, jak zabił lady Roxie.

- To prawda, Elizabeth. - Miał ochotę przygarnąć ją do siebie i uściskać. Podziwiał jej odwagę i opanowanie, wiedział, że może na nie liczyć, i nie zawiódł się. Pragnął jej też wyznać coś bardzo ważnego, ale pora nie była po temu odpowiednia. Rzekł więc tylko: - Niezmiennie mnie zachwycasz, Elizabeth. Wierzę, że tym razem naprawdę jest po wszystkim i możesz... - Urwał gwałtownie, bo z dołu dobiegł odgłos wystrzału. - Do licha! Co tam się dzieje? Wydałem przecież rozkazy... Forsythe miał zostać zatrzymany, ale bez żadnej strzelaniny.

Wpadł z pokoju i na schodach omal nie zderzył się z Johnem.

- Spóźniliśmy się? - wyrzucił z siebie zdyszany Elworthy. - Dojeżdżaliśmy na miejsce, kiedy padł strzał... - Spojrzawszy Danielowi przez ramię, dostrzegł Elizabeth i odetchnął z ulgą.

- Panno Travers... dzięki Bogu! - Przeniósł wzrok na ciało lady Roxborough, leżące w kałuży krwi i aż się wzdrygnął. - Bez wątpienia sprawka Forsythe'a. Ten człowiek naprawdę zaślezył na to, co go spotkało!

- Kto w takim razie teraz strzelał? - Daniel zmarszczył czoło. - Forsythe jest w naszych rękach. Mamy wszystkie potrzebne dowody.

- Nadal będziemy ich potrzebować - odparł John - choć już nie po to, żeby go wysłać na szubienicę. Widząc nas chwycił pistolet, który jeden z jego ludzi, uciekając, pozostawił na stole. Zaczął nim wymachiwać i wtedy Charles rzucił się na niego. Siłowali się przez chwilę, aż nagle pistolet wypalił, zabijając Forsythe'a. To był wypadek. Gdyby Charles go nie powstrzymał, zabiłby któregoś z nas.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął Daniel. Właśnie tego pragnął uniknąć. - Chciałem go mieć żywego, bo musimy poznać jeszcze wiele szczegółów tej historii.

- Co masz na myśli? - zdziwił się John. - Przecież już po wszystkim. Wiemy, że Sara leży w samobójczym grobie...

- Nie wiemy tego na pewno. To może wcale nie być ona, John.

- To prawda, Forsythe mówił, że uciekła im tamtej nocy - potwierdziła Elizabeth. - Oczywiście mógł kłamać, ale istnieje możliwość, że wtedy w jeziorze utopiła się jakaś inna dziewczyna.

- W takim razie gdzie jest Sara? Gdyby Charles wiedział, że są co do tego wątpliwości...

- Na razie nie może się dowiedzieć - wszedł mu w słowo Daniel. - Będę prowadził dalsze śledztwo. Wygląda na to, że pogodził się z jej śmiercią, więc nie chce mu dawać fałszywych nadziei.

- Charles dość wycierpiał - poparła go Elizabeth. - Może jednak Sara leży w tym grobie. Byłoby okrucieństwem pozwolić mu uwierzyć, że jego siostra żyje, dopóki nie będzie na to dowodu.

- Zostawcie to mnie. Forsythe mógł ją ukryć w jednym ze swoich domów rozpusty. Mogą tam być również inne młode kobiety, uwięzione w podobnych okolicznościach. Musimy to dokładnie zbadać. - Daniel pokiwał głową z wyrazem znużenia na twarzy. - Dziś nic tu więcej nie osiągniemy. Jedźmy do domu. Wszystkim nam przyda się dobre śniadanie.

- Doskonały pomysł - ucieszyła się Elizabeth. - Dopiero teraz poczułam, jaka jestem głodna.

Uśmiechnęła się promiennie do Daniela; nie zamierzała podważać jego wiary w jej dzielność. Ale tak naprawdę miała wielką ochotę paść mu w ramiona i zapłakać. Nie nad sir Montague'em, który zasługiwał na to, co go spotkało, ani nie nad lady Roxie, która żałowała za swoje grzechy i zrobiła wszystko, co mogła, żeby ją ratować, lecz po prostu z wyczerpania.

- Och, moja kochana! Jesteś bezpieczna! Przez cały dzień męczyły mnie koszmary. Naprawdę, nie mogłam już tego znieść. Nie chcę się nigdy z tobą rozstawać. - Lady Isadora rzuciła się na Elizabeth, szlochając ze wzruszenia. - Myślałam, że cię zabiją i więcej cię nie zobaczę.

- Przykro mi, że tak się pani zamartwiała. Proszę nie płakać, lady Isadora. Zapewniam panią, że to było znacznie gorsze dla pani niż dla mnie, ale już jest po wszystkim.

- Naprawdę? - Lady Isadora nie wyglądała na przekonaną.

- Daniel mówił, że jest po wszystkim, zanim wyruszyliśmy do Yorku, a potem mi cię porwano.

- Sir Montague zabił lady Roxborough - wtrącił Daniel.

- A potem próbował uciec i Charles go zastrzelił... w obro-
nie własnej. - Wspólnie ustalili taką wersję wydarzeń; Daniel
przedstawił ją z lekkimi wyrzutami sumienia.

- Och, dzięki Bogu, że ten podły człowiek nie żyje - ucie-
szyła się lady Isadora. - A co lady Roxborough mogła mieć
w tym wspólnego? - spytała i prawie natychmiast pokręciła
głową. - Nie, nie, nie mówcie mi. Wystarczy, że sir Montague
Forsythe nie żyje, a Elizabeth jest cała i zdrowa. Teraz znów
możemy się czuć bezpieczni.

- Owszem - potwierdził Daniel, posyłając Elizabeth wy-
mowne spojrzenie ponad głową matki. - Zostawię was razem,
mamo. Muszę jeszcze dopatrzeć kilku szczegółów, co oznacza,
że jutro wcześniej rano wyjeżdżam do Yorku.

- Chyba nie chcesz nas znowu opuścić! - obruszyła się
lady Isadora. - Jak możesz w ogóle o tym myśleć w takim
momencie?

- Ale jesteśmy już całkiem bezpieczne - przypomniała jej
Elizabeth. - Hrabia Cavendish musi wyjaśnić jeszcze wiele
spraw. Lady Roxborough mówiła mi, że sir Montague miał
kilka domów o podejrzanej reputacji. Mogą tam być dziew-
częta potrzebujące pomocy.

- Och, biedactwa - rozczuliła się lady Isadora. - Zatem jedź,
Danielu. Ostatecznie nam wcale nie jesteś tak bardzo potrzeb-
ny. Mamy z Elizabeth siebie nawzajem.

- Tak, mamo. Jestem pewien, że dacie sobie radę. Wrócę
najszybciej, jak będę mógł.

- Będziemy czekać, sir.

- Elizabeth... Po powrocie będę miał pani coś ważnego do
powiedzenia. A nazywam się Cavendish.

Po jego wyjściu lady Isadora przyjrzała się Elizabeth
uważnie.

- Naprawdę nic ci się nie stało, moja droga?
- Absolutnie nic - zapewniła ją Elizabeth - ale jestem bardzo głodna.

- Dostaniesz tacę z jedzeniem do pokoju - zdecydowała lady Isadora. - Zadzwoni, proszę, żeby ktoś tu przyszedł, i proszę, nie zwracaj się do mnie per „pani”. Jesteśmy przyjaciółkami i chcę, żebyś mówiła mi po imieniu. Odtąd jestem dla ciebie Dorą, tak jak dla najbliższych przyjaciół.

- Dobrze - zgodziła się Elizabeth z uśmiechem. - Wiesz Doro, żałuję, że w końcu nie spotkałam się z twoją krawcową.

Zmiana tematu została przyjęta z nieskrywaną radością.

- Przyjedzie tu do nas w przyszłym tygodniu - oznajmiła lady Isadora. Wybrałam kilka kuponów jedwabiu, które mogą ci się spodobać, ale może przywiezie ze sobą jeszcze inne - Uśmiechnęła się trochę tajemniczo. - Wiesz, nie mogłam znieść myśli, że możesz już nigdy nie wrócić, więc postanowiłam się zachowywać tak, jakbyś tylko na jakiś czas wyjechała z wizytą.

- I tak właśnie było, Doro - powiedziała Elizabeth, starając się zapomnieć o widoku martwej lady Roxborough leżącej na podłodze. - To była tylko wizyta u znajomej i jestem już z powrotem.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, usiadła zamyślona przy oknie. Chmury się rozeszły i zrobiło się całkiem ładne popołudnie. Wcześniej próbowała się zdrzemnąć, ale nadmiar myśli kłębiących się w głowie nie pozwalał na sen. Cieszyła się, że nic im nie grozi, ale teraz nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości.

Pamiętała, jak Daniel się ucieszył, kiedy ją znalazł, i to, jak

na nią patrzył, mówiąc, że po powrocie będzie jej miał coś ważnego do powiedzenia.

Czyżby naprawdę mu na niej zależało? Nie mogła być niczego pewna... A jeśli nawet, to jakie miał wobec niej zamiary? Przychodził do jej pokoju, całował ją tak, że omal nie mdała z rozkoszy, ale czy tak zachowuje się mężczyzna, myślący poważnie o małżeństwie? Wyglądało to bardziej na swobodę mężczyzny szukającego kochanki. Czy to możliwe, by Daniel widział ją w takiej właśnie roli?

Po tym, co ją w życiu spotkało, raczej nie mogła się spodziewać zbyt wiele. Została bez grosza - nie było żadnej gwarancji, że suma, którą przeznaczył dla niej ojciec, zostanie odzyskana. A do tego porwanie musiało przynajmniej naruszyć jej reputację. Wprawdzie nic jej się nie stało, ale mogła oczekiwać, że kiedy wiadomość się rozniesie, powstaną różne plotki i domysły.

Możliwe, że nie powinna liczyć na nic więcej niż ofertę zostania kochanką hrabiego Cavendisha... ale czy Daniel naprawdę tego chce? Nagle dotarło do niej, że powinna sobie zadać inne pytanie: Czy znajdzie w sobie siłę, by mu odmówić?

Z westchnieniem poprawiła włosy i suknię. Zamiast marnować czas na bezowocne rozważania, powinna zejść na południową herbatę.

Następnego ranka Elizabeth nie wstała tak wcześnie jak zazwyczaj. Czuła się niewyspana, zmęczona i przygaszona, co lady Isadora uznała za całkowicie naturalne po przebytych szoku. Po śniadaniu długo nie wstawała od stołu, zastanawiając się, co ze sobą zrobić. Nie miała siły ani ochoty na pracę w bibliotece.

- Panno Travers...

Elizabeth odwróciła się, słysząc za plecami nieśmiały głos pokojówki.

- Tak, o co chodzi, Amy?

- Pan Browning pyta, czy zechce pani z nim się zobaczyć.

- Tak, oczywiście. - Elizabeth postanowiła wziąć się w garść.

- Poproś go.

Wstała, kiedy wszedł z najpiękniejszym bukietem kwiatów, jaki w życiu widziała. Składał się z lilii, orchidei, irysów oraz innych delikatnych kwiatów i paproci i był tak wielki, że niemal całkowicie zasłaniał człowieka, który go niósł.

- Och... - Nie wiedzieć czemu, łzy napłynęły jej do oczu. - To dla nas, panie Browning? Są piękne. Rozpieszcza nas pan.

- Są dla pani, panienko - powiedział ogrodnik zduszonym głosem. - To hołd od nas wszystkich, którzy tu pracujemy... na powitanie. Bardzo się o panią martwiliśmy, panienko.

- Dla mnie... - Elizabeth ledwie była w stanie wydusić z siebie te słowa. Zaraz potem nastrój jej się poprawił i powiedziała z uśmiechem: - Bardzo dziękuję, panie Browning. Są piękne... i doceniam tak wspaniały dar.

- To nic wielkiego, panienko - wydukał, oblewając się jaśkrawym rumieńcem. - Chcieliśmy, by pani wiedziała, że cieszymy się z pani powrotu.

- Jesteście bardzo mili... wszyscy. - Elizabeth dobrze wiedziała, że nikt inny nie ośmieliłby się zerwać tak wielu starannie hodowanych kwiatów. - Amy, pomóż mi wstawić ten cudowny bukiet do wody.

- Tak, panienko. Są śliczne, prawda? - Uśmiechnęła się szeroko, kiedy ogrodnik wyszedł. - Chyba może pani wpisać pana Browninga na listę swoich wielbicieli.

- Nie mam żadnych wielbicieli, Amy. - Pomyślała, że gdyby Daniel ją kochał, to już usłyszałaby jego wyznanie.

- Czyżby, panienko? Cóż, musiało mi się wydawać - odparła Amy, nie przestając się uśmiechać.

Zapełniły sześć wazonów; cztery trafiły do głównego salonu, jeden do buduaru lady Isadory i jeden do pokoju Elizabeth.

Lady Isadora zeszła na południowy posiłek, ale i ona była niewyspana. Posiedzieli razem w salonie; Elizabeth przez jakiś czas czytała głośno. Po herbacie lady Isadora wróciła na górę odpocząć, a Elizabeth wybrała się na spacer po ogrodzie, korzystając z ładnej pogody. Już miała wracać do domu, gdy ujrzała idącego ku niej Johna Elworthy'ego.

- Jak się pani czuje? - zapytał troskliwie. - Bardzo się o panią niepokoiłem, panno Travers. To wstrząsające, co pani przeżyła.

- Istotnie, trudno się pogodzić z tym, że biedna lady Roxborough zginęła, próbując mi pomóc - odparła Elizabeth. - Rano czułam się trochę zmęczona, ale już mi lepiej.

- Miło mi to słyszeć. Wygląda pani całkiem dobrze. A raczej pięknie, jak zawsze.

- Jest pan bardzo uprzejmy, sir. Proszę mi powiedzieć, czy pan wie, co się dzieje? Czy pan Hunter będzie odpowiadał za śmierć Forsythe'a, czy uznano, że to był wypadek?

- Wierzę, że wszystko dobrze się skończy - zapewnił ją John. - Dowody przeciwko Forsythe'owi są tak mocne, że nie ma wątpliwości co do jego winy. Dlatego też nie będzie śledztwa w sprawie jego śmierci.

- Och, tak się cieszę! Pan Hunter dość się wycierpiał.

- Owszem, nie da się zaprzeczyć. - John nagle posmutniał.

- Właśnie wróciłem z uroczystości, którą zorganizował. Chce sprowadzić ciało Sary do domu i pochować je w krypcie rodzinnej kaplicy. A w miejscowym kościele odbędzie się nabo-

żeństwo żałobne. Kiedy była chowana po raz pierwszy, odmówiono jej należnych praw, ale teraz nareszcie zostanie godnie pogrzebana i może dzięki temu Charles także odzyska spokój. Martwię się, co zrobi, jeśli dowie się od Daniela, że to nie Sarę tam pochowano.

- Możemy tylko czekać i się modlić - powiedziała Elizabeth. - Hrabia Cavendish na pewno zrobi, co trzeba. Proszę mi powiedzieć, przyjechał pan sam... czy z hrabią?

- Jakież interesy zatrzymały go jeszcze na dzień lub dwa - odparł John. - A ja przyjechałem tylko po to, żeby się pożegnać, bo muszę wracać do domu. Czekają tam na mnie różne pilne sprawy do załatwienia.

- Tak, oczywiście. Był pan poza domem dłużej, niż pan planował.

- Gdyby pani kiedyś potrzebowała przyjaciela, może pani na mnie liczyć - zapewnił ją John.

- Tak, wiem, dziękuję. I dziękuję, że przybył mi pan na ratunek... wraz z panem Hunterem.

- Właściwie nie byliśmy potrzebni, bo Daniel wszystko sam załatwił - przypomniał jej John z nutą żalu w głosie. - Ale mieliśmy jak najlepsze zamiary i obaj się cieszymy, że nic się pani nie stało.

- Dziękuję - powtórzyła Elizabeth. - Chyba muszę iść się przebrać. Zostanie pan na obiedzie, sir?

- Dziękuję, ale nie. Wstąpiłem tylko po to, żeby się pożegnać. Mam nadzieję, że za parę tygodni spotkamy się w Brighton.

- Tak, z pewnością. Cieszę się na ten wyjazd. - Po tych słowach skierowała się w stronę domu. Wiedziała, że będzie tęsknić za spokojem i zdrowym rozsądkiem Johna.

Przez następne trzy dni Elizabeth nadaremnie wyglądała powrotu Cavendisha. Przybyła krawcowa i zdjęła miarę. Spędziły kilka bez troskich godzin, omawiając a to długość rękawów, a to kształt dekoltu i wszystkie zakończyły dzień bardzo zadowolone: lady Isadora - bo udało jej się namówić Elizabeth do zamówienia sześciu nowych sukien i ślicznej podbitej futrem pelerynki, Elizabeth - bo zdołała powstrzymać swą hojną chlebodawczynię przed zamówieniem jeszcze większej liczby strojów, pani Barber - bo otrzymała wyjątkowo lukratywne zlecenie.

Krawcowa planowała zostać na noc w Cavendish i wrócić do Yorku dopiero następnego ranka. Obiecała, że zagoni do pracy wszystkie swoje pomocnice i suknie zostaną dostarczone w ciągu tygodnia.

- Powinnaś się była zdecydować na ten słomkowy atłas, bo jedna suknia wieczorowa to za mało - upierała się lady Isadora nazajutrz. - Zresztą, to bez znaczenia. Możemy zamówić kolejne suknie w Brighton.

- Z pewnością nie będą mi potrzebne. Jeszcze nie zaczęłam nosić tych, które sprawiłaś mi wcześniej.

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię w nich zobaczę - przyznała lady Isadora. - Zawsze wyglądasz elegancko, Elizabeth, ale czas, żebyś pokazała się w jakichś innych kolorach niż szary.

- Jutro kończy się moja żałoba, więc wieczorem założę tę żółtą suknię, a po południu może zieloną.

- Doskonale - ucieszyła się lady Isadora. - Pojedziemy z wizytą, bo chciałabym odwiedzić moich przyjaciół. - Wstępną z zadumą. - Będzie mi brakowało lady Roxborough, bo niezależnie od tego, co zrobiła, była uroczą i szlachetną kobietą, no i próbowała ci pomóc.

- Gdyby nie wykazała się odwagą... - Elizabeth zadrżała. - Cóż, nigdy się nie dowiemy, co by się stało, więc nie ma sensu gdybać. Miałas jakieś wieści od hrabiego Cavendisha?

- Mój syn doprowadza mnie do rozpacz - wyznała lady Isadora z rezygnacją. - Nigdy nie lubił pisać listów, ale jestem pewna, że mógłby już wrócić.

- Pewnie zatrzymują go jakieś ważne powody - podsunęła Elizabeth.

Do pokoju weszła służąca ze srebrną tacą, na której leżał Ust. Podała go lady Isadorze.

- Niestety, nie od Daniela. - Złamawszy pieczęć, zabrała się do czytania i zaraz potem wydała okrzyk zdumienia. - Od sir Henry'ego Gilesa. Nie zgadniesz, co się stało!

- Coś miłego? - domyśliła się Elizabeth, obserwując zadowoloną minę lady Isadory.

- Raczej tak, jak sądzę - potwierdziła lady Isadora. - Wygląda na to, że Julia zaręczy się z pastorem Bellem...

- To cudownie! - zawołała Elizabeth. - Wiem, że chciała zostać jego żoną. A i jemu chyba na niej zależało, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie została porwana.

- Cieszę się, że wysłałam go do Bath - powiedziała lady Isadora. - Jej rodzice zapewne uznali, że w zaistniałych okolicznościach małżeństwo to najlepsze wyjście. Kiedy Julia zamieszka na plebanii, będziemy mogły nawzajem częściej się odwiedzać.

- Tak, to miła perspektywa - przyznała Elizabeth, zastanawiając się nad własną przyszłością.

Jeśli hrabia Cavendish zaproponuje jej, by została jego kochanką, będzie musiała znaleźć sobie inną posadę. Gdyby przyjęła jego propozycję, straciłaby przyjaźń lady Isadory, ja-

ko że trudno oczekiwać, by matka zadawała się z kochanką syna.

- Coś cię trapi? - Lady Isadora przyjrzała jej się z troską.
- Mam wrażenie, że posmutniałaś, Elizabeth...
- Och, nie, nic mi nie jest - zaprzeczyła Elizabeth nieszczerze. - Przyszło mi jedynie do głowy, że ostatnio zaniedbałam bibliotekę. Muszę tam dziś spędzić trochę czasu.
- Nie zasługuje na to, żebyś się dla niego tak starała - mruknięła lady Isadora.

W odpowiedzi Elizabeth tylko się uśmiechnęła. Nie mogła mieć za złe Danielowi, że obudził w niej fałszywe nadzieje. Może trochę z nią flirtował, ale przecież mężczyźni często to robią. Nawet jeśli było jej smutno, nie ponosił za to żadnej winy.

Rozdział jedenasty

Elizabeth miała za sobą kolejną niespokojną noc. Wczesnie rano ubrała się i zeszła do biblioteki, gdzie spędziła dwie godziny, wyciągając z półek i odkurzając książki. Niektóre z nich stały nieruszone od lat, więc pod koniec pracy i ona była mocno zakurzona.

Znalazłszy się w swoim pokoju, za parawanem zdjęła suknię i rozpuściła włosy, zastanawiając się, czy ma dość wody, żeby je umyć.

- Czy to ty, Amy? - spytała, słysząc, że drzwi się otwierają. - Muszę umyć włosy. Właściwie wolałabym kąpiel, ale nie chcę sprawić kłopotu. Wystarczy mi dzbanek gorącej wody...

Wychyliła się zza parawanu odziana jedynie w cienką koszulę, ukazującą kontury jej smukłej sylwetki i zastygła w bezruchu z przerażenia, odkrywszy, że to nie pokojówka weszła do jej pokoju. Szybko sięgnęła po wiszący na oparciu krzesła peniuar i próbowała się osłonić.

- Nie powinien pan tu być, Cavendish. - Skarciła go surowym spojrzeniem.

- Nie mogłem się oprzeć - wyznał. - Tu przynajmniej mogę być pewien, że będziemy sami. Poza tym, dlaczego nie

miałbym tu być? Przecież nie dbamy o konwenanse. Wiesz, że mi na tobie zależy... Pragnę, byś należała do mnie. Nie ma co udawać, skarbie, jesteśmy dla siebie stworzeni. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja. - Zbliżył się i wyjął peniuar z jej kurczowo zacisniętej dłoni. Poglądził ją leciutko po szyi. - Jesteś taka piękna. Marzyłem o tym, by móc cię dotknąć, mieć cię w ramionach, w łóżku. - Przyciągnął ją do siebie; poczuła przez cienki materiał koszuli bijące od niego ciepło. - Potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiałem, wiedząc, że jesteś zdana na łaskę tego potwora? Byłem w rozpacz, bo wiedziałem, że nie chronię cię tak, jak powinienem.

- Nie powiedziałaś mi tego.

- Może nie w tak wielu słowach, ale chyba wiedziałaś... Proszę, powiedz, że wiedziałaś, Elizabeth. - Patrzył na nią tak, że zrobiło jej się gorąco.

- Wiedziałam, że ci się podobam - przyznała, oblewając się rumieńcem. - Ale nie mogę powiedzieć, że orientuję się w twoich uczuciach.

- Musiałaś wiedzieć, że pragnąłem cię od samego początku, odkąd tylko cię poznałem. - Na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania. - Elizabeth, nie udawaj. To do ciebie nie pasuje.

- Wyczuwałam twoje pożądanie...

- A ty? Ty mnie nie pożądałaś?

- Owszem, ale ja czuję... coś więcej niż tylko fizyczne pożądanie - wyznała z pewnym wysiłkiem. Nie widziała innego wyjścia, jak tylko być szczerą. - Nie chcę być jedynie twoją kochanką, Cavendish. Zastanawiałam się nad tym, ale...

Wypuścił ją z objęć i odwrócił się do niej plecami.

- Czyli małżeństwo albo nic? - spytał, wciąż stojąc do niej tyłem. - Tak brzmi twoje ultimatum?

- Nie stawiam ci żadnych żądań - odparła cicho - ale twoja matka mnie kocha, Danielu, a jeśli zgodzę się zostać twoją kochanką, mogę jej już nigdy nie zobaczyć.

Odwrócił się.

- Czy to twoje jedyne zastrzeżenie?

- Danielu? - Przyjrzała mu się podejrzliwie. - Bardzo proszę, nie kpj sobie ze mnie.

- Jak mogę nie kpić, skoro wygadujesz takie rzeczy? Powiedz mi, Elizabeth, skąd ci przyszło do głowy, że chcę cię uczynić swoją kochanką, a nie żoną? Sądzisz, że jestem na tyle głupi, by nie rozpoznać prawdziwego skarbu?

- Och, ależ... absolutnie nie uważam, byś był głupi.

- Dlaczego miałbym źle traktować kobietę, którą uwielbiam? Dlaczego miałbym uczynić cię swoją kochanką i widywać od czasu do czasu, skoro mogę się przy tobie budzić każdego ranka, Elizabeth? Spędzać razem całe dni, dzielić życie z jedyną kobietą, którą naprawdę kocham i podziwiam. Byłbym skończonym głupcem, gdybym się godził na mniej, mogąc mieć to wszystko.

- Och... Mógłbyś mieć znacznie więcej. Nie posiadam majątku, a moja reputacja musiała ucierzeć przez to, co się stało.

- A po co ma o tym wiedzieć ktokolwiek poza tymi, którym ufamy? - spytał, mrużąc oczy. - Co zaś do majątku, nie wiem, ile można odzyskać po tym, co zrobił Forsythe, ale i tak należy do twojego brata, i to on zdecyduje, jak nim rozporządzić.

- Jak ci się udało to załatwić?

- Wymagało trochę prawniczej gimnastyki - przyznał Daniel, nie dodając, że było także powodem opóźnienia jego powrotu. - Ale udało się. Napisałem do twojego brata i zaprosiłem go, by zamieszkał z nami w Brighton. Wtedy zastanowimy

się, co można zrobić, by przywrócić waszą posiadłość do dawnej świetności.

- Jesteś taki dobry - szepnęła wzruszona Elizabeth. - Nie wiem, jak zdołam ci podziękować...

- Nie oczekuję wdzięczności - powiedział Daniel, wpatrując się z natężeniem w jej twarz. - Tylko prostej odpowiedzi. Czy kochasz mnie na tyle, by zostać moją żoną?

- Och, Danielu! - wykrzyknęła. Oczywiście błyszczały, nie wiadomo, czy bardziej od łez, czy ze szczęścia. - Wiesz, że tak...

Padła mu w ramiona i wtuliła się w niego całym ciałem. Kiedy dotknął wargami jej ust, skwapliwie odwzajemniła pocałunek.

- Nigdy nie wierzyłam, że doznam takiego szczęścia - wyszeptęła. - Tak bardzo cię kocham, Danielu... Kochałam cię od pierwszej chwili.

- Byłem pewien, że czujesz to samo, co ja, bo zawsze się ze sobą zgadzaliśmy, mój mały generale w spódnicy.

Zaczerwieniła się pod jego wzrokiem, przypomniawszy sobie nagle, że ma na sobie jedynie cienką, półprzezroczystą kożuszkę.

- Co by powiedziała twoja mama, gdyby wiedziała, że jesteś tu ze mną?

- Powiedziałyby, że nareszcie zrobiłem to, do czego od dawna mnie zachęcała, czyli znalazłem sobie żonę, którą będę kochał i z którą ona będzie mogła się przyjaźnić. Nie będzie mieć powodu do narzekań, bo teraz już musisz za mnie wyjść, choćby dla ratowania reputacji.

- Śmiało pan sobie poczyna, sir!

- Zapewne ma pani rację, droga pani. Ale chyba nie chciałybyś martwić mamy, odmawiając mi swej ręki... mimo iż jesteś w samej halce.

- Nie, bo bardzo lubimy się z twoją mamą - przyznała Elizabeth. - Powinieneś już iść, bo muszę umyć włosy i chcę, żeby Amy mi w tym pomogła.

- Skoro pragniesz kąpeli, będziesz miała kąpiel. Woda zostanie dostarczona niezwłocznie. A gdyby przypadkiem Amy była zbyt zajęta, ja ci pomogę.

- Danielu, zachowuj się przyzwoicie, kochany - upomniała go Elizabeth. Po przewrotnym błysku w jego oczach wynioskowała, że propozycja *nie* do końca była żartem. - Idź już, bo jeśli Amy cię tu zastanie, resztki mojej reputacji legną w gruzach.

- Ależ Amy wie, że tu jestem - oświadczył, uśmiechając się szeroko. - I nie sądzę, by była zaskoczona moimi zamiarami... nawet jeśli ty byłaś. Poza tym, nie pisnęłaby nawet słówka przeciwko tobie, bo jest ci bardzo oddana.

- Tak, to prawda. W takim razie zostaw mnie i idź powiedzieć Dorze, że się pobieramy. A ja zejść na dół, jak doprowadzę się do przyzwoitego wyglądu.

- Chyba wolę, jak wyglądasz nieprzyzwoicie - wyznał Daniel, cmokając ją w czubek nosa. - Ale nie będę już dłużej z tobą się droczył. Teraz pójdę się podroczyć z mamą...

- Daniel czasami bywa niezdolny - stwierdziła lady Isadora, kiedy Elizabeth zeszła wreszcie na dół w zielonej jedwabnej sukni z rękawami do łokci i falbaną z delikatnej koronki ufarbowanej na ten sam odcień. Świeżo umyte włosy upięła w nową fryzurę, miękko okalającą twarz. - Wyglądasz tak pięknie, moja droga, a jego nie ma. Powinien zobaczyć, jak rozkwitasz na nowo po okresie żałoby. Akurat teraz musiał pojechać do jakiegoś dzierżawcy! Doprawdy, czasem tracę do niego cierpliwość - utyskiwała matka Daniela.

- Musisz mu wybaczyć - powiedziała Elizabeth z uśmiechem. - Jestem pewna, że sprawa była ważna, bo inaczej by nie pojechał.

- Powiedział, że się pobieracie i będę musiała z tobą się rozstać. - Lady Isadora nie dała się łatwo uspokoić.

- Ale będziemy często się spotykać - łagodziała niestrudzenie Elizabeth. - Wiesz, że kocham cię jak własną matkę, Dorro. Nigdy cię nie opuszczę. Spędzimy razem wiele szczęśliwych lat.

- Ważne, żebyście wy dwoje byli ze sobą szczęśliwi - odparta lady Isadora. - Mnie chyba musi wystarczyć panna Ridley. Dostałam dziś od niej list z pytaniem, czy może powrócić do swoich obowiązków i nie mogłam odmówić. Co nie znaczy, że chcę się z tobą rozstawać, moja droga! Myślę, że wszystko będzie dobrze, bo jesteś dokładnie taką żoną, jakiej pragnęłam dla Daniela... Choć czasami bywa nieznośny - dodała na koniec, lecz już bez wcześniejszej irytacji.

- Zawsze byłem nieznośny, mamó - powiedział Daniel, wchodząc w tym momencie do pokoju. Odziany w jasne spodnie, dopasowany surdut i błyszczące wysokie buty wyglądał jak okaz rasowego posiadacza ziemskiego. - Elizabeth, wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle. Czy to nowa suknia? Powinnaś częściej nosić zielony, bo bardzo ci w nim do twarzy. Choć prawdę mówiąc, rzadko zwracam uwagę na twój strój, bo zawsze jesteś piękna. Zgadzasz się ze mną, mamó?

- Oczywiście, że jest piękna - przyznała chętnie lady Isadora, po raz pierwszy tego ranka spoglądając na syna z uznaniem. - Dobrze, że wróciłeś. Po południu wybieramy się z wizytą i możesz nam towarzyszyć... jeśli nie masz nic pilniejszego w planach - zakończyła nieco wyzywającym tonem.

- Nie, nie mam w planach nic pilniejszego - rzekł ugodowo.

- Poza wręczeniem Elizabeth tego drobiazgu. - Wyjął z kieszeni aksamitne pudełeczko. - Powinien pasować.

Panna Travis uniosła wieczko, odsłaniając pierścionek z brylantowym oczkiem w kształcie stokrotki.

- Och, Danielu, jest śliczny - zachwyciła się szczerze. - Nie mogłeś wybrać lepiej.

- Piękny kwiatek dla pięknej damy. Podaj mi, proszę, lewą dłoń. - Wsunął jej pierścionek na palec, zadowolony, że pasuje, jakby był robiony na miarę. - Teraz Elizabeth nie może się rozmyślić, mamó. Musi za mnie wyjść, bo inaczej złamałaby mi serce.

- Nie gadaj głupstw - skarciła go matka. - Dlaczego Elizabeth miałyby się rozmyślić? A teraz najwyższy czas w końcu coś zjeść.

- Tak, mamó. - Daniel posłał narzeczonej czułe spojrzenie. - Jesteśmy do twojej dyspozycji przez całą resztę dnia.

- Dziękuję. Wiem, że stroisz sobie ze mnie żarty, ale ci wybaczam. Przynajmniej wiem, że Elizabeth będzie kochana i hołubiona tak, jak na to zasługuje.

- Zatem uważasz, że jestem jej wart?

- Danielu, jesteś niepoprawny - skarciła go Elizabeth, starając się zachować powagę. - Przestań się droczyć ze swoją mamą i lepiej przejdźmy do jadalni, zanim kucharz się obrazi i rzuci posadę.

Wieczór był ciepły, a powietrze przesycone zapachem rozkwitających róż, kiedy przechadzali się razem przed obiadem.

- Przyjemnie mieć cię przez chwilę tylko dla siebie - powiedział Daniel, biorąc Elizabeth za rękę. - Myślałem, że mama nigdy nie skończy rozmawiać z lady Brackley. Założę się,

że chce, by wiadomość o naszych zaręczynach rozeszła się szybko i jak najszerszej.

- Jest bardzo szczęśliwa, że się pobieramy - odparła Elizabeth. - Panna Ridley dołączy do nas w Brighton. Cieszmy się, bo nie chciałam, żeby Dora została sama, kiedy wyruszymy w podróż poślubną. Zanim tu przyjechałam, była bardzo samotna.

- Cóż, będzie mogła przyjeżdżać do nas, kiedy tylko zechce. Dokonałem pewnych zmian w moim domu w Hampshire. Pojedziemy tam po powrocie z podróży poślubnej. Jeśli lubisz Hallowdsene, możemy zamieszkać tam... albo tutaj. Albo będziemy się przenosić z domu do domu...

- Kiedy będziemy już małżeństwem... - Przystanąła, spoglądając mu w twarz rozpromienionym wzrokiem. - Jak wspaniale to brzmi, Danielu. Zanim cię poznałam, straciłam nadzieję, że znajdę kogoś, z kim mogłabym szczęśliwie spędzić życie. A potem bałam się, że złamię mi serce.

- Miałś mnie za bezmyślnego okrutnika? - Oczy mu nagle pociemniały.

- Nie widziałam powodu, byś się interesował mną, skoro możesz wybierać spośród tylu pięknych kobiet. - Przypomniała sobie zdarzenie z Yorku. - Widziałam cię z pewną bardzo urodziwą damą i byłam pewna, że ona musi coś dla ciebie znaczyć, bo śmiała się z tego, co do ciebie mówiła...

- To było w Yorku? Byłaś zazdrosna o Lucinę, Elizabeth?

- Owszem, trochę - przyznała niechętnie. - To wcale nie jest zabawne, Danielu - obruszyła się, słysząc jego bez troski śmiech. - Była naprawdę bardzo piękna.

- O, tak, jest bardzo piękna. Do tego bardzo rozpieszczona i bardzo zakochana w swoim narzeczonym. Lucinda Sawton

jest siostrą jednego z moich bliskich przyjaciół. Nie pasowała-
by do mnie ani ja do niej.

- Och... - Elizabeth z ulgą i radością wzięła Daniela pod
rękę i ruszyli dalej ścieżką pośród kwiatów. - Spójrz na tę cu-
downą różę, Danielu. Cóż za delikatny kolor.

- Zerwać ją dla ciebie?

- Z pokazowej rabaty pana Browninga? - Elizabeth była
szczerze przerażona. - Nie, oczywiście, że nie. Byłby niepo-
cieszony.

- To są przecież twoje róże - zdziwił się Daniel. - Jako moja
żona, możesz nimi dowolnie dysponować. Wszystko, co nale-
ży do mnie, należy także do ciebie.

- Ale o wiele przyjemniej jest dostawać róże w prezencie
- stwierdziła Elizabeth. - Po tym, kiedy ostatnio wyjechałeś,
czułam się przygnębiona i wtedy pan Browning przyniósł mi
cudowny bukiet ze swoich cieplarni. Bardzo się ucieszyłam,
bo on kocha te kwiaty niczym własne dzieci. Gdybym je ze-
rwała sama, nie byłyby dla mnie nawet w połowie tak cenne.

- Jesteś nie tylko śliczna, ale i mądra, Elizabeth. Przez całe
życie będę dziękował Bogu, że cię znalazłem...

Przyciągnął ją do siebie i nachylił się do pocałunku.

- Och, Beth - rozległ się za nimi męski głos. Odwróciwszy
się jednocześnie, ujrzeli młodego mężczyznę, zmierzającego
w ich stronę. - Pokojówka lady Isadory powiedziała mi, że je-
steście w ogrodzie, więc od razu tu przyszedłem. - Spojrzał na
Daniela. - Pan musi być hrabią Cavendishem. Otrzymałem
pański list i natychmiast przyjechałem, żeby podziękować za
wszystko, co pan zrobił dla mnie... i dla Beth. Czy rzeczywi-
ście zamierza pan z nią się ożenić?

- Owszem. - Daniel westchnął z rezygnacją. - Sądziłem, że
spotkamy się w Brighton, Travers.

- No tak, ale prawdę mówiąc, nie mogłem doczekać się spotkania z panem... i Beth. Pomyślałem, że wstąpię tu, zanim wyjedziecie. Cóż, spieszo mi do domu, żeby sprawdzić, jakich zniszczeń dokonał ten łobuz.

- Tak, rozumiem, myślę, że nie będzie z tym tak źle. Jednak, skoro pan tu jest, musimy porozmawiać, ale dopiero po obiedzie. Musi pan wiedzieć, że w Cavendish rządzi kucharz mojej mamy. Zbyt długo cierpiała zdana na marną kucharkę i teraz za nic nie chce mu się narazić.

- Na Jowisza, rozumiem - zapewnił Simon Travers. - Wszyscy wiemy, jakie to może być okropne. Mam się przebrać czy mogę zostać w tym stroju?

- Żadnego przebierania - ostrzegł Daniel. - Bo inaczej się spóźnimy, a to grzech niewybaczalny.

Po obiedzie hrabia Cavendish zniknął w bibliotece z bratem Elizabeth. Spędzili tam zaledwie pół godziny, ale to, co zostało w tym czasie powiedziane, musiało zadowolić ich obu, ponieważ wrócili w doskonałych humorach.

Ustalono, że Simon uda się do swego majątku nazajutrz rano i tam pozostanie, a dołączy do nich w Cavendish dopiero za trzy tygodnie, kiedy wrócą z Brighton.

- Przywiozę ze sobą Wentworthów - obiecał siostrze po rozmowie z przyszłym szwagrem. - Powiedziałem Cavendishowi, że chętnie ich zobaczysz na swoim ślubie, a skoro ma odbyć się dwa dni po waszym powrocie z Brighton...

- Świetnie, niech przyjadą. Lady Wentworth była dla mnie bardzo miła... dla ciebie także, Simonie. - Uśmiechnęła się do brata. - Teraz możesz opuścić Oxford, wiedząc, że masz dokąd wracać.

- Tak, dzięki Cavendishowi. Wiele mu zawdzięczam, Beth.

I cieszę się, że za niego wychodzisz. Jest bardzo przyzwoitym człowiekiem.

- Ja też tak uważam - powiedziała, zerkając wyzywająco na Daniela.

Zaskoczył ją nowiną, że ślub ma odbyć się zaledwie dwa dni po ich powrocie z Brighton.

- Czym sobie zasłużyłem na to groźne spojrzenie? - zapytał ją chwilę później.

- Przypadkiem dowiedziałam się, że data ślubu została już wyznaczona...

- Ach, o to chodzi? - rzucił Daniel z udawanym zdziwieniem. - Widzę, że nie możesz się doczekać, by zostać moją żoną, skarbie. Czy powinienem odwołać wyjazd do Brighton? Może wolałabyś, żebyśmy pobrali się przed wyjazdem, korzystając ze specjalnej dyspensy?

- Wyruszymy pojutrze - oznajmiła Elizabeth, nie podejmując żartobliwego tonu. - Wiesz, że nie sposób wszystkiego wcześniej zorganizować. Poza tym Dora cieszy się na pobyt w Brighton. Nie możemy jej odmówić tej przyjemności, Danielu.

- To może tam się pobierzemy?

- Wszyscy tu czekają na ślub. Pan Browning dał znać, że udekoruje kwiatami kościół i dom i osobiście zrobi dla mnie ślubny bukiet.

- Chyba zacznę być zazdrosny o tych twoich adoratorów - ostrzegł Daniel. - Jednak rozumiem, że każdy chce zobaczyć, jak stoisz ze mną przy ołtarzu, więc nie będę im tego odmawiał. Dlatego ślub musi odbyć się po naszym powrocie.

- Ale dlaczego już dwa dni potem? Ledwie dojdziemy do siebie po podróży.

- Chyba nie oczekujesz, że wytrzymam dłużej niż dwa dni?

- obruszył się. - Nie mogę się doczekać nocy poślubnej, Elizabeth. Może wtedy w końcu uda mi się побыć z tobą sam na sam...

Roześmiała się na widok jego chytrej miny.

- Jestem pewna, że uda nam się to wcześniej, mój kochany. Ale ze ślubem będziesz musiał poczekać co najmniej tydzień po naszym powrocie.

- Pięć dni - próbował się targować. - Ani dnia więcej, Elizabeth. Pięć dni, albo wsadzę cię do mojego powozu i razem uciekniemy.

- Pięć dni? - Spojrzała mu w oczy i ujrzała w nich niecierpliwość i żar. - No dobrze, pięć dni powinno wystarczyć, suknię ślubną mogę sobie sprawić w Brighton.

Następnego ranka, kiedy Elizabeth rozmawiała w ogrodzie z panem Browningiem o kwiatach na ślub, przed domem pojawiła się nieznaną jej parą młodych ludzi. Stali z niepewnymi minami, najwyraźniej zastanawiając się, czy podejść do frontowych, czy kuchennych drzwi.

- Mogę w czymś pomóc? - odezwała się Elizabeth.

- Och, panienko - zaczęła dziewczyna, dygając - Fred mówi, że powinniśmy wejść od tyłu, ale hrabia Cavendish powiedział, że mamy od razu pytać o niego. Chce wiedzieć, co Fred ma do powiedzenia na temat sir Montague'a... Tylko że on nie żyje i nie wiedzieliśmy, czy pan hrabia nadal chce się z nami spotkać...

- Powinniśmy pójść od tyłu i zapytać o pracę, tak jak kazał, Mary - wtrącił nieśmiało młody mężczyzna.

- Ale jego lordowska mość może chcieć wysłuchać, co masz do powiedzenia o tej dziewczynie, której pomogłeś.

- Mary... - Fred pokręcił głową.

- O dziewczynie? - zainteresowała się Elizabeth. - Pomógł pan jakiejś dziewczynie w potrzebie? Czy to było w posiadłości sir Montague'a?

- Tak, panienko - potwierdził Fred. - Przeszło rok temu. Znowu się po swoim zabawiali i wiedziałem, że dzieje się coś złego, więc kiedy zobaczyłem tę dziewczynę, wybiegającą z lasu... - Urwał, spoglądając niepewnie na Mary, która kiwnięciem głowy zachęciła go, by mówił dalej. - On już nie żyje, więc nie może mnie pobić tak jak wtedy, kiedy nie chciałem mu pomóc. Wiedziałem, że ta dziewczyna jest przerażona, panienko, i słyszałem ich krzyki i nawoływania, jakby polowali na lisa... - Jeszcze raz zerknął na Mary. - Chwyłem ją za rękę, zaprowadziłem do takiego jednego miejsca, które tylko ja znałem i ukryłem do czasu, aż sobie poszli.

- Och, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Elizabeth. - Nie rzuciła się tamtej nocy do jeziora?

- Nie, panienko... tamto stało się kilka dni później. Chodziło o jakąś wiejską dziewczynę. Podobno miała kłopot, a ojciec wyrzucił ją z domu. Ta druga była damą. Poznałem to, chociaż się nie odezwała ani słowem. Zemdlała, więc wziąłem ją na ręce i zaniosłem w bezpieczne miejsce... - Spojrzał pytająco na Elizabeth. - Dobrze zrobiłem, panienko?

- Bardzo dobrze, Fred - pochwaliła go Elizabeth. - Możesz mi powiedzieć, gdzie ją znajdziemy... tę dziewczynę, którą uratowałeś?

- Właśnie o to Fred się martwi, panienko - odpowiedziała za niego Mary. - Po tym jak pomógł dziewczynie, przyszedł po mnie, ale kiedy wróciliśmy do tamtej chaty, już jej nie było. Chata należy do wuja Freda, ale od jakiegoś czasu stała pusta.

- Dziewczyna była nieprzytomna, kiedy ją tam zostawiłem - mówił dalej Fred. - Przeprowadziłem Mary, żeby się nią za-

jęta, ale nie mogliśmy jej znaleźć. Szukaliśmy kilka godzin. Zniknęła bez śladu.

Elizabeth nie potrafiła ukryć rozczarowania. Miała nadzieję, że tajemnica lada moment zostanie wyjaśniona, tymczasem nadal tkwili w tym samym punkcie.

- Zatem ta dziewczyna z jeziora to mogła być ona...

- Nie, panienko. Jestem pewna, że to była Emily Little z wioski. Miała na sobie sukienkę, którą jej podarowałam - powiedziała Mary. - Wiedziałam, że to ona, panienko, ale nie powiedziałam, żeby nie przynosić wstydu jej rodzinie.

- Rozumiem - odparła Elizabeth. Ogarnęły ją mieszane uczucia. - Myślę, że powinniście zobaczyć się z lordem Cavendishem. Powiedźcie mu dokładnie to wszystko, co mnie, proszę.

- Więc jednak dobrze, że tu przyszedliśmy - stwierdził Fred z widoczną ulgą. - Bałem się, że jego lordowska mość może nie chcieć nas widzieć.

- Zechce was widzieć - zapewniła ich Elizabeth - i jestem przekonana, że chętnie da wam pracę. - Uśmiechnęła się do nich. - Chodźcie za mną. Hrabia Cavendish jest w bibliotece.

Dopiero po pewnym czasie Elizabeth miała czas zapytać Daniela, co sądzi o wiadomościach uzyskanych od Fredda i Mary.

- To najlepsza nowina, jaką usłyszeliśmy do tej pory - odpowiedział Daniel. - Wprawdzie nadal nie oznacza, że Sara żyje, ale chyba powiem Charlesowi, że dziewczyna, której szuka jej pochówek w rodzinnej kaplicy, nie jest jego siostrą.

- Szkoda, że nie mamy mu nic więcej do powiedzenia. Że też Sara uciekła, kiedy Fred próbował jej pomóc.

- Niestety, możliwe, że Forsythe ją złapał i umieścił w któ-

rymś z lupanarów, ale przynajmniej wiemy, że nie utopiła się w jeziorze.

- To już coś. Chyba powinieneś powiedzieć Charlesowi, Danielu. Pewnie będzie chciał kontynuować poszukiwania.

- Tak, zrobię to jutro - obiecał Daniel. - To oznacza, że będę musiał nadłożyć drogi, ale dołączę do ciebie i mamy w Brighton. Pod naszą nieobecność Charles i reszta mogą kontynuować poszukiwania.

- Masz rację - przyznała Elizabeth z uśmiechem. - A ja mam dobre przeczucia, Danielu. Myślę, że Sara żyje i w końcu zostanie odnaleziona.

- Musimy się o to modlić. - Przygarnął ją do siebie. - Charles przeżyje wstrząs, dowiedziawszy się, że dziewczyna, którą zamierza pogrzebać, nie jest jego siostrą, i będzie cierpiał od nowa, ale wiem, że gdyby chodziło o ciebie, wołałbym wierzyć, że żyjesz, i dalej szukać.

- Och, Danielu, kochany. - Spojrzała mu w oczy. - Razem będziemy się modlić.

- Tak. - Pocałował ją czule. - Jeśli modlitwy mogą pomóc, to Charles ją znajdzie.

Posłowie

Elizabeth wyszła z kościoła przy dźwięku dzwonów, trzymając męża pod rękę. Pastor Bell udzielił im ślubu w obecności przyjaciół i znajomych, którzy życzyli im szczęścia, oraz służby i mieszkańców wsi, licznie przybyłych, żeby obejrzeć młodą parę. Elizabeth pochyliła się z uśmiechem, kiedy na jej głowę posypały się płatki róż, po czym zatrzymując się, by przyjąć drobne upominki od życzliwych im miejscowych ludzi, wsiadli do powozu, który miał ich zawieźć do domu.

Daniel zarządził, by obok przyjęcia dla głównych gości w domu odbywało się też drugie w ogrodzie. Sprowadził większość służących ze swej londyńskiej siedziby, żeby i oni mogli zabawić się na weselu swego pana.

Kucharz lady Isadory od wielu dni przygotowywał potrawy, natomiast osobisty kucharz Daniela wziął na siebie ciężar przygotowania poczęstunku dla ludzi ze wsi i pracowników majątku. Obaj panowie bardzo się starali, można powiedzieć, że wręcz rywalizowali ze sobą, który bardziej zabyłśnie talentem.

- Nie wiem, który z nich lepiej się spisał - szepnęła Daniel do żony, kiedy na chwilę wyszli do ogrodu. Zaraz potem wrócili do gości, żeby pokroić wspinały tort, przygotowany

wspólnymi siłami przez obu kucharzy. - Nie mów mamie, ale chyba mój kucharz wygrał to współzawodnictwo. Ta wołowa pieczeń wyglądała tak smakowicie, że miałem ochotę zapomnieć o głównym przyjęciu i zasiąść do biesiadnego stołu pod chmurką.

- Tak nie można, kochanie - skarciła go Elizabeth. - Pomyśl, jak Dora by się zmartwiła, gdyby monsieur Delfarge ją opuścił. Musiałbyś jej wówczas odstąpić swojego Thierry'ego...

- Naprawdę tak uważasz? - spytał, unosząc brwi. - To byłoby prawdziwe nieszczęście. Nie wiem, jak bym bez niego przeżył. - Zachował poważną minę, ale oczy mu wesoło błyszczały.

- Ty rzeczywiście jesteś nieznośny. Jeśli nie zaczniesz się odpowiednio zachowywać...

- To co zrobisz?

- Pozostanę na przyjęciu o godzinę dłużej.

- W takim razie już nic nie mówię. Bo takiej kary też bym nie przeżył.

- Czy ty niczego nie traktujesz poważnie?

Daniel ujął jej dłoń i lekko ucałował.

- Nic i wszystko - powiedziała. - Nie mam złudzeń co do świata, kochanie. Ale dziś jest dzień mojego ślubu, Elizabeth. Nie wyobrażałem sobie nawet, że znajdę kobietę, którą będę tak kochał, i jeszcze nigdy w życiu tak się nie czułem, więc musisz mi wybaczyć.

Elizabeth dotknęła pięknego naszyjnika z pereł i brylantów.

- Wybaczam. A za prezent podziękuję ci później.

- Nie mogę się doczekać. No dobrze, teraz puszcze cię do gości. Moja kolej jeszcze nadejdzie... ale błagam, nie każ mi czekać zbyt długo!

Elizabeth poruszyła się w ramionach męża, wtulając się mocniej w ciepło jego ciała.

- Nie śpisz już? - szepnął Daniel.

Otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz.

- Chyba nie. Ale musiałam przespać wiele godzin.

- Wyglądałaś tak cudownie, że nie chciałem cię budzić.

Pogładziła koniuszkami palców ciemne włosy na jego pierś i poczuła, jak leciutko zdrząła pod jej dotykiem.

- Naprawdę sądzisz, że jestem piękna? Nigdy nie uważałam się...

- Dla mnie jesteś i zawsze będziesz najpiękniejszą kobietą na świecie - przerwał żonie, po czym ujął jej dłoń i ucałował po kolei każdy palec. - Smakujesz jak sama słodycz... cudownie.

Elizabeth zachichotała, przywierając do niego całym ciałem. Czuła, że głęboko w środku znów wzbiera w niej pożądanie. Zaczęła go pieścić, tym razem przesuwając dłoń niżej po jego brzuchu.

- Ty rozpustnico - wymruczał - chyba powinienem cię nauczyć szacunku dla męża.

Nie potrzebował dalszej zachęty, a potem, nasyceni miłością, leżeli ciasno ze sobą spleceni, upojeni szczęściem.

- Los nam sprzyja, Danielu - odezwała się w końcu Elizabeth. - Straszna jest myśl, że mogliśmy się nigdy nie spotkać...

- A ja wierzę, że drogi naszego przeznaczenia musiały się skrzyżować. Gdyby mama cię nie zaprosiła i tak bym cię odzukał. Podejrzewałem, że Forsythe odzukał twojego ojca.

Elizabeth zdrząła.

- Biedny tata... i mama. Gdyby nie ten podły człowiek... - Na chwilę posmutniała. - No i jest jeszcze Sara. Nadal nie wiemy, co się z nią stało. Biedny Charles nie spocznie, dopóki jej nie odnajdzie.

- Zyskał nadzieję. John początkowo uważał, że dla Charlesa byłoby lepiej, gdyby mógł ją pogrzebać, ale chyba zrozumiał, że nadzieja doda mu sił. To, co mogło przydarzyć się Sarze przez te wszystkie miesiące, nie jest dla Charlesa istotne. Pragnie za wszelką cenę ją odnaleźć i sprowadzić do domu.

- Modłę się, żeby mu się udało! Ten nikczemnik Forsythe... Że też nie zdołałam go zmusić do wyznania prawdy tamtej nocy - dodała z westchnieniem.

- Uspokój się, kochanie. - Daniel przytulił ją delikatnie. - Nie możemy niczego cofnąć. Zapłacił za swoje zbrodnie i na tym musimy poprzestać.

- Tak - przyznała Elizabeth. - Pozwolisz, żebym nadała naszemu pierworodnemu imię po ojcu, mam nadzieję?

Popatrzył na nią z niewysłowioną czułością.

- Pozwolę ci na wszystko, czego tylko zechcesz, skarbie - obiecał. - Czekałem na ciebie całe życie, mój słodki generale w spódnicy. Jestem gotów wypełniać twoje rozkazy.

- Tymczasem mam tylko jeden: żebyś mnie zawsze kochał.

- Ten akurat łatwo mi będzie wypełnić.